

Marek Koszur

TVSiódemka

Internetowy miesięcznik
niesformatowany

07/2025 Lipiec 2025

Szczecin i Świat (& Mars)

ISBN: 978-83-974443-6-2

cena: 25,00

Stary i... nowy herb Szczecina?



**Metafizyka
morza**

czyli wlaź kotek na
statek i...

**Miliard! ?
Lewo za burzę!**

o, jak miło toniemy

**Pierwsze wy-
nauciarze,
pierwsze
okrężniki**

**Tylem do
przodu!**

Szczecin
budowany ze słów

**Zaufanie
prezydenta**

waluta bez pokrycia



Listy wiatrem niesione 05

tekst i zdjęcia: Małgorzata Wrzosek

Rzeka – symbol wiecznej zmiany i ciągłego przemijania. Jej magnetyzujący krajobraz i towarzyszące efemeryczne zjawiska stale przypominają nam o pięknie życia i przemijaniu.

Jest jak strumień czasu, który płynie przez wieki, niosąc ze sobą nie tylko wody, ale i tajemnice tego miejsca.

Proszę? Ponieważ nigdy się pan nie dowie, co odpowiem mu na jego pytanie, więc zdradzę i się przyznam. Tak. Nigdy nad tę

rzekę nie przyjeżdżam z pustymi rękoma. Podchodzę do brzegu i kładę przy nim takie małe zawiniątko. To mój... balast. Rzeka go zabiera. Bo – czyżby pan nie wiedział? Bo po to ona tu i wszędzie jest. Ona uwalnia nas od ciężaru, smutku i trosk.

Uśmiecha się pan... A skąd pan wie? A może któregoś dnia rzeczywiście oddam rzece wszystko, najmniejszy lęk i poczuje się... Poczuje się... Nie podrzuci mi pan słowa? A tyle ich podobno pan zna... Powiem więc inaczej... Tu jestem sobą. Oddając jej swój balast, mogę unosić się swobodniej na powierzchni życia.

Słyszę ptactwo, wiatr i jeszcze nieskomponowaną muzykę. Ciągłe próbuję zrozumieć. Rzeka obiecuje, że mi pomoże.

Dlatego kocham tę rzekę.

Dokąd? Donikąd...!



Pod tym tytułem prezentujemy Państwa uwagi dotyczące treści opublikowanych w poprzednich numerach miesięcznika.

Zrezygnowaliśmy z otwartego forum, typowego dla zwykłych gazet, gdzie zazwyczaj trwa nieustanny festiwal frustracji – zawsze pod pseudonimem.

Udostępniamy nasze łamy wypowiedziom krytycznym, recenzentkim, felietonom i komentarzom, ale zawsze sygnowanym imieniem i nazwiskiem autorów bądź pseudonimem. W tym drugim przypadku, na mocy prawa prasowego, gwarantujemy pełną ochronę autorów i ich danych osobowych – nawet przed sądem.

A zatem kilka słów na marginesie Państwa sugestii i uwag po lekturze szóstego numeru „TVSiódemki”.

Czy polityka morska jest... sexy?

...a może: jak poderwać samego siebie?

Największe emocje budzi planowana budowa terminalu kontenerowego w Świnoujściu. Czy decyzję o podjęciu tej inwestycji poprzedziła wnikliwa analiza techniczna i ekonomiczna? Ale podobne pytania zadają... ignoranci. My, fachowcy, dbamy o show! A ten *must go on!* Co z tego wyjdzie? A, to już problem naszych politycznych następców.

- Zajmuję się tymi sprawami od pół wieku i nigdy nie widziałem równie nieprzygotowanego przedsięwzięcia. To czysta gigantomania, propaganda i polityka. Bezkarłą rozrzutnością finansuje budżet państwa, podczas gdy na świecie takie inwestycje pokrywają kapitały prywatne lub mieszane. A jeśli inwestycja się nie powiedzie, nikomu włos z głowy nie spadnie – przyroda sama będzie musiała lizać rany. Zdaniem innego czytelnika terminal „musi przyćmić stępkę” poprzedniej władzy.

– To zawstydzające, że ta władza w sposób wrzaskliwy i trudny do zaakceptowania manifestuje społeczeństwu swoje zamiary. Pan minister to mistrz banałów i komunałów, sprawny trybun społeczny, który potrafi sprzedać kamienie za cenę brylantów.

Terminal zbudujemy, choćby nie wiem co. Nikt nam tej inwestycji nie zatrzyma. Poniesiemy wszelkie koszty, ale dopniemy swego.

Szykuje się nam nowy, morski pomnik polskiej megalomanii.

Krajowe i światowe analizy podkreślają, że inwestycja w województwie zachodniopomorskim to przede wszystkim **konkurencja dla naszego drugiego terminala** – na wschodnim wybrzeżu. Świnoujski hub nikomu innemu nie zagrozi.

Oba terminale – w porównaniu z największymi, obecnie realizowanymi inwestycjami portowymi – lokują się o cały rząd wielkości niżej w podziale masy towarowej do przemieszczenia.

Innymi słowy: to tak, jakby porównywać tysiące z setkami.

Polityka celna Stanów Zjednoczonych wpływa na bieżące obciążenie nabrzeży portowych, jednak zawirowania te nie mają jeszcze

charakteru utrwalonej tendencji.

Przyjrzyjmy się zatem, z kim chce rywalizować Świnoujście. Gdzie obecnie realizowane są największe inwestycje portowe w Europie?

- *Rotterdam (APM Terminals Maasvlakte II) – ponad 1 mld €; 1000 m nowych nabrzeży; dodatkowa przepustowość 2 mln TEU; zakończenie fazy "I" do końca 2026 r.*
- *Antwerpia-Brugia (ECA – Extra Container Capacity Antwerp) – 7,1 mln TEU dodatkowej przepustowości (nowy dok pływający oraz zabudowa wewnątrz portu).*
- *Hamburg (Waltershof) – modernizacja i rozbudowa za ok. 1,1–2 mld €: nowe pola kontenerowe, większy zakres manewrowy (turning circle 600 m – czyli promień skrętu, odnoszący się do trajektorii środka ciężkości statku podczas wykonywania skrętu przy stałym kącie wychylenia steru), a także nowe nabrzeża.*
- *Gdańsk (Baltic Hub T3) – 470 mln €; głębokość 18 m; zwiększenie przepustowości o 1,5 mln TEU do poziomu 4,5 mln TEU.*
- *Konstancja (DP World) – inwestycja ok. 130 mln €; podwojenie zdolności przeładunkowych do 1,5 mln TEU oraz nowe terminale ro-ro/projekt cargo (Ro-Ro – ang. Roll-on/Roll-off – typ statku umożliwiającego samodzielny wjazd i zjazd pojazdów po rampach).*
- *Portugalia (Sines i inne porty) – planowane inwestycje ok. 4–4,6 mld € do 2035 r., finansowane głównie z kapitału prywatnego.*

Jak na tym tle wypada przyszły terminal w Świnoujściu?

Zakładana docelowa przepustowość to ok. 2 mln TEU rocznie (zgodnie z projektami umowy koncesyjnej).

Dla porównania: Baltic Hub T3 w Gdańsku (4,4 mln TEU) jest mniejszy pod względem budżetu i skali, ale bardziej zaawansowany. Świnoujście jest projektem mniej kosztownym niż megainwestycje w Rotterdamie, Hamburgu czy Antwerpii.

Inwestycja w Świnoujściu ma znaczenie lokalne, ale nie będzie istotna w skali europejskiej – to raczej port średniej wielkości w skali globalnej. Może jednak okazać się ważny dla regionu południowo-zachodniego Bałtyku i dla Polski. Ta opinia obciążona jest jednak wieloma ograniczeniami. W rzeczywistości siadamy do gry w pokera, nie wiedząc nawet, jakie karty mamy w ręku.

Tak... Ekspertci, specjaliści, analitycy, politycy, obwoźni handlarze idei i lobbyści - jeżdżą, uśmiechają się, rozlewają wokół siebie światłość majestatu politycznego. Grosza własnego nie trwonią. Tu coś przekazują, tam popijają, biletu sieciowego na tramwaj nie potrzebują – za przeloty samolotem my im płacimy. A oni tylko mówią... Maść z kolorowych słów na oczy nam kładą.

„To dzięki wam, to wasza zasługa, że (ence pence, w której ręce...) i dlatego składam wam, w imieniu swoim i nie tylko, serdeczne podziękowania... Jesteście dumą kraju, wzorem do naśladowania, przykładem, że jak się chce, to można... Tak trzymać, braci morska! A ja znów kiedyś do was przyjadę, rybkę skosztuję, spracowaną dłoń ścisnę. I pochwalę.”

W socjalistycznych organach prasowych, w ówczesnym radiu i telewizji, pierwsza informacja w serwisach i dziennikach pokazywała ludowi, co robił nasz ukochany przywódca, kogo odwiedził, pochwalił, zapewnił, umocnił. Dziś twierdzę, że wtedy słowa pierwszego sekretarza KC PZPR miały o wiele większą siłę perswazji niż kazania biskupa. Purpurat był i jest zwykłym nudziarzem, od dwóch tysięcy lat powtarza w kółko to samo – że tylko zbawienie wieczne się liczy.

A w socjalizmie, w zastępstwie Pana Boga, sekretarz zstępował z Komitetu Centralnego i głosząc ideę równości społecznej, budził sumienia, wzmacniał determinację, obiecywał talon na malucha, a

TVSiódemka

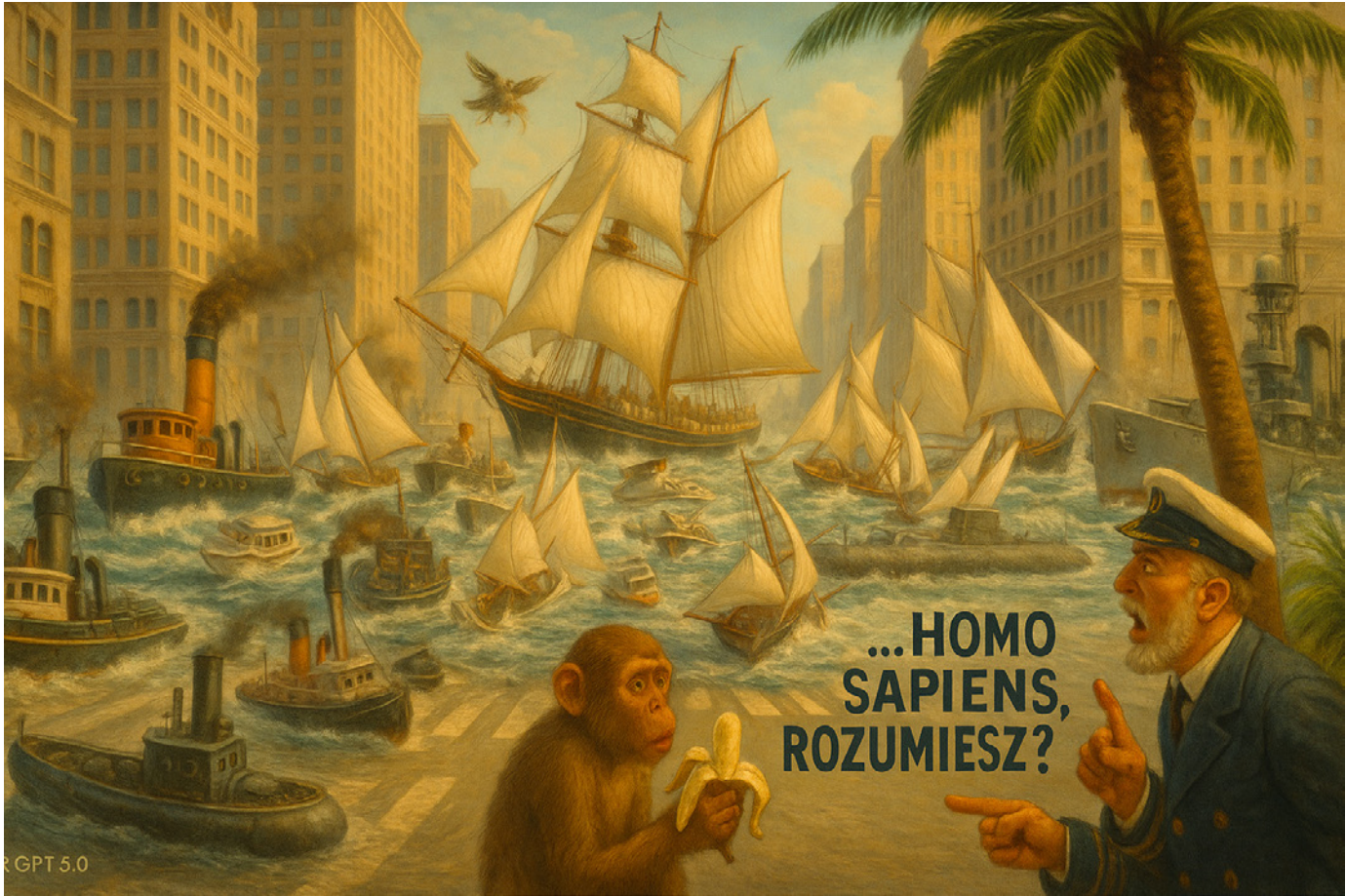
Internetowy miesięcznik niesformatowany

Redakcja: Marek Koszur, Małgorzata Wrzosek
Sekretarz redakcji: Julia Nadolna

Wydawca: MK NET - TV Siódemka,
Adres: Pochyła 13/5, 71-745 Szczecin,
Tel. 785 00 2222, 7@tvsiodemka.pl

Komplet numerów 1-6 w cenie 100PLN do zamówienia na stronie www.tvsiodemka.pl

Łoża Koneserów TVSiódemki - link do gestu wspierającego nasze działania - www.tvsiodemka.pl/sklep



jak dobrze pójdzie – nawet na dużego fiata. „Więc jak, towarzysze, pomożecie?” Każdy chciał mieć malucha, więc jak tu nie pomóc? W końcu – nie obcemu, tylko sobie.

Czy zatem pod auspicjami ministra Marchewki, nowego Edwarda Gierka gospodarki morskiej, czeka nas wreszcie złota era na morzu? Polskimi Fenicjanami się nie staniemy, bo jedyna sfera, w jakiej wykazujemy aktywność, dotyczy portów, a nie żeglugi i okrętownictwa.

Pchamy się więc z budową w Świnoujściu na medalowe, europejskie miejsce? Czy zachodnie porty nie radzą sobie z przeładunkami? Które i dlaczego?

Tam od dawna występują chwilowe spiętrzenia masy ładunków. Na przykład niski stan wody Renu ogranicza wywożenie towarów z terminali kontenerowych w głąb Europy. Polityka celna prezydenta Trumpa zatrzymała i zakłóciła przewóz aut (w porcie Antwerpia–Brugia). Dane statystyczne potwierdzają jednak, że w 2024 r. piętnaście portów Europy Północno-Zachodniej odnotowało łącznie 6% wzrost obrotów.

Zdaniem analityków z Rotterdamu Świnouście nie „zagrozi” największym hubom, ale może realnie osłabić:

- Gdańsk (konkurencja o ładunki z zaplecza zachodniej i południowej Polski oraz Czech i Słowacji),
- Hamburg (część bałtyckiego feederingu i bezpośrednich zawinięć na Bałtyk), mniejsze terminale bałtyckie (redystribucja feederów).

Jak działa feedering?

- Zbieranie towarów – mniejsze statki feederowe zbierają kontenery z mniejszych portów.
- Transport do węzła – feeder przewozi te kontenery do dużego lub głównego terminalu kontenerowego, np. w Hamburgu, Rotterdamie czy Bremerhaven.
- Przeładunek na statek-matkę – w głównym porcie kontenery są przeładowywane na znacznie większe statki, które zabierają je w dalszą podróż przez oceany.

Analitycy spoza Europy również podkreślają wewnątrzkontynentalną kon-

kurencję między Gdańskiem a Szczecinem (mówi się o „kanibalizacji Gdańska”). W przypadku Świnoujścia akcentują ryzyka związane z obszarami Natura 2000 i mnożą pytania o zaplecze lądowe dla nowej inwestycji.

Tak – o zaplecze portu należy już dziś odmawiać tysięczne koronki. To klasyczny model polskiego myślenia: zamiast najpierw zadbać o pełną infrastrukturę, budujemy drapacz chmur, a drogi dojazdowe, parkingi i zieleńce zostawiamy „na zaś”. Czyli – na „nigdy”.

Uwaga – poniższe akapity dedykuję Czytelnikom o mocnych nerwach.

Pytanie: którędy trafią do portu i z niego wyjedzie tysiące kontenerów?

Odpowiedź: Cały ruch ciężarówek odbywać się będzie początkowo szlakami drogowymi, przy wsparciu transportu wodnego, który jednak znacznie odgrywać zauważalną rolę dopiero na etapie funkcjonowania hubu.

Oszczędzę Państwu drobiazgowo zestawienia, przez które sam musiałem przebrnąć. Powiem tylko: każdego dnia nawet 2000 TIR-ów będzie wyruszać i docierać w okolice Świnoujścia i Międzyzdrojów – po nowej, jeszcze nieukończzonej S3. Ta droga ma być wkrótce... rozbudowana, wzmocniona i „uzbrojona” w logistykę.

Pytanie: A którędy te pojazdy wjadą na teren terminala?

Odpowiedź: Przez tunel pod Świną. Tak, przez tunel, dobrodziej – ten z jedną jezdnią i pojedynczymi nitkami. Przez prawie dwa kilometry pod dnem rzeki mknąć będą smoki na kilkunastu kołach każdy.

Pytanie: Co się stanie, jeśli tunel trzeba będzie zamknąć?

Odpowiedź: Proszę o inne pytanie...

Ale wróćmy na morze. Czytelnicy zgłaszali zastrzeżenia dotyczące trwałości prac pogłębiania torów wodnych, doprowadzających największe statki świata do Świnoujścia. Taki tor to nie mogiła – raz wykopany i przyklepany nie czeka spokojnie na sąd ostateczny. To

raczej ruchome piaski.

Specjaliści bezskutecznie chłodzą emocje propagandystów. Zanim takie statki się tu pojawią, musimy potwierdzić stałą głębokość na poziomie 17 m. Co to znaczy „stała głębokość”? To, co powiedziałem – stała. Ale dno Bałtyku to nie to samo co „fundamenty” oceanu (deep sea). To - wielkie jezioro. Największa głębia nie osiąga nawet 500 m. Wiaderko piasku wrzuconego do wody już narusza porządek dna.

Analitycy mówią – z wdziękiem chirurga – że nawet jedna trzecia kosztów funkcjonowania portu o jakim marzymy, dotyczy właśnie utrzymywania głębokości torów podejściowych i nabrzeży.

Wielkość kosztów zależy od specyfiki lokalnej (granulometria, falowanie, prądy, logistyka urobku), ale literatura podaje następujące wartości:

- Koszt pogłębiania: typowo 5–50 USD/m³ (projekty trudne: 50–200+ USD/m³).
- W USA pogłębianie mające na celu utrzymanie stałych parametrów toru, stanowi ok. 80% kosztów O&M (utrzymania i eksploatacji); wydatki sięgają setek mln USD rocznie (skala dużych akwenów). Jednostkowe koszty na m³ rosną w czasie – to punkt odniesienia co do udziału w kosztach systemowych.
- Analizy ekonomiczne pokazują: większe statki to większe koszty „nautyczne” dla portów. Około 1/3 dodatkowych kosztów to pogłębianie (reszta: sprzęt i infrastruktura). To przekłada się na stawkę kosztową na tonę lub TEU.
- Praktyczna implikacja: jeżeli utrzymanie 17 m wymaga np. 1–3 mln m³ rocznie prac utrzymaniowych, sam komponent O&M może podnosić koszt portowy o dziesiątki centów/t lub kilka-kilkanaście euro/TEU (zależnie od wolumenu i miks ładunków).
- W przypadku megastatków (a pana premiera i ministra interesują tylko takie „zabawki”) ok. 1/3 dodatkowych kosztów po stronie portu to pogłębianie, czyli stałe utrzymywanie głębokości.

Te koszty ponosimy my wszyscy – w cenie dostarczanych nam towarów. To jest właśnie cena za gigantomanię i megalomanię.

Jeszcze jedno zdanie o pogłębianiu – a właściwie o jego skutkach w połączeniu z ignorowaną kwestią bezpieczeństwa ekologicznego. Czy ktoś zapytał o konsekwencje ewentualnej katastrofy morskiej w pobliżu portu? Tak, zapytał. Ale minister ani słowem nie wspomina o innych aspektach projektu poza sferą sukcesu!

A powinien przygotować – równie chwalebny, co krytyczny – film ze swoim udziałem, o następującej treści:

Szanowni Państwo, informuję, że terminal kontenerowy w Świnoujściu niesie ze sobą realne ryzyka: kolizje, wycieki, awarie, ale także zagrożenia chroniczne – zanieczyszczenie powietrza, hałas, degradację środowiska. Raport środowiskowy wskazuje na niedoszacowane skutki hałasu, emisji, zanieczyszczenia wód oraz ryzyko degradacji obszarów Natura 2000. Szczególnie zagrożona jest dzielnica Warszów, przewidywana jako obszar najbardziej obciążony społecznie. W lokalnych mediach mieszkańcy ostrzegają przed zagrożeniami ekologicznymi i militarnymi, ukrywanymi pod płaszczykiem inwestycji cywilnej.

Raport oddziaływania inwestycji (GTK) ujawnia, że nasz, rządowy projekt wykracza poza granice administracyjne miasta i może oddziaływać na region – co sugeruje szeroki zasięg skutków. Pojawiają się ostrzeżenia o ryzyku wykrycia amunicji chemicznej z czasów wojny. To tyle na dziś o tym, co my robimy dla was.

Ale takiej płomiennej relacji nie usłyszymy. Bo kto sam pod sobą kopie dolki? W dodatku - morską pogłębiarką? Ekolodzy niemieccy zgłosili powyższe zastrzeżenia, które jednak sąd oddalił. „Rygory obszarów Natura 2000 nie są zagrożone” – brzmiał wyrok.

Oby tak było. Jednak każdy, kto ma wyobraźnię, nie oprze się

refleksji:

- Sedymentacja / mętność / przemieszczanie osadów – systematyczne pogłębianie ma kolosalny wpływ na siedliska. Literatura i studia przypadków pokazują dużą niepewność prognoz sedymentacji, czyli opadania cząstek stałych pod wpływem grawitacji. Grozi nam zmiana stanu wód Bałtyku z morskiej na żółtawą breję pełną nie planktonu, lecz zanieczyszczeń. To nie będzie już tylko zwykły ściek.
- Hydrodynamika / sztormy – modele wysokiej rozdzielczości dla Bałtyku i Zatoki Ryskiej wskazują na szybką akumulację osadów w torach i przy wejściach po każdym sztormie. To przekłada się na koszty O&M (utrzymania głębokości toru). Analogiczne mechanizmy występują także na południowym Bałtyku – czyli w Świnoujściu.
- Zanieczyszczenia w osadach (mikroplastik, dioksyny) – wymagają stałego monitoringu przy refulacji i składowaniu urobku.
- Możemy te zagadnienia rozwinąć:**
- Zanieczyszczenie powietrza (emisje spalin, pyły, NOx/SOx, PM2.5/PM10). Terminale i porty cechują się wyższymi emisjami niż otaczające je regiony – ze względu na ruch ciężarówek, pracę dźwigów, maszyn, generatorów i statków. Badania pokazują, że regiony portowe mają średnio wyższe stężenia zanieczyszczeń powietrza niż obszary poza tą strefą. Długotrwała ekspozycja zwiększa ryzyko chorób układu oddechowego, sercowo-naczyniowego oraz nowotworów u mieszkańców pobliskich terenów.
- Hałas, drgania i światło nocne. Operacje portowe generują hałas: ruch ciężarówek, pracę dźwigów i maszyn, przetaczanie kontenerów, prace nocne. Mogą też występować drgania podłoża, wpływające na budynki i ich fundamenty. Światła portowe – reflektory i oświetlenie nabrzeży nocą – mogą powodować tzw. light pollution, czyli zanieczyszczenie świetlne, które wpływa negatywnie na ekosystemy i komfort mieszkańców. W portach uznaje się to za jedną z kategorii oddziaływań wymagających ograniczeń.
- Zanieczyszczenie wód i gleby:
- Spływy powierzchniowe: wody deszczowe spłukujące z placów portowych mogą zawierać oleje, metale ciężkie (z asfaltów, smarów), substancje chemiczne z pojazdów i sprzętu.
- Przekieki i wycieki: substancji chemicznych, paliw, olejów – podczas magazynowania, obsługi maszyn, tankowania statków.
- Urobek z pogłębiania: materiał wydobywany z dna może zawierać substancje toksyczne nagromadzone w osadach (metale, związki organiczne). Jeśli nie zostanie odpowiednio zagospodarowany, może skażić wodę i glebę.
- Ingerencje w hydrodynamikę brzegu i koryta: zmiany prądów, erozja, zmiany sedymentacyjne.
- Wpływ na ekosystemy morskie i przybrzeżne:
- utrata siedlisk (zarośla, ławice, łąki morskie) podczas budowy i wydłubania nabrzeży oraz falochronów,
- zakłócenia rybołówstwa lokalnego, migracji organizmów i topografii dna,
- światło, hałas i wibracje podwodne mogą wpływać negatywnie na organizmy morskie (ryby, ssaki, bezkręgowce),
- rozprzestrzenianie gatunków inwazyjnych (biofouling) przez statki. W regionie Morza Bałtyckiego to realne ryzyko – zarządzanie biofoulingiem jest istotnym tematem w żegludze.
- Zmiany krajobrazowe, wizualne i socjokulturowe: terminal i infrastruktura portowa zmieniają estetykę wybrzeża, linie horyzontu, może dojść do „industrializacji” strefy przybrzeżnej, co dla mieszkańców – w tym dla turystyki i walorów krajobrazowych – będzie odczuwalne. Ponadto presja urbanistyczna, konieczność budowy infrastruktury komunikacyjnej, parkingów, dróg pomocniczych i zmian w zagospodarowaniu terenów może prowadzić do konfliktów przestrzennych.

Wiele lat temu odbyłem rejs na pogłębiarce na wodach u wejścia do Świnoujścia. Z kamerą przyglądaliśmy się zawartości wydobywanej przez czerpaki pogłębiarki: przede wszystkim żwir, piasek, żelastwo, rybackie sieci, resztki wraków kutrów, a nawet samolotów.

Nie znajduję jednoznacznego potwierdzenia, że problem zagospodarowania urobku z refulacji został definitywnie rozwiązany. Ten urobek

to... własność społeczna, państwowa. Ale żeby ją zagospodarować – na przykład przez prywatną firmę – trzeba przejść drogą przez mękę. Jest temat? Jest. Nie uwierzą Państwo, jak bardzo księżycowym jesteście państwem.

Czy jednak rzeczywiście...

...dojdzie do budowy „morskiego cudu” obecnej koalicji? Niewykluczone, choć wcale nie przesądzone.

Przed miesiącem wspominałem o możliwych formach międzynarodowej presji na polski rząd. Jednak w mailach od Czytelników i w rozmowach telefonicznych kilkakrotnie powtarzało się stwierdzenie: „Wolność, Tomku, w swoim domu”.

To porzekadło z fredrowskiej bajki o Pawle i Gawle zawiera morał: tak, możesz u siebie robić, co chcesz – pod warunkiem, że nie przeszkadzasz innym i nie pogarszasz ich sytuacji! Czy terminal w Świnoujściu nie budzi niepokoju także wśród naszych sąsiadów?

Rzuciłem okiem na analizy holenderskie, niemieckie, belgijskie, a także skandynawskie.

Przypomnę: po wyroku WSA z 4 sierpnia 2025 r., oddalającym skargi na decyzję środowiskową GDOŚ, stronom przysługuje skarga kasacyjna do NSA. Równolegle możliwe są spory dotyczące decyzji lokalizacyjnych, budowlanych i wodnych (oddzielne postępowania).

Ponadto strony sporu (niemieckie organizacje ekologiczne, a w pewnym momencie także Prezydent Świnoujścia) mogą przenieść sprawę na poziom europejski.

- Dyrektywa EIA (2011/92/UE z nowelizacją 2014/52/UE) – dopuszcza zgłoszenie do KE w sprawie zgodności postępowania; KE może wszcząć postępowanie naruszeniowe, a spór skierować do TSUE.

- Konwencja z Aarhus – ścieżki dostępu do wymiaru sprawiedliwości dla społeczeństwa i NGO; możliwe skargi do Aarhus Compliance Committee (charakter „quasi-sądowy”, presja na państwo).

- Konwencja z Espoo (transgraniczna OOS) + umowy dwustronne PL–DE – gdy strona uzna, że oddziaływanie transgraniczne oceniono niewłaściwie, może skierować sprawę na forum Espoo Implementation Committee; to nie „weto”, lecz mechanizm nacisku i zaleceń.

Ten ostatni punkt... Gdy strona niemiecka uzna, że oddziaływanie transgraniczne budzi zastrzeżenia... Wiadomo, co zrobi. Chyba, że uzyska coś w zamian...

Lecz nade wszystko – a o tym nikt nie mówi, z broadwayowskim w stylu komunikacji ministrem na czele –

Kto zagwarantuje, że terminal będzie w pełni wykorzystany, a zainwestowane środki zwrócą się w zaplanowanym czasie?

Operatorem-inwestorem nowego terminala kontenerowego w Świnoujściu jest konsorcjum DEME Concessions (Belgia) i QTerminals (Katar), które ma terminal zaprojektować, sfinansować, wybudować i eksploatować w formule dzierżawy długoterminowej.

Co już jest przesądzone (wg dokumentów/komunikatów):

- Model i podmiot: QTerminals + DEME Concessions jako wspólny inwestor/operator (JV) – oficjalne komunikaty spółek i portu.

- Dzierżawa: zgoda rządu/ZMPŚS na 30-letnią dzierżawę ~75 ha pod terminal (formuła build-operate-transfer).

- Zakres inwestora: zaprojektowanie i budowa terminalu przez inwestora (JV); infrastruktura dostępowa (falochron, tor podejściowy) – po stronie państwowych instytucji portowych/morskich.

Co to oznacza w praktyce (prawa/obowiązki w takim modelu)?

- Operator (JV): uzyskuje prawo do korzystania z terenu i eksploatacji terminalu; odpowiada za CAPEX terminalowy (nabrzeża, place, suwnice, systemy IT), OPEX i komercjalizację (pozyskanie serwisów/armatorów). (Wynika z opisu BOT/dzierżawy i oficjalnych komunikatów).

- Zarząd Portów/państwo: zapewni infrastrukturę „zewnętrzną” (falochron, tor), dostępność nawigacyjną; pobiera czynsz/opłaty zgodnie z umową dzierżawy.

Ryzyka i „punkty zapalne”, które warto śledzić:

1. Środowisko/Natura 2000 i procedury transgraniczne – choć WSA oddalił skargi, możliwe są dalsze ruchy (NSA, ścieżki UE – EIA/Aarhus/Espoo).

2. Harmonogram i koszty – Intermodalnews podawał orientacyjne koszty i termin zakończenia (przełom 2028/2029); opóźnienia w pracach hydrotechnicznych czy dostępowych mogą przesunąć start komercyjny.

3. Dostęp lądowy/logistyka – **powodzenie komercyjne zależy od przepustowości dróg/kolei** (niezależny wątek, ale krytyczny dla realnej przepustowości terminalu). (Wniosek operacyjny; brak jednej oficjalnej strony – do monitorowania planów inwestycyjnych ZMPŚS i GDDKiA).

4. Struktura operatora – zwykle powoływana jest spółka celowa (SPV) JV; warto sprawdzić ostateczną nazwę i KRS spółki, gdy zostanie ujawniona w komunikatach portu/operatora. (Na dziś komunikaty mówią o konsorcjum JV).

Tekst artykułu zacząłem od pytania: **czy polityka morska jest sexy?** W polskim wydaniu – wręcz wyłącznie taka.

„Sexy” oznacza cechy i zachowania, które budzą pociąg i fascynację, często związane z pewnością siebie, samoświadomością, naturalnym wdziękiem oraz umiejętnością subtelnej podkreślenia atutów – na przykład poprzez modę czy stylizację. Seksowność tkwi w inteligencji, poczuciu humoru, otwartości i dbaniu o siebie, a nie tylko w wyglądzie zewnętrznym.

Czytam definicję raz jeszcze. Ani słowa o ekonomice, o inżynierii i technice, o biznesie i... A w szczególności - o budowie portu!

Dlatego dodałem podtytuł: „Jak poderwać samego siebie”.

Ano właśnie tak – mówić o celu, bez ukazania i potwierdzenia pewności, że nasze przedsięwzięcie nie jest jedynie ekscesem medialnym, projekcją nadmiernie pobudzonej ambicji,



syndromem prymusa, który – nie bacząc na opinie i racje – chce się wykazać, że... w Polsce można wydać fortunę na zamki z piasku.

Nikt nas – społeczeństwa, fundatorów terminala – nie informuje o bezpieczeństwie gigantycznych obszarów nadbrzeżnych. Dziś zakłócanie sygnału radiowego nad Bałtykiem jest faktem. Nikt nie zastanawia się nad jakością życia tutejszych mieszkańców ani tysięcy gości uzdrowiska Świnoujście. Powtórzyć? Uzdrowiska. O ptaszki czy żabki nawet nie pytam.

Ren i Hamburg to kręgosłup modelowego rozwiązania łączącego drogi wodne z portem morskim. Ren ma kłopoty z wodą. Wisła i Odra również, a poza tym mają znikome znaczenie w dowozie i odwozie ładunków portowych. A o programach „Wisła” i „Odra”, tak nagłaśnianych na przełomie lat 70. i 80., nikt dziś nie pamięta. A to były akty poczęcia wielkich projektów nadmorskich – podobnych do tego w Świnoujściu.

W tym miejscu przerywam komentowanie głosów Czytelników. Materiału wystarczy na dwa kolejne wydania miesięcznika „TVSiódemka”. Życie doda następne dwa. To stwierdzenie nawiązuje do bezwzględnie koniecznej, a wciąż niedocenianej potrzeby stałego informowania opinii publicznej o planach, zamierzeniach, rezultatach i niepowodzeniach polskiej polityki morskiej. O potrzebie tłumaczenia jej, przemawiania językiem społeczności morskiej. A język ten wręcz oszalał nowymi pojęciami, terminami i określeniami.

Potrzebna jest codzienna gazeta morska – dla regionu i dla całego kraju.

Gdańskie serwisy medialne koncentrują się przede wszystkim na lokalnych zagadnieniach. Świetnie reagują na sygnały ze świata, ale Pomorzu Zachodniemu poświęcają tyle uwagi, ile morski kot napłaczę.

Szczecińskie media, ubezwłasnowolnione, pozbawione tożsamości i kompetentnych piór publicystów oraz komentatorów, przepisują materiały promocyjne i prasowe organów władzy. Nie

Niemal słowem nie wspomniałem o kwestii nadnajważniejszej - o bezpieczeństwie czy też zagrożeniach o charakterze militarnym. Gwarantuję, każdego dnia czytać będziemy informacje o niezidentyfikowanych obiektach lub zaskakujących "przypadkach" w rodzaju: morskie kolizje, tajemnicze eksplozje, niewytłumaczalne tłumienie sygnałów radiowych. Tę kwestię, ledwie śladowo, podjął w liście do uczestników XI Kongresu Morskiego minister Obrony Narodowej.



komentują i nie recenzują posunięć administracji lokalnej czy samorządowej. Nie reprezentują interesów Czytelników morskiego regionu - Pomorza Zachodniego.

PS. Kto wymyślił tę nazwę? Historycznie to twór okresu powojennego, nie mający żadnego odniesienia do dziejów – nie tylko Polski nad Bałtykiem.



Wiceprezes Rady Ministrów
Minister Obrony Narodowej

Władysław Kosiniak-Kamysz



Warszawa, 15 maja 2025 r.

Do uczestników Międzynarodowego Kongresu Morskiego

Szanowni Państwo!

Morze Bałtyckie odgrywa kluczową rolę dla gospodarki i bezpieczeństwa Rzeczypospolitej Polskiej. Jako państwo nadbrzeżne, Polska czerpie z Bałtyku korzyści – poprzez handel morski, rozwój portów, przemysł stoczniowy czy energetykę morską – ale również korzysta ze strategicznych możliwości obrony oraz zaopatrzenia i logistyki, które mają fundamentalne znaczenie dla stabilności całego regionu.

W dobie napięć geopolitycznych oraz dynamicznych zmian środowiska ekonomicznego konieczne staje się zintegrowane podejście do strategii wobec Bałtyku. Musimy godzić i łączyć interesy gospodarki oraz bezpieczeństwa, a także uwzględniać takie zagadnienia jak ochrona środowiska i zrównoważony rozwój. Bałtyk nie jest tylko naszym oknem na świat – jest też odpowiedzialnością, którą dzielimy w ramach współpracy międzynarodowej.

Dziękuję uczestnikom Międzynarodowego Kongresu Morskiego za podjęcie tak ważnych i aktualnych tematów oraz za stworzenie przestrzeni do dialogu i wymiany doświadczeń. Dziękuję również wszystkim Gościom za ich obecność i zaangażowanie. Życzę Państwu owocnych obrad oraz wielu inspirujących rozmów.

Z wyrazami szacunku



Było nas trzech

Leonardo da Vinci, Albert Einstein i... ja. Moi koledzy od pewnego czasu zajęci są innymi kwestiami; mnie pozostawili uporządkowanie tego, na co im czasu już nie starczyło. Oto siła przyjaźni. Zobowiązuje.

Jestem admiratorem Alberta Einsteina, choć nie do końca umiem wyjaśnić, dlaczego? Niemniej spełniłem swoje marzenie: łamiąc (powiedzmy delikatniej – naginając) regulamin obowiązujący gości domku uczonego, zamienionego w muzeum - usiadłem za biurkiem fizyka i...

I wtedy poczułem, jak opuszczam *real world*, a mój umysł otwiera się na największe tajemnice naszego istnienia. Problem w tym, że całą wiedzę, o której tak w realu marzymy, poznajemy w tym szczególnym stanie ducha, ale wracając do postaci fizycznie siedzącej przy biurku, w sztruksowej koszuli z wytartymi rękawami – tajemną wiedzę zostawiamy za drzwiami nadświadomości.

Metafizyka morza

czyli: wlaź kotek na statek i...

...i nie dość, że nikt nie dopisał marynistycznej wersji tej bez wątpienia przez wszystkich znanej piosenki, to nawet najteższe umysły morskie kraju na ten pomysł dotychczas nie wpadły, by próbę taką podjąć!

Przysłowia i porzekadła to synteza narodowej mądrości. Zanim więc wrócę do rozważań na poziomie da Vinci i Einsteina - zanurzymy się w wielowiekową tradycję.

Mówi się - wyszał z mlekiem matki. A w sprawach morskich? Co i komu można wyszać?

Jak ssą ssaki morskie



Nie wiem, kto pierwszy wmówił ludzkości, że „ssanie” to czynność prosta jak budowa pagaja. Tymczasem ocean — ten stary ironista — robi wszystko, żeby udowodnić, że karmienie dzieci to sport wyczynowy, dyscyplina olimpijska i sztuka performance w jednym. Proszę bardzo: ssaki morskie. Niby „ssaki”, a jednak bez klasycznego ssania: nazwa jedno, praktyka drugie. Weźmy walenie. Maluch delfina czy wieloryba nie przykładą się do „butelki oceanu” i nie pociągają jak niemowlę przy kółku. W wodzie na nic delikatne ciumkanie, bo zaraz zamiast obiadu byłby napój izotoniczny o wdzięcznej nazwie „*ocean latte*”. Matka więc bierze sprawy w swoje pletwy: wystrzeliwuje mleko pod ciśnieniem. Cielę zwija język w lejek-uszczelkę, przytyka do dyskretnie schowanej brodawki i... gotowe. Barista by się nie powstydział takiego espresso macchiato świata natury. I nikt tu nie pyta o piankę. Foki? To dopiero program „Express Laktacja”. Na lądzie albo na lodzie — żeby małemu się futro nie zamoczyło — kilka do kilkunastu dni intensywnego karmienia. Matka pości, dziecko przybiera jak na drożdżach, bo mleko to prawie masło (tłuszcz do 60%). *Fast lactation, slow food*. Wystarczy mrugnąć, a z rozczulającego kluseczka robi się solidny podrostek, gotów, by przyjąć na klatę pierwszą falę, i w dodatku drugą, bo — jak mawiają Islandczycy — „rzadko przyplwya tylko jedna fala”. Za to uchatki grają w zupełnie inną grę: karmienie na raty. Kolonia na brzegu, mama do morza, wraca, karmi, znowu w morze, znowu wraca — i tak miesiącami. Harmonogram jak u freelancera na trzech projektach: trochę w domu, trochę w terenie, deadline codziennie.

Mors — jest tradycjonalistą: i na lądzie, i w wodzie, byle blisko mamy, byle ciepło i spokojnie. Manaty i diugonie wprowadzają elegancki twist: brodawki pod pachą. Natura najwyraźniej uznała, że skoro pletwy i tak zajęte, to logistykę trzeba przenieść „na ramię”. Brzmi jak żart? Proszę sobie wyobrazić karmienie w pozycji bocznej, w prądzie wodnym, przy zerowej widoczności, bez instrukcji w stylu IKEA. A jednak działa — od setek tysięcy lat.

Najbardziej filmowa jest wydra morska. Matka leży na plecach, dziecko na brzuchu, karmienie *à la* leżak plażowy. Pomiedzy jednym tykiem a drugim — szybkie czesanie futra, bo futro to pianka neoprenowa wydry.

Wspólny mianownik tych wszystkich sytuacji? Mleko-torpeda: gęste, tłuste, treściwe. W oceanicznej lodówce ssaki muszą budować izolację termiczną, czyli warstwę tłuszczu, zanim pierwsza poważna sztormowa lekcja rozbije ich romantyczne wyobrażenia o morzu. Przyrosty masy u największych gatunków idą w dziesiątki kilogramów dziennie — to nie żart.

I teraz najciekawsze: w tym świecie „ssania bez ssania” nie ma miejsca na przypadkowość. Każdy detal jest po coś. Uszczelka z języka? Żeby mleko nie mieszało się z wodą. Krótka laktacja u fok? Bo okno pogodowe w Arktyce jest krót-

sze niż konferencja prasowa o „rekordach przeładunkowych”. Długa, przerywana u uchatkowatych? Bo żerowiska leżą dalej, a dzieci — jak to dzieci — potrzebują karmienia i matki, ale niekoniecznie jednocześnie. Manaty ze „smocznem pod pachą”? Bo w zaroślach morskich trzeba mieć wolny pysk do trawy, a dziecko blisko serca.

Morze wymusza pragmatyzm. Tu nie ma „jakoś to będzie”, tylko „to musi działać”. Być może dlatego kultury morskie lubią mówić, że ktoś „ma słoną wodę we krwi” albo „urodził się z solą w żyłach”. Bo jeśli coś naprawdę wchodzi w krew, to nie legenda o romantycznym rejsie, tylko rzetelny odruch: czy uszczelka trzyma, czy mleko ma parametry, czy maluch rośnie, a kolejny ryk chwycimy zanim przyplynie następna fala.

Gdyby szkoły przyrody miały poczucie humoru, pierwszy rozdział podręcznika brzmiałby: „Odruch oksytocynowy — czyli jak matka wieloryb robi z ciebie człowieka”. Bo serio: spektakl „karmienie w toni” to lekcja inżynierii płynów, ergonomii, żywienia klinicznego i zarządzania ryzykiem. MBA w wersji słonej i morskiej. A gdy następnym razem usłyszymy, że ktoś „wyszał miłość do morza z mlekiem matki”, spróbujmy pomyśleć o tym dosłownie. O języku zwiniętym w lejek. O mleku, które nie kapie, lecz leci jak z precyzyjnego dozownika. I o młodym, który rośnie szybciej niż budżet festiwalu piwa na nabrzeżu.

Bo może prawdziwa „edukacja morska” zaczyna się nie na paradzie żaglowców, lecz w tej ciszy pod powierzchnią, kiedy dwa ssaki uczą się siebie: **jedno dawać, drugie przyjmować, i oboje — płynąć dalej**. A cały ocean, ten wielki ironista, kiwa tylko głową: „Dobrze, dzieci. Teraz fala numer dwa. I... hop!”.



Chat GPT5,0

Właśnie kończę remont mojego domu, którego kamienne fundamenty, jak szacuję, mają ponad 250 lat. Ale samo siedlisko — o! — mogłoby być miejscem narodzin naszej cywilizacji. Przecież nie zamieszkałbym byle gdzie, prawda?

Stoimy z majstrem na poddaszu, podziwiając jego niezwykłość i obaj, nagle — chyba nie do końca świadomie — zawieszamy żywo toczącą się rozmowę. Przeszujemy z miejsca na miejsce, wykonujemy ruchy niemal rytualne, jakbyśmy próbowali wpasować się w jakiś niewidzialny, ale wyraźnie wyczuwalny kombinezon, kapsułę, formę, która za wszelką cenę dąży do zamknięcia „nas” w swoim kształcie. Kiedy ta „forma” swój cel osiągnęła, wznowiliśmy rozmowę, nie zwracając uwagi na to, co działo się z nami w ciągu ostatnich sekund — milisekund, mgnienia ledwie? Ale — czegoś wyczuwalnego.

Wszystko, co powiedziałem przed chwilą, nie ma żadnego związku z tym, co powiem za moment. Chyba że...

Ale nie uprzedzajmy faktów.

MILIARD

Kiedys mówiło się — kto pisze tylko dużymi literami, ten krzyczy.

Dziś pewnie pogląd ten złagodzone; duże litery zwracają uwagę na treść lub nazwisko człowieka, które tak właśnie utrwalono. Na przykład Amerigo Vespucci. Wszędzie pisany dużą literą. Ja też właśnie tak oznaczyłbym godność Polaka, który zdefiniowałby, a zarazem czuwał nad realizacją dzieła pod tytułem „Polska polityka morska”.

Przypomnę: Chociaż Krzysztofowi Kolumbowi przypisuje się odkrycie „Nowego Świata”, on wierzył, że dotarł do Azji. Amerigo Vespucci potwierdził jednak, że nie była to Azja, a odrębny kontynent. Z tego powodu Ameryka Północna i Południowa noszą jego imię. Niech więc ten kartograf dziś nam towarzyszy. Tekst poniższy uzupełnię fotografiami żaglowca „Amerigo Vespucci”, które wykonałem pół wieku temu.

Pamiętamy przede wszystkim tych, którzy naszemu życiu nadali sens, kształt, miano. Na rzecz polskiego morza pracowały miliony Polaków, ale wspominamy przede wszystkim Eugeniusza Kwiatkowskiego. Czarodzieja, który ośmielił się nam powiedzieć, co w sprawach morza robić powinniśmy.

Obecna koalicja zawistowała w tej grze bardzo wysoko: MILIARD na edukację na statkach szkolnych. Co z taką górą pieniędzy byłibyśmy w stanie zrobić na niwie wychowania społeczeństwa morskiego, szkolenia żeglarskiego, popularyzacji wiedzy o gospodarce morskiej? Albo — mówiąc językiem praktyki — ile Optimistów można za taką kwotę puścić na wodę, w każdym zakątku kraju? I pytanie nadrzędne: ile dzieciaków mogłoby tą drogą przeżyć, być może, największą przygodę życia, doświadczyć stanów i możliwości niedostępnych tak wyraziście gdziekolwiek indziej?

Dla niezorientowanych:

Optimist — (za Wikipedią) najmniejsza monotypowa międzynarodowa klasa jachtów, przeznaczona dla dzieci i młodzieży do 15 lat. To łódka regatowa. Jej kokpit zajmuje połowę jachtu. Kadłub wykonywany jest zazwyczaj z włókna szklanego, choć zdarzają się drewniane.

Optimist został zaprojektowany w 1947 roku przez Amerykanina Clarka Millsa na prośbę klubu Clearwater Florida Optimist — a dokładniej majora Clifforda A. McKaya, który chciał zaoferować tanie żeglowanie dla młodych. Klub Optimista prowadził zawody małych samochodów, ale chciano, aby organizowane wydarzenia nie było czymś więcej niż jednodniowym zrywem. Szukano więc taniego odpowiednika dla żeglarzy. Clark zaprojektował prosty, „śmieszny”, prostokątny kadłub, który mógł być zbudowany z dwóch arkuszy sklejk 4×8 stóp (122×244 cm). Łódka została wyposażona w rozprzowy żagiel i nazwana Optimist Pram. W Polsce pierwsze Optimisty pojawiły się w połowie lat 60. XX wieku. Często nazywane są „mydelniczkami”.

Sprawdziłem ceny Optimistów:

- podstawowy używany (dobry): 1 000–5 000 zł
- regatowy używany (lepszy): 5 000–12 000 zł
- nowy model klasyczny / import (pełna wersja z wyposażeniem): od ok. 3 000 € wzwyż (zależnie od modelu).

Przyjmijmy średnią cenę — 10 tysięcy. To za miliard złotych, ile Optimistów puścimy na wodę? Sto milionów? Nie. Dziesięć tysięcy za sztukę daje sto tysięcy łódek.

Powierzchnia kadłuba to 2,76 m², czyli wszystkie razem, ustawione burtą w burtę, zajmą 276 000 000 m². Tak! Przykrylibyśmy Optimistami cały Szczecin albo połowę Warszawy. Wybieram stolicę — bo



tam mają już gotową latarnię morską, czyli Pałac Kultury.

Demagogia? A kto mi zabroni? Jej celem jest walnięcie decydentów w łeb „tą poziomą belką”, co żagiel od dołu przytrzymuje, a przy zwrocie - z jednej na drugą stronę łódki się przesuwają. Na marginesie: **język żeglarski jest dziś praktycznie językiem obcym dla całego społeczeństwa „pszenno-buraczanej Polski”**.

I drugi margines: wprowadziłbym obowiązkowy test z manewrowania Optimistem wśród urzędników magistratu i samorządu. Nierealne? Zgadza się – ale nie z powodu braku możliwości, tylko całkowitego pozbawienia wyobraźni ich zwierzchników. Znam próby podejmowane przez menedżerów firm „ostro” grających na giełdach i w relacjach międzynarodowych. Zaliczony test z żeglarstwa oceanicznego albo alpinizmu bywa najlepszą rekomendacją dla osób starających się o zatrudnienie w tych „wyrafinowanych” firmach.

(poniżej: Zajęcia sekcji Optimist w AZS. 1992 Fot. Marek Koszur)



Spirytyzm realny

Po powrocie – chyba z Mini Transat (na jachcie Spanielek w 1977 roku w regatach Mini-Transat zajął drugie miejsce) – rozmawialiśmy w mieszkaniu Kubu Jaworskiego o polskiej duszy morskiej. Kątem oka oglądaliśmy transmisję z America's Cup.

– Nasz udział w tych zmaganiach, za mojego życia, nieosiągalny – mówił kapitan. – Amerykanie to inny naród. Zrób takie doświadczenie. Na morskim brzegu wyjmij z łodzi wiosło i rusz z nim prosto przed siebie. Miejsce, w którym mijający cię człowiek zapyta, co niesiesz na ramieniu, będzie granicą kraju morskiego. Gwarantuję – nie wyjdiesz poza opłotki Świnoujścia...

To anegdota z końca lat 70. XX wieku. A dziś? Czy ktoś w Szczecinie wie, jaki jest stan naszego żeglarstwa? Żyje ono jeszcze? Jest w śpiączce? Na emeryturze? Sprywatyzowało się do końca? **Pytam o żeglarstwo armatorskie, społeczne, dostępne dla wszystkich chętnych, klubowe, otwarte.** Czy mogę dziś przyjść do klubu żeglarskiego i powiedzieć: hej, chcę zostać żeglarzem; jak możecie mi pomóc?

W PRL-u jacht mógł mieć syn premiera Jaroszewicza albo prezes telewizji Maciej Szczepański. Jemu przypisano „Pogorię”, ponoć wykonaną ze złota, ze stajnią dla ulubionego konia prezesa. Popłynąłem więc w rejs na „Pogorii”, a po powrocie – w prasie lokalnej i ogólnopolskiej (wtedy reżimowej) oraz w radiu – zdałem relację: nie ma stajni ani złotych klamek. Jest młodzież zafascynowana żeglowaniem.

Potem były świetne sezony kapitana Andrzeja Mendygrała na „Henryku Rutkowskim” z młodzieżą z całego kraju. Rejsy sponsorowała spółka Universal. Prezes Dariusz Przywieczerski – tak, ten prezes – nie szczędził grosza na promocję yachtingu. Wreszcie kapitan Krzysztof Baranowski i idea „Szkoły pod Żaglami”. Kulala, kulala – i ostatecznie się skomercjalizowała.

Dziś Gdańska Szkoła pod Żaglami (na żaglowcu STS „Generał Żaruski”) proponuje rejsy dla młodzieży w wieku 15–25 lat. „Fabryka Naukowców” – wakacyjne rejsy na żaglowcach dla młodzieży w wieku 14–19 lat. Albo Chrześcijańska Szkoła pod Żaglami – rejsy i obozy żeglarskie.

Umieścimy te inicjatywy na szerszym tle.

Pod względem długości ...

...brzegu morskiego netto Polska jest w Europie państwem w końcówce drugiej dziesiątki. Norwegia, Grecja i Wielka Brytania to morskie imperia. Polska ma ok. 440 km, a Norwegia 25 tysięcy kilometrów linii brzegowej netto. Gdyby doliczyć wyspy – ok. 100 tysięcy kilometrów, czyli dwie i pół długości równika. Od Norwegów i Greków zatem winniśmy brać przykład, jak do morza w konkury uderzać.

Kiedy Polska Żegluga Bałtycka uruchomiła połączenie z Oslo, kilka razy odwiedzałem tamtejsze, a także duńskie szkoły i przyglądałem się powszechnej, naturalnej obecności morza w codziennym życiu Skandynawów. Zaskoczył mnie fakt, że na pierwszym miejscu umieszczono kwestie ratownictwa i bezpieczeństwa morskiego, a dopiero ich uzupełnieniem był sport i przygoda.

2005 rok? Chyba początek jesieni... W sali szczecińskiej Rady Miasta odbywało się wielkie zebranie na temat organizacji pierwszego złotu żaglowców. Atmosfera gorąca; „dyplomacja i łowy” ukierunkowane na posady w Biurze Regat. Głosowanie. Są wyniki! Szczęśliwi i rozpromienieni gromadnie wychodzą z sali. Ja próbuję dobić się do głosu. Przekrzykuję tłum.

– Czy ktoś z państwa kiedykolwiek uczestniczył w regatach Cutty Sark (późniejsze The Tall Ships' Races)? Kto pracował w biurze organizacyjnym tych regat – w Europie albo USA? **Kto ma pojęcie o organizacji złotu żaglowców?**

Mój głos ugrzązł w ogólnym rozgardiaszu.. Ruszyłem do wyjścia.

– Planujemy wyjazd do jednego z portów etapowych w przyszłym roku – dobiegła mnie odpowiedź szefa biura, kapitana żeglugi wielkiej.

Rok później zamigotała w magistracie czerwona lampka: promocja i medialna oprawa regat są w proszku. W górach Frankenwaldu odebrałem zaproszenie do zorganizowania Biura Prasowego i medialnej promocji.

– Na cito! – ten sam co przed rokiem głos kapitana Marcina Raciborskiego nie pozostawiał złudzeń co do stanu organizacji złotu.

Biuro powstało, plan przygotowałem, ale z przyrzeczonych przez prezydenta Piotra Krzystka sześciu milionów budżetu medialnego, zobaczyłem mizerne resztki. Całość, w 2007 roku, pochłonęła kampania do przyspieszonych, jesiennych wyborów do Sejmu. Wcześniej, jesienią 2006 – wybory samorządowe. Kandydaci – na lewo i prawo – reklamowali regaty, a **płatne** publikacje i wywiady z nimi ukazywały się w **bezpłatnych** czasopismach rozrzuconych po całym Szczecinie. Za każde opublikowane logo regat – płaciło miasto. Jego ulice obwieszono setkami plakatów. A mój plan był dokładnie odwrotny: billboardy wszędzie, tylko nie w Szczecinie. Tu miejscowe media zrobią wszystko, by tematem regat „wygrać” zainteresowanie czytelników, widzów i słuchaczy. Monstrualnej wielkości reklamy miały zawisnąć na wschodzie i zachodzie kraju, w Czechach, w Niemczech, na Ukrainie. Dlatego w biurze zatrudniłem ludzi ze znajomością tamtych języków. No i zawiśły – reklamy, nie ludzie – tylko w Szczecinie.

Kulisy tego pierwszego szczecińskiego złotu są zawstydzające. Będzie jeszcze okazja, by więcej o tym opowiedzieć. Zamiast podjęcia wyzwania – zainicjowania wtedy stałej, rutynowej **akcji edukacyjnej** – zamieniono wizytę żaglowców w festiwal badziewia i piwa. Od tamtej pory browary prześcigają się w zdobyciu wyłącznego prawa do upowszechniania opilstwa w Szczecinie.

Morski totolotek

Ale wracam do idei. Czyli – do pieniędzy.

Pieniądze dostają ci, którzy o nie proszą. Nie dostaje ktoś taki, jak Icek z dowcipu: „Panie Boże, tak się do Ciebie modlę, a w totka wygrywają wszyscy, tylko nie ja”. Bóg na to: „Icek, ty daj mi szansę,

ty choć raz kup kupon totolotka”.

Skorzystam z paraboli, czyli historii przekazującej określoną prawdę moralną – gatunku moralistyczno-dydaktycznego wyraźnie obecnego w Biblii. Tę zna każdy, więc w lot się porozumiemy.

Biblijna Przypowieść o Siewcy, znana z Ewangelii według św. Mateusza (Mt 13, 1–9) i św. Łukasza (Łk 8, 11–15), opowiada o siewcy rzucającym ziarno na cztery rodzaje gruntu: drogę, skałę, ciernie i żyzną ziemię – z czego tylko ziarno na żyznym gruncie wydają obfity plon. Jezus wyjaśnia, że siewcą jest Bóg (lub sam Chrystus), a ziarnem – słowo Boże; różne rodzaje gruntu symbolizują ludzi o odmiennych postawach, wobec tego słowa – od tych, którzy je odrzucają lub zapominają, po wiernych, którzy je przyjmują i wydają owoce.

Czy mam coś dopowiedzieć? Cel, target, obiekt, a do tego: kaliber, wielkość ładunku, powtarzalność. **Biblia to najlepszy podręcznik marketingu**, jego abecadło: zaspokojenie potrzeb klienta i osiągnięcie zysku. Tym zyskiem jest świadomość. Ona rodzi rozagę i powagę działania, nadaje mu realne wymiary. Można w sandałach wejść na Giewont, tak jak w kozuchu i kierpcach pływać kraulem w przeręblu. Jeśli ktoś lubi? Ale można też „po bożemu”, profesjonalnie – czyli nie tak, jak lubimy.

Tak jak położyliśmy wychowanie muzyczne, rytmikę, plastykę, śpiew i grę na instrumentach w szkołach powszechnych, tak nigdy nie podjęliśmy wysiłku edukacji morskiej. Idee i tradycje Ligi Morskiej wskrzeszali u schyłku życia niegdysiejsi harcerze. Nie porwali swoim przykładem młodego pokolenia – nawet rówieśników. Liga – tak, ale jaka? Od przedszkola! Ja taką drogę przeszedłem (patrz fotografia, rok 1960). I wierszyk też pamiętam!



Ja jestem marynarzem,
Białą czapczkę mam
I granatowy kołnierz,
I morze dobrze znam.

Niczego się nie boję,
Odważnie ruszam w świat.
Marynarz, dziecię moje,
To chwał, to chwał, to chwał...

Chwał, czyli - ja! Można? Uwielbiałem rejsy po porcie.

Od ilu lat Szczecin nie ma białej floty? Tego lata uruchomiliśmy coś na kształt dżonki popychanej silnikiem o wydolności riksza. O! A ile się (i kto?) przy tym lansował? I już ogłaszał, że za rok popłyniemy tym „transbajorowcem” do Nowowarpińskiej Hameryki!

– Jezus Maria! Kazia, trzymaj mnie, bo się obale! – wołał w takich sytuacjach wuj Hieronim. Ten z Trzemeszna.

Państwo nic nie robi w zakresie budowania świadomości doceniającej gospodarowanie na morzu. Robią to – niemal pokątnie (mam na myśli skałę i środki) – entuzjaści, żeglarze, pasjonaci, często – jakże niemodni dziś – marzyciele. Oni niosą kaganek morskiej oświaty. Ratuja nas przed całkowitym analfabetyzmem morskim. Ale to nie przeszkadza działaczom z naszego regionu wznosić mówić o duchu morskim, o idei morskiej. Hm... Każdy z nich powinien w trakcie takiego przemówienia dostać pypcia na języku, bo nie wie, o czym mówi.

A praktyka jest taka: w mediach trwa „karnawał”, wręcz gala finałowa: jaki to nowy Polsce kawałek lądu podarujemy. Przylądek Pomierania? Jedni prześmiewają: „Przylądek Pogmerania”, inni: „Pomerania”, „Poronienia”, „Pogmatwania”, „Pomylenia”...

I gdzieś tam, na tym sztucznym lądzie będziemy budowali polską Gizę – monumentalny jak Sfinks - terminal promowy, nasz nowy morski „kosmodrom”. Tylko nikt, kompletnie nikt – ani jedna osoba – nie wie, **kiedy i ile statków tam przyplynie**; czy będą to stałe, gwarantowane dostawy. A jak nie przyplyną? Pan mini-sterek sygnie groszem, pan premier podtrzyma na duchu: „spoko, Polacy, nic się nie stało”!

Obym musiał kiedyś te słowa odszczekać.

Ta metoda budowy Polski morskiej to wynik zlekceważenia edukacji w duchu zrozumienia roli i znaczenia dostępu do morza.

„Polytocy” morscy

Państwowe zarządzanie gospodarowaniem na morzu wymknęło się z rąk fachowców – których skąd mielibyśmy brać? Od lat ich nie mamy, a jeśli już jacyś się ujawnia, są zmiatani przez nowe kierownictwo polityczne państwa. Nikt nie kształci Eugeniuszy Kwiatkowskich; nie ma następców generała Żaruskiego czy kapitana kapitanów – Konstantego Matyjewicza-Maciejewicza. Nazwiska kolejnych autorytetów jakby coraz bardziej wodnistym atramentem są zapisywane.

Jest jeden showman morski! Tak jak Charlie Chaplin był królem slapsticku, tak nasz minister daje nam codziennie broadwayowską wersję marynistycznej operetki. Gdyby Roman Polański chciał nakręcić drugą część filmu „Piraci” – zgłaszam kandydaturę pana ministra. To ważne, abyśmy obecnych przeciwników pokonywali nie snajperskim strzałem czy nocnym abordażem, lecz retoryką, filipiką, a nawet wyrażonym żartem. Głoszonym najpoważniejszym tonem na FB. Choćby wzorem myśliwego, który – nie mając strzelby – chciał upolować słonia. Zawiesił więc w sercu sawanny, na baobabie, szkolną tablicę z działaniem: 2 + 2 = 5. Kiedy słon zobaczył to działanie - zaprotestował. Tak gwałtownie kręcił łbem, że skręcił sobie kark.

Dziś kamerton gospodarki morskiej trzymają w ręce tzw. „polytocy”. Ci spieszą się, jak tylko mogą, gmatwają sprawy, by przed upływem kadencji zostawić następcom wężył bosmańskie gospodarcze, zaplątane na tyle gustownie i efektownie, by po zmianie władzy mieć za co atakować nowych. „My tyle zrobiliśmy, a wy – co?”. Ten model politycznej AI przerabialiśmy już ze stępką.

Tu wracam do owego miliarda – na nowy żaglowiec *versus* edukacja morska; element morski, żeglarski w szkołach.

A gdyby z tego miliarda opłacić etat... szkolnego żeglarza? Obok nauczyciela edukacji zdrowotnej zasiadłby człowiek z patentem i doświadczeniem. I ten żeglarz, w każdej szkole, prowadziłby godzinę morską. Dziecięca wyobraźnia niczego bardziej nie pragnie niż marzeń! A „pan od morza” popularnością przebiłby wszystkich panów od informatyki. Prawdziwy żeglarz, nie żaden emerytowany kapitan w mundurze pachnącym naftaliną!

Idźmy dalej, szukajmy paralel, powiązań, zbieżności... Choćby bile bilardowe... Ich odbijanie się od band stołu to... czysta nawigacja! Jak trafić do luzy? A przewlekanie nitki przez ucho igielne? Jeszcze lepszy przykład. Żeglarstwo jest obecne wszędzie – tylko nikt tej oczywistości nie dostrzega.



Więc z czyjego kapelu-sza wyskoczył nam minister, co – jak filip z konopi – razi nas w kółko powtarzanymi sloganami? Ktoś policzył już, ile razy pan minister wykorzystał refren: „...tyle kontenerów przeładowaliśmy w 2024 roku”? Wymienia tylko to, co naj... Ale nie dodaje, że to nasze maxi, to w kontekście Europy czy świata... mniej niż mało.

Ile czasu panu ministrowi zajmuje codzienne nagrywanie filmików? Ile kosztują prace multimedialne związane z lansowaniem tylko tego jednego w Polsce rozpoznawalnego „specja od morza”? To jednak kwestia poważniejsza: to problem jakiegoś deficytu, kompleksu, braku potwierdzenia, uznania i akceptacji. To postawa opisana w niejednym, wcale nie morskim podręczniku. Wskazuje na zachwianie równowagi, rozkołysanie samooceny etc. Panie premierze – i co pan na to? A, rozumiem – pan też miewa takie stany? Oczywiście, potwierdził pan to podczas majowego Kongresu Morskiego w Szczecinie. „Popłynął pan”...

Ostatnio stojący u boku ministra sam wicepremier i minister spraw zagranicznych, z dokładnie takim samym monumentalnym wyrazem

twarży, wspierał młodszego entuzjastę stwierdzeniem: dzięki takim wynikom polskiej gospodarki będziemy aplikować do grona G20. Zdjęcie okładkowe! Nareszcie ktoś przebił kultową parę z filmu „Wniebo-wzięci”. Panom Maklakiewiczowi i Himilsbachowi - dziękujemy. Mamy już lepszych od was „gigantów”, i to w kolorze. Obaj są przykładem dzieci z kompleksem „nie edukacji morskiej”.

Morska paplanina.

A skoro znów przywołałem XI Kongres Morski... Kongres to uroczyste zgromadzenie, zjazd lub spotkanie przedstawicieli różnych środowisk – zwoływane w celu omówienia ważnych spraw, podjęcia decyzji, wymiany wiedzy lub współpracy międzynarodowej. Przypomnijmy Kongres westfalski (1644–1648) – uznawany za pierwszy nowożytny kongres międzynarodowy; w jego wyniku zakończono wojnę trzydziestoletnią i ukształtował się „system westfalski”. W nauce – np. Międzynarodowy Kongres Matematyczny (1897, Zurych). A kongres szczeciński? Zapytałem oficjalnie o jego namacalne, konkretne, dziejowe znaczenie. Orędownik i wielce zasłużony współorganizator kongresu obiecał zająć się odpowiedzią na moje pytania po 15.00, bo właśnie biegł na spotkanie grupy, która się wyloniła po kongresie (???). Tydzień później poinformował mnie, że sprawę przekazał do biura rzecznika Portu. Po miesiącu, że przypomni, komu trzeba... Czekam.

Sluszenie zauważyli Czytelnicy, że jako rasowy publicysta sam wprowadziłem się na mieliznę, bo ani słowem nie wspomniałem o... Polskim Związku Żeglarskim – tej naturalnej, no właśnie, „kuźni” żeglarskiego narybku? Tak. To prawda. Co tam się w sprawach „zarybiania” robi?

Przyjemność komentowania mediów społecznościowych okręgowego PZZ zostawiam na inną okazję. Nie ma się co spieszyć – ze stanu i temperatury wpisów wynika, że nikt żeglarstwem się tą drogą nie zarazi. Na szczęście pośród małych stanic (a znam takie) – z dala od morza i większych jezior – spotkania na przystani są niezwykle atrakcją. To najprawdziwsze sezamy marzeń.



Amerigo Vespucci”, czteromasztowy bark (1931), w czerwcu 1986 roku, uczestniczył w regatach Operation Sail w Bremerhaven. Foto.: Marek Koszur

Teoria względności w edukacji morskiej



Trywializując: każdy klucz spełni swoją misję, gdy trafi w dziurkę tylko dla niego przeznaczoną. Twierdzą, że w przypadku genialnego fizyka miejscem jego „wejścia” w tajemnice wszechświata było Caputh, na przedmieściach Poczdamu. Ja, moje – znalazłem na poddaszu domu, które przybiera właśnie kształt świątynny. A w sprawach edukacji morskiej w Polsce? Gdzie znajduje się ambona, głosząca dobrą, morską nowinę? I najciekawsza kwestia: czy twierdzenie Alberta Einsteina może powiedzieć nam coś ważnego na temat edukacji morskiej?

Mija właśnie 120 lat od jej ogłoszenia. Zatem – jaki cel chcemy osiągnąć dzięki żaglowcowi, którego jeszcze nie ma, ale którego idea budzi (w kim???) wielkie emocje a pochłonie jeszcze większe pieniądze? W jakim stopniu i do czego wykorzystamy doświadczenie ludzi wspinających się na maszty, reje, a kto wie – może na samo „jabłko”? Oni, załoganci, zdobędą ciekawe doświadczenie. A państwo polskie? Będzie miało sprawnych ekwilibrystycznie obywateli. Za cenę żaglowca. Czy coś jeszcze?

Osobną kwestią są kapitalne koszty utrzymania i eksploatacji statku. Ale to już przecież będzie zmartwienie nowej ekipy politycznej.

Poddajmy się refleksji: $E = mc^2$ – co to znaczy w kontekście wychowania morskiego? Masą jest żaglowiec, energią – wysiłek szkolenia załogi w rejsach na jego pokładzie. **Pytanie:** Czy to równanie dowodzi, że minimalną masę można zamienić w gigantyczną energię? **Odpowiedź:** Tak. Równanie Einsteina $E = mc^2$ w istocie pokazuje, że nawet bardzo mała masa może odpowiadać ogromnej energii, ponieważ jest pomnożona przez kwadrat prędkości światła (czyli myśli politycznej 'c' do kwadratu!) – a to liczba olbrzymia.

- Wyjaśnienie składników twierdzenia oryginalnego:
- E – energia (w dżulach, J)
 - m – masa (w kilogramach, kg)
 - c – prędkość światła w próżni = 299 792 458 m/s
- Przykład: z masy 1 grama (0,001 kg) otrzymamy około 25 milionów kWh energii – wystarczająco dużo, by:
- zasilić małe miasto przez kilka dni,
 - zasilić pociąg dużych prędkości, mknący tysiące kilometrów,
 - wywołać eksplozję zbliżoną do małej bomby atomowej.

Co naprawdę oznacza to równanie? • Masa i energia są równoważne – to dwie postaci tej samej rzeczy. • Gdy „zanika” masa (np. w reakcjach jądrowych), pojawia się energia. • Zwykle reakcje chemiczne (np. spalanie) nie zmieniają masy w istotny sposób – reakcje jądrowe (rozszczerzenie, synteza) – tak.

- W bombie atomowej lub reaktorze jądrowym:
- Tylko ułamek masy uranu lub plutonu zamienia się w energię.
 - Np. w Hiroszimie: masa zamieniona na energię $\approx 0,6$ g - eks-

plozja ~ 15 kiloton TNT.

- W naturze:
- W Słońcu (synteza jądrowa) masa wodoru zamienia się w energię – dlatego świeci.
 - W czarnych dziurach, zderzeniach gwiazd neutronowych itd. masa zamienia się w energię promieniowania lub grawitacyjną.

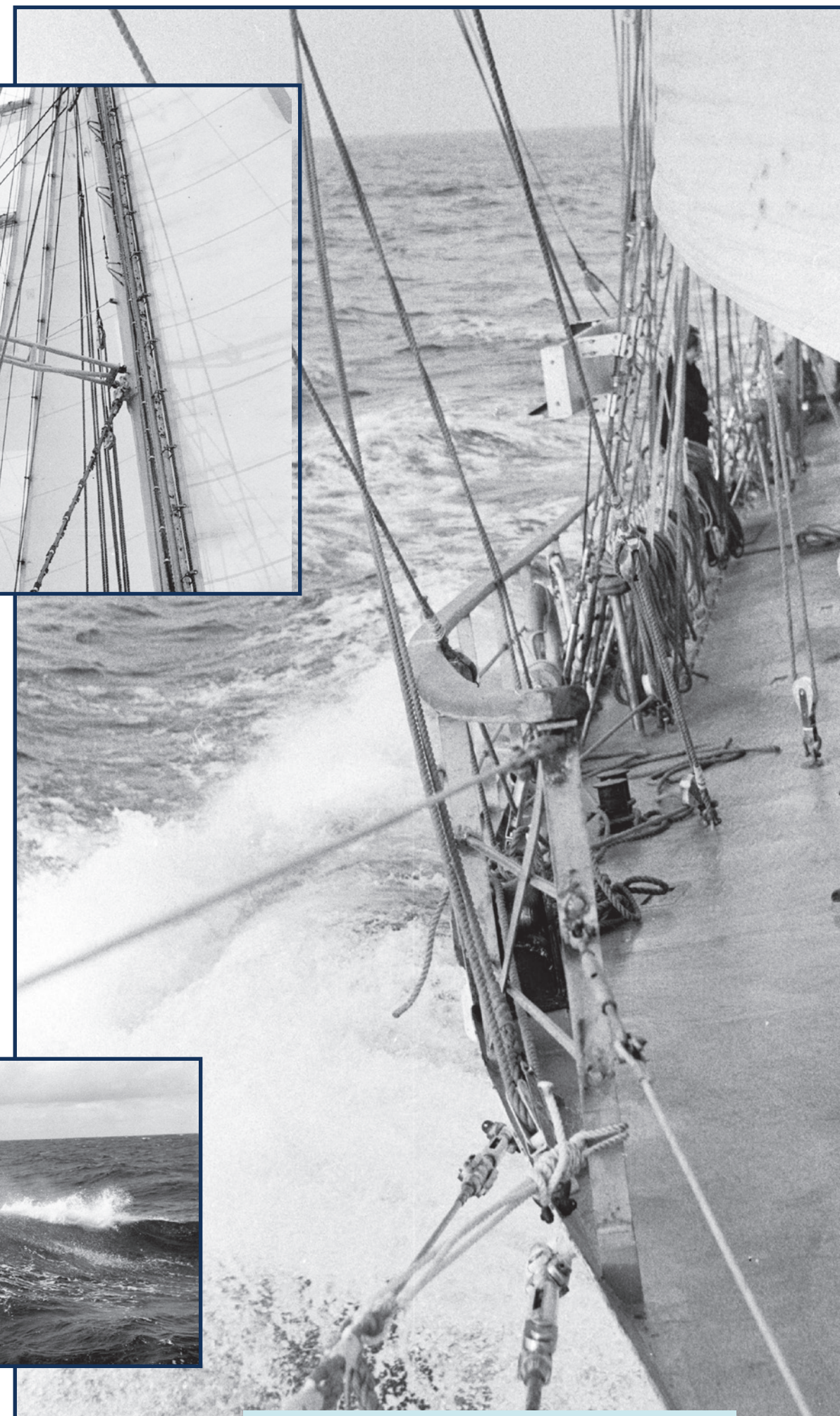
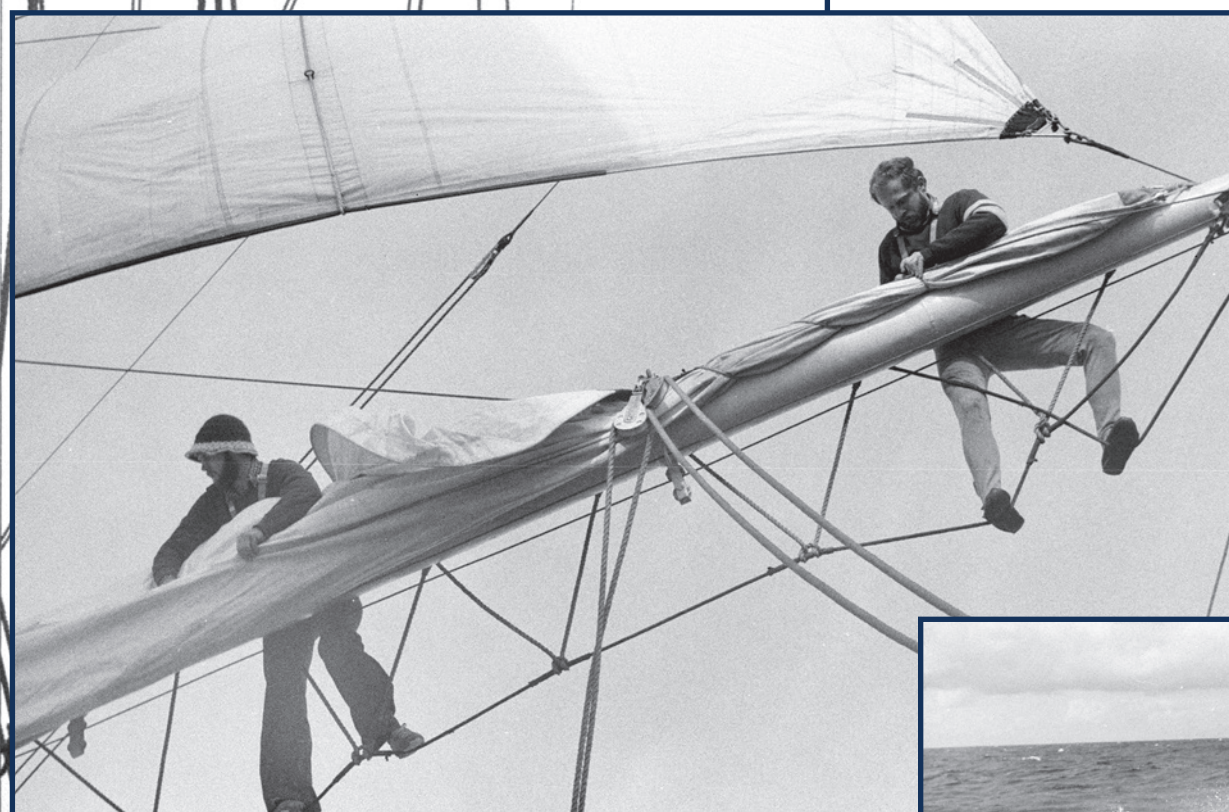
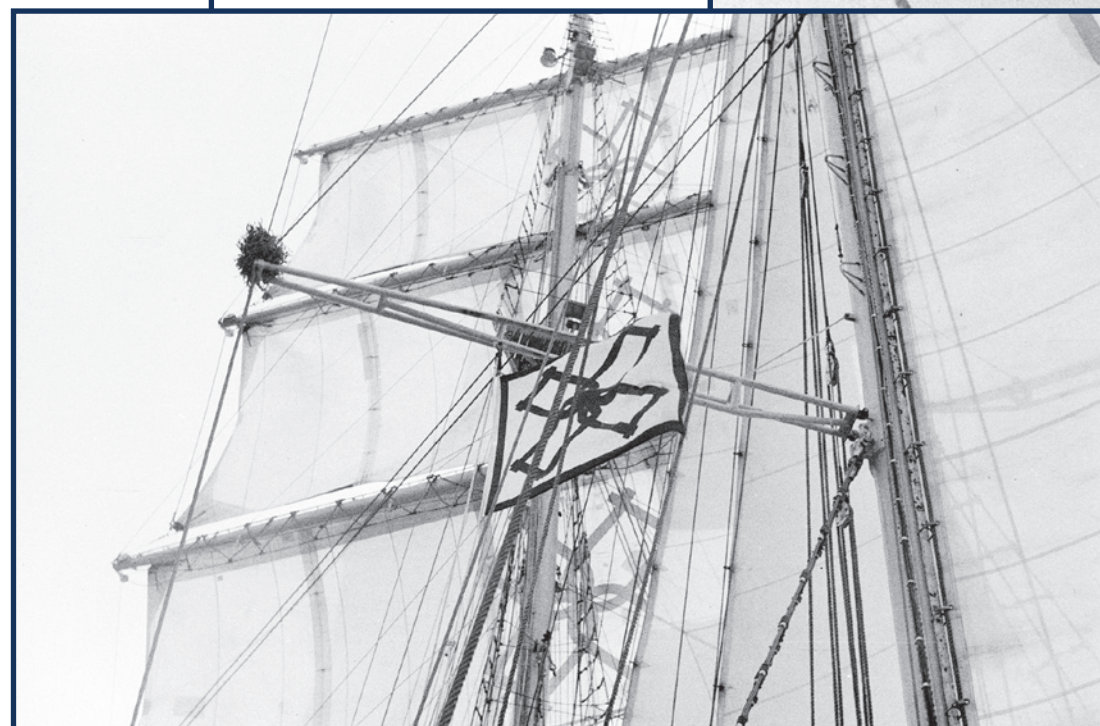
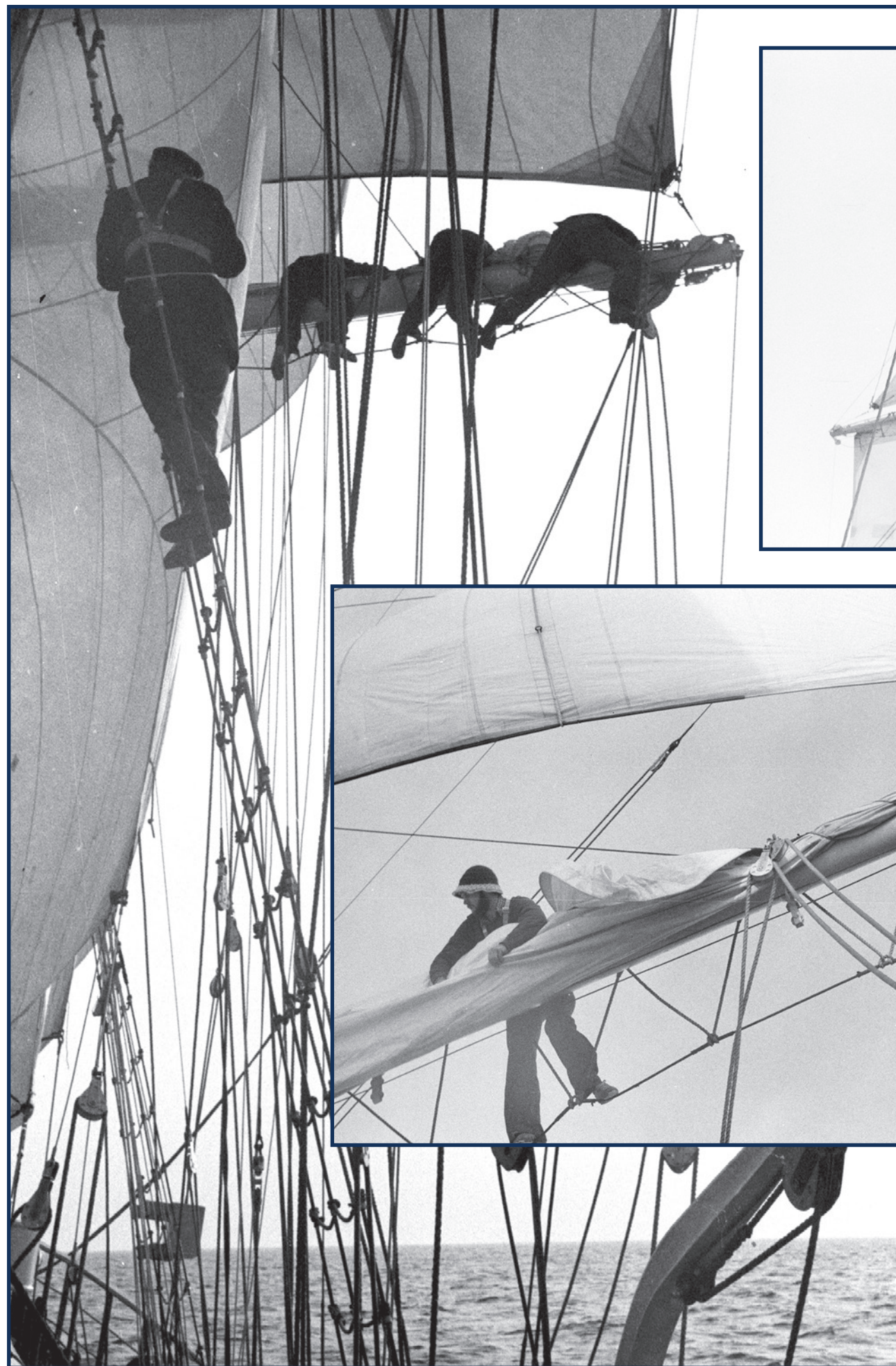
Tak, $E = mc^2$ jednoznacznie pokazuje, że nawet najmniejsza masa skrywa olbrzymi potencjał energetyczny. Kluczem jest ogromna wartość c^2 czyli kształcenie na żaglowcu? Taka jest... teoria. A co przyniesie praktyka?

I tylko pozostaje pytanie: jak tę energię spod żagli spożytkować? Komu i do czego będzie ona przydatna? Wyprą absolwenci szkół morskich załogi filipińskie ze statków? Pomysł budowy żaglowca pokazuje, jak lobby pedagogiczno-naukowe wyprowadza polityków na Morze Sargassowe, w rejon Trójkąta Bermudzkiego. A sam żaglowiec jest im potrzebny jako element dekoracyjny, scenografia, bo same gronostaje i złote łańcuchy (nie kotwiczne) już im nie wystarczą.

Na koniec sprawa rzeczywiście - egzotyczna. Kryje się pod martwym już chyba pojęciem: **marynistyka**.

Po odzyskaniu Niepodległości, a także po wyzwoleniu w 1945 roku, do połowy lat 90. XX wieku, tym terminem zwykło się nazywać wszelkie artystyczne świadectwa „kultury morskiej” (ja wolę: pierwiastka morskiego w kulturze) i pracy na morzu. Literatura, malarstwo i muzyka miały wspierać modelowanie etosu i kompetencji, odpowiedzialności, dokładności - cech nieodzownych w pracy załogi na pokładzie statku. To także budowanie archetypów, użytecznych na lądzie: zaufanie, solidarność, tworzenie procedur. Humanistyka podporządkowana gospodarce. Dziś waham się i skłaniam ku myśli, że była to forma morskiego socrealizmu. Setki młodych mężczyzn wędrowało na najodleglejsze łowiska. Marynarze w trampingu (poszukiwanie ładunku), pływali po oceanach z nadzieją, że zaraz ktoś ich poprosi (trochę - marynistycznie - upraszczam) o transportową przysługę. Być marynarzem, rybakiem morskim, o! to o wiele lepiej niż być taksówkarzem. O kierowcach prywatnych aut mówiło się wtedy „prywaciarze”.

Lecz pewnego dnia zawałił się polski, morski kolos gospodarczy. Stocznie, porty, kluby żeglarskie, a nade wszystko pijące najlepszą krew szkolnictwo morskie straciło sens istnienia. Zapobiegliwi nauczyciele akademicy - oczywiście - zadbali o swoje miejsca pracy, bo wymyślili nowe, „niezbędne kierunki”, ale szkoły zawodowe i średnie praktycznie przestały kształcić nawigatorów, przyszłych chiełów, a przynajmniej znacznie ograniczyły nabory kandydatów na podstawowe zawody stoczniowe. I tak - bez praktyki morskiej - szczeźla nam marynistyka. Prawdziwe obcowanie z morzem było jej kropłówką. Tam, na pokładzie, na morzu rodził się specyficzny język. Jego składnia i styl przybierały kształt niemalże komunikatów. A z drugiej strony - ta bliskość, bezpośredniość człowieka wobec morza budowała szczególnego rodzaju duchowość. Ba! Religię. Aby ten proces ożywić, należałoby każdemu człowiekowi stworzyć możliwość, na przykład, spędzenia jednej, dwóch nocy na pokładzie zwykłego jachtu. Wówczas świat wrażliwości, który ja także nazywam marynistyką - uwaga - ukazałby **nam nas** w odbiciu i sformatowaniu wręcz zaskakującym. Bo morze jest lustrem niezwykłym. Nie odwzorowuje stereotypów i pozorów, tylko - prawdę.



"Pogoria" w rejsie na Wyspy Alandzkie, 1981. Fot.: Marek Koszur



Czegokolwiek bym jednak nie powiedział na temat swoich metod pracy, narzędzi czy środków wyrazu, najważniejsze jest to, że są one wyłącznie pretekstem w próbach odnalezienia prawdy i piękna.

Janusz Kokot

Na wystawie "seeblick"
Jesienny Salon Sztuki
27.09.-26.10.2025,
Międzyzdroje

- A wie pan... profesor Adam Kunicki spojrzał na mnie spod krzaczastych brwi.
· Nigdy nie sądziłem, że można żywić się tylko... marzeniami.

Opowiedzieć historię pierwszych polskich marynarzy, tych w Polsce wykształconych, można prosto i łatwo lub powierzchownie jedynie. Brak świadectw bezpośrednich? Nie. Te są utrwalone i zachowane, ale dostęp do nich jest praktycznie niemożliwy. Na szczęście - zasobne i treściwe archiwa Polskiego Radia są od pewnego czasu zdigitalizowane. Podobnie dzieje się ze zbiorami telewizyjnymi. Coraz więcej dokumentów jest publikowanych, wiele z nich już dawno wylądowało na śmietniku. W mojej ocenie - zbrodnia przeciw pamięci. Mnie samemu udało się uratować część zasobów własnego autorstwa. W rozgłośni szczecińskiej sprawą wyrzucenia na śmietnik setek taśm radiowych zajęła się grupa autorek, za co była - jak słyszę - szykanowana. Bo ówczesny prezes ocenił: mała wartość historyczna - wyrzucić. Powtórzę - skrajna nieodpowiedzialność.

Archiwalne zapisy głosów, wrażeń i emocji świadków historii to więcej niż faktografia tylko. To - żywa Prawda. W jej natywnej postaci.

W tym cyklu sięgać będę do takich właśnie materiałów. Innym sposobem - niedostępnym dla szerokiego audytorium.

Pierwsze wy nauciarze, pierwsze okrężniki 01

Nic tak nie podnosi Polski w oczach jej sąsiadów, jak fakt rozwoju polskiej floty. Albo inny cytat: Nie ma rzeczy, która by bardziej wzbudzała zaufanie do Polski, jak polska bandera na morzach.

Przed mikrofonem Marek Koszur. Witam Państwa. Dzisiejszą audycję rozpocząłem cytatami z prasy dwudziestolecia międzywojennego.

Audycji tego cyklu powstało kilkanaście. Redagowałem je w wersji dla anteny lokalnej i dłuższe - dla ogólnopolskiej. Od kwadransa po trzygodzinny blok z cyklu „Wieczór muzyki i myśli”. Dla Warszawy, wtedy, w latach 70. XX wieku morze, statki, marynarze, to ciągle była wielka egzotyka. Tematy związane z żeglarstwem, żegluga, a przede wszystkim gawędy, opowieści kapitanów zawsze znajdowały miejsce na antenie radiowej. Nie inaczej było w programach telewizyjnych. Poza tym przypomnijmy sobie - ile ukazywało się wtedy książek z wypraw i ekspedycji? Ile czasopism kusiło nas co tydzień, co miesiąc obrazami dalekiego świata? Aby do miejsc tych dotrzeć, wystarczyło wejść na pokład jachtu. I liczyć na cud, na wydanie książeczki żeglarskiej, morskiego paszportu - czyli: przepustki do zamorskich rajów.

- Ty to masz w tym Szczecinie fajnie. Tyle świetnych tematów - niejeden raz słyszałem od kolegów, z którymi uzgadniałem tematy do ogólnopolskich magazynów radiowych.

Tak. Miałem szczęście. Poznałem wielu dzielnych i niezwykłych mężczyzn, zdeterminowanych i nieustraszonych. Z drugiej strony - fachowców, specjalistów, mistrzów w zawodach morskich. I patriotów. Jak nieporównanie inaczej waży to słowo dziś, w porównaniu z jego ładunkiem emocjonalnym po roku 1918 czy 1945.

Niech zatem mówią... głosy z taśmy.

- *Nie znalazłem sposobu, aby zamustrować na statek. Co robić? Założyłem firmę instalującą bardzo ekskluzywną armaturę łazienkową - opowiadał mi kapitan Karol Olgierd Borchardt. - Zarabiałem tysiące złotych. Pan rozumie - tysiące! W swoich domach, moi robotnicy mieli fortepiany. A ja nawet wtedy nie byłem w stanie „kupić” sobie najpodlejszego stanowiska pracy na statku. A tak chciałem pływać. Miałem dyplom szkoły morskiej, jak się okazało - kształcącej bezrobotnych marynarzy.*

- *Talerz zupy i... kostka mydła!* - uśmiecha się chief Władysław Milewski. - *Tyle zarobiłem w pierwszym rejsie do Ameryki. A mieszkaliśmy w najgorszym miejscu na statku. Brak powietrza, wysoka temperatura, wibracje, straszny hałas. Ale - liczyło się tylko jedno - zamustrowałem, dostałem pracę na statku.*

Przeglądam notatki, w osobnym pudełku - listy. Takie prawdziwe. W sklejonych z lichego papieru, już spłowiałych niebieskich lub zielonkawych kopertach. Adresy skreślone pięknym pismem, widać - naznaczonym sztuką kaligrafii.

W treści listów - rutyna powitania, pożegnania a... pomiędzy - pulsująca do dziś uprzejmość i serdeczność autorów. Tak chętnie dzielili się swoimi wspomnieniami.

- *Bo to był najpiękniejszy czas w moim życiu!* - wręcz wykrzyczał tę prawdę Michał Hłasko, absolwent Wydziału Mechanicznego Szkoły Morskiej w Tczewie (1928), krewny pierwszego lekarza szkolnego z Tczewa, Floriana Hłaski, autora książki „Morzami ku Polsce” - która dla wielu młodych ludzi była katechizmem morskim.

Na półce w mojej bibliotece mam sporo kasetonów z taśmami magnetofonowymi. Wiele z nich to robocze wersje nagrań oryginalnych. Kawałki posklejane w opowieści o pierwszych latach naszego wrastania w morze.

- *Doprawdy? Interesują Pana tamte, tak strasznie stare sprawy?* - zdziwił się profesor Adam Kunicki, znany w świecie neurolog, współtwórca krakowskiej i polskiej neurochirurgii, a także... marynarz, absolwent pierwszej polskiej Szkoły Morskiej w Tczewie. - *Wie pan, ja sam nie wierzę, że to wszystko, tam, w Tczewie, na pokładzie „Lwowa”, że ja to przeżyłem. Tamte obrazy jawią mi się*

jak opowieść jakiejś Szeherazady! - profesor uśmiechnął się w sposób, który jego samego chyba lekko skonsternował. - *Nie uwierzy pan, ale myśmy naprawdę żywili się marzeniami. Głód i bieda, siemienność, prymitywizm... tak, tak było. Nie da się o tym opowiadać spokojnie i z uśmiechem. Do tego - względy polityczne - ten kordon niemieckiej nienawiści, buty, pogardy wobec naszych, pożałuj Boże, mundurów - to wszystko umacniało nas w postanowieniu, że zostaniemy marynarzami. Polskimi marynarzami! A co do opierunku... Wyglądaliśmy jak cyganeria bezdomnych łaziorów, włóczęgów, w połatanych portkach. Ale zawsze czystych! Nie mieliśmy mundurów. A na śniadanie, obiad i kolację rzeczywiście połykałyśmy marzenia. One trzymały nas w rygorze bardziej niż komendy podoficerów...*

Pamiętam uścisk dłoni każdego z nich, Tczewiaków. Miałem szczęście spotykać ich w latach 70. i 80. minionego stulecia, gdy wędrowałem ścieżkami, które dzięki swojej determinacji oni właśnie zamienili w szerokie ulice, ludne domy, w betonowe nabrzeża, iskry aparatów spawalniczych na pochylniach i... ten ryk okretowej syreny, gdy począwszy od w 1926 roku, sześć pierwszych statków pod polską banderą ruszyło w rejsy... Jednak, aby dostać się na ich pokład... Ale nie uprzedzajmy faktów...

Ze sparciałego już pudełka wyjmuję kolejną taśmę magnetofonową. Klamrami zamykam metalowe bobinki, krążki, wokół których nawinięta jest taśma. Rozbiegówkę poprzedzającą taśmę magnetyczną przeprowadzam przez sytem sprzęgieł, naciągów, rolek, i... wciskam klawisz: play. Mówi Kazimierz Othwein, współtwórca polskiego rybołówstwa, po wojnie właściciel kutra i prywatnej firmy, która nie pasowała do ówczesnego modelu gospodarki społecznej.

- *Gdynia? To była nędzna wioska, z jedną, małą knajpą pod wielkim dębem. Tam można było zjeść żuchel, tanie i proste danie z warzyw i ryb, niekiedy z dodatkiem mięsa. W tej knajpie nie było podłogi, tylko klepisko, zwykła glina. A przystań rybacka, to był sklecony z desek pomost o długości nie więcej niż dziesięciu metrów. Taka przystań dla łódki rybackiej. Na kładkę wchodziło się po rozwalonych schodkach. I to była cała Gdynia.*

Czy ten widok mógł wzbudzać w młodych ludziach marzenia i tęsknoty? Nie. A pamięć o heroicznych i bohaterskich dziejach Polaków na morzach i oceanach? Tym bardziej - nie. Bo nic takiego się w historii naszego narodu nie wydarzyło. Więc - co? - *Marzycielskość...* - profesor Adam Kunicki kiwa głową i splata dłonie. - *Myśmy byli czytani, przepełnieni opowieściami o świecie. Pan sobie nie wyobraża, jak myśmy wtedy marzyli o wyspach, ładach, ludach. Egzotyka, Ameryka, automobile, Haiti, murzyny, Chińczycy... Uczniowie, my byliśmy zbieraniną ludzi z trzech zaborów. Niektórzy przeszli długie szlaki bojowe pierwszej wojny światowej. Byli wśród nas ranni i kontuzjowani. Kilku - straciło wszystko, inni - nigdy nic nie mieli, bo byli dziećmi wojny. Kto twój ojciec, kto matka...? Kiwali głowami... Ale byliśmy młodzi.*

Przez lata, z tych opowieści „kleilem” z taśmy magnetofonowej obraz człowieka, który dowiedział się, że gdzieś tam, w Tczewie, a więc daleko od morskiego brzegu, powstaje szkoła, a właściwie - koszary dla przyszłych polskich marynarzy. Ulokowano je w starej, ponemieckiej szkole dla dziewcząt. W salach wyposażonych w maleńkie ławki. To wprost trudne dziś do pojęcia, co spowodowało, że kilkudziesięciu mężczyzn zjechało do Warszawy, do szkoły Wawelberga, na egzaminy wstępne do szkoły morskiej, połączone z regulaminową komisją wojskową, kwalifikującą kandydatów do służby... morskiej? Czyli - jakiej? ...

Notowałem własne myśli...

Co czyni człowieka, który po latach wraca na ojcowiznę, jeszcze spowitą dymem pożogi wojennej, zrujnowaną, rozkradzioną, niekiedy zhańbioną, naznaczoną niezasychnającymi plamami krwi, dowodem niczym nie zawinionej śmierci lub bezmyślnego okrucieństwa, o którym nie

dowie się już nikt. Poprzez łzę, która spada na strawioną ogniem fotografię ojców, z echem oddalającego się śmiechu dziecięcych zabaw pośród rozslonecznionego podwórza – o czym myśli taki człowiek? Upada z niemocy i bólu, braku siły, złamany ciężarem wielowiekowej klęski jego narodu? Obiera żywot tułaczy, rozpamiętuje dni i przyczyny klęski? A może postanawia dołączyć do bliskich sercu cieniów, które nie doczekawszy wolnej Ojczyzny, odeszły w niepamięć krokiem wyznaczonym uderzeniami głuchego bębna?

Nie. Zaprawdę powiadam wam – nie! Zamknąwszy ból w najgłębszej części pulsującego serca – zanurzy dłoń w tłące się jeszcze pogorzeliśko i je rozgarnie, by dać sobie miejsce pod nowy dom. Tu, na ziemi ojców, wśród wspomnień i legend. Wprowadzi do tego domu matkę swoich dzieci, którym opowie o dziadach, o ich marzeniu i przykazie, by Boga, honor i Ojczyznę mieli w swoim sercu i myślach na zawsze i przed wszystkim innym. I wokół domu zbuduje drogę, do niej doprowadzi szlaki z całego świata, który o wolnej Polsce musi się jak najszybciej dowiedzieć! Niech patrzą narody, jak Polska podnosi się z ruin, jak znów dumnie patrzy w przyszłość. I spieszo mu będzie do rodziny narodów świata dołączyć, więc bez wahania pójdzie na morze. Tam skrzyżuje swe szlaki z dzielnymi żeglarzami, witającymi polską banderę, której morza i oceany nigdy wcześniej nie oglądały...

Misja

„Dla Polski Gdańsk jest oknem otwartym na cały świat. Jest płucem, bez którego nie może ona oddychać. Jest tym, czym Londyn dla Anglii, Le Havre dla Francji, Antwerpia dla Belgii. (...) Jako port zjednoczonej Polski będzie naturalnym i jedynym ujściem całego jej handlu zagranicznego, olbrzymią składnicą eksportu i importu kraju, który zajmie siódme miejsce w szeregu państw europejskich” - pisał Ignacy Jan Paderewski.

A my, dziś? Dobiliśmy się na miejsce... dwudzieste. Na stałe?

Ale na długo przed ogłoszeniem aktu niepodległości Polski, jej sprawy morskie miały charakter w znacznym stopniu zinstytucjonalizowany. W 1906 roku w Warszawie działało Centralne Towarzystwo Przemysłowców. Utworzono przy nim Oddział Towarzystwa Żeglugowego w Petersburgu, którego program działania, na owe czasy pionierski, przewidywał gruntowne zajęcie się układem wód śródlądowych dawnego Królestwa Polskiego oraz powiązania ich z rzekami rosyjskimi. Koncepcje te nie zostały jednak zaaprobowane przez władze Rosji. Przygotowane w owym czasie założenia teoretyczne oraz memoriały stały się podstawą dokumentów opracowywanych już po odzyskaniu niepodległości.

Pierwszym, w układzie chronologicznym, przedsięwzięciem armatorskim była „Żegluga Polska”. Powstało ono w Krakowie, 3 stycznia 1918 roku z inicjatywy pułkownika Bolesława Roji, późniejszego generała dywizji WP, legionisty, posła na Sejm oraz działacza niepodległościowego - i współdziałających z nim inżynierów oraz naukowców z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Celem przedsięwzięcia było m.in. „organizowanie budowy statków i spływu węgla na górnej Wiśle”. Uchwała CK Sądu Krajowego w Krakowie potwierdziła także: „propagowanie spraw morskich w społeczeństwie”.

1 października 1918 roku kontradmirał Kazimierz Porębski, w gronie 25 współzałożycieli, powołał Stowarzyszenie Pracowników na Polu Rozwoju Żeglugi „Bandera Polska”. Jego członkowie, w większości byli oficerowie rosyjskiej marynarki wojennej, wskazali najpilniejsze zadania dla sfery morskiej w odrodzonej ojczyźnie: organizację administracji żeglugi i portów, regulację rzek i budowę portów, charakterystykę typów statków najbardziej odpowiednich



...Jej obrazy często balansują na granicy
snu i rzeczywistości...

Halina Nowicka

Na wystawie "seeblick"
Jesienny Salon Sztuki
27.09.-26.10.2025,
Międzyzdroje

dla rzek Polski, zbudowanie systemu szkolnictwa zawodowego i ustalenie terminologii morskiej, opracowanie danych statystycznych o ruchu w żegludze wewnętrznej i zewnętrznej, popularyzacja idei morskiej wśród społeczeństwa.

Kazimierz Porębski (1872-1933), wiceadmiral, pierwszy dowódca Polskiej Marynarki Wojennej po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Ukończył Morski Korpus w Petersburgu oraz szkołę oficerską ze specjalizacją w zakresie broni morskiej (miny, torpedy) i elektrotechniki. Do 1917 roku służył we flocie carskiej w stopniu kontradmirała. Dowodził jednostkami na wszystkich morzach imperium carskiego. Władał biegle pięcioma językami. Znałca światowych problemów polityki i gospodarki morskiej. Od 1919 roku szef Departamentu dla Spraw Morskich Ministerstwa Spraw Wojskowych; później szef Kierownictwa Marynarki Wojennej. Założył Stowarzyszenie Pracowników na Polu Rozwoju Żegluga „Bandera Polska”. Twórca polskiego szkolnictwa morskiego. Inicjator budowy portu handlowego i wojennego w Gdyni. Zdymisjonowany w 1927 roku.

„Bandera Polska”. To stowarzyszenie stało się „kamieniem milowym”, pierwszym na drodze rozwoju polskiej myśli morskiej. Był to fakt o olbrzymim ładunku emocjonalnym, symbolicznym, żywo komentowany. Stowarzyszenie Pracowników na Polu Rozwoju Żegluga „Bandera Polska” zostało w roku 1919 przekształcone w Towarzystwo „Liga Żegluga Polskiej”, a następnie, w latach 1924–30 działało jako Liga Morska i Rzeczna. Od 1924 roku Stowarzyszenie wydawało miesięcznik „Morze”. Przekształcone w latach trzydziestych XX wieku w Ligę Morską i Kolonialną propagowało ekspansję kolonialną w Afryce. Jedną z najbardziej skutecznych akcji była zbiórka na Fundusz Obrony Morskiej. Za pieniądze zgromadzone w latach trzydziestych zbudowano m.in. okręt podwodny „Orzeł”. Liga wznowiła działalność w roku 1944 ale w 1953 roku została zlikwidowana. Po Kongresie Morskim w Gdyni działa ponownie od 1981.

Efektem tych przedsięwzięć była decyzja z 28 listopada 1918 roku. Józef Piłsudski podpisał dekret, w którym rozkazał utworzyć marynarkę polską, mianując jednocześnie pułkownika marynarki Bogumiła Nowotnego szefem Sekcji Marynarki przy Ministerstwie Spraw Wojskowych.

Bogumił Nowotny (1872-1960), pułkownik marynarki, były oficer c.k. floty, pierwszy dowódca Polskiej Marynarki Wojennej. Jeszcze podczas nauki w Szkole Aspirantów Morskich uczestniczył w rejsie dookoła świata na pokładzie austriackiego krążownika „Saida”. Pełnił liczne funkcje morskie, na przemian z politycznymi. Dowodził okrętami i flotyllami okrętów (we flotylli dunajskiej, dowodził pół flotyllą torpedowców w Trieście oraz krążownikiem torpedowym „Trabant”; służył także na pancerniku „Tegetthoff”). Po wybuchu I Wojny Światowej został dowódcą kontrtorpedowca „Scharfschütze”, wchodzącego w skład grupy uderzeniowej kmdr. Mikłosa Horty’ego. Zasłynął z brawurowej akcji zniszczenia bazy wojskowej w Porto Corsini. Wpłynął rufą do półtorakilometrowego kanału i ostrzelał instalacje wojskowe, wycofując się bez żadnych strat własnych. W 1915 roku, dysponując kontrtorpedowcem i czterema torpedowcami pokonał w cieśninie Ortranto przeważające siły francusko-włoskie. W 1918 roku został referentem do spraw żegluga przy rządzie Rady Regencyjnej. Na prośbę premiera Jana Steczkowskiego uzyskał wtedy zwolnienie ze służby austriackiej. Jednym z pierwszych jego zadań była inspekcja stanu żeglowności Wisły. Przebył trasę od Krakowa do Gdańska. Jako szef Sekcji Morskiej Ministerstwa Spraw Wojskowych przejmował tabor żegluga na Wiśle, eksploatowany dotychczas przez Niemców i Austriaków. Zaangażował się w powołanie stowarzyszenia „Bandera Polska”. Wysłany do Poli w celu sprawdzenia stanu okrętów austriackich, które

miał przejść na rzecz Polski, wygłosił płomienne przemówienie przez radio do wszystkich Polaków pełniących służbę w siłach austriackich, by niezwłocznie wracali do ojczyzny. Wniosował o utworzenie Polskiej Marynarki Wojennej, ściągnął ponad 200 marynarzy do obsadzenia przejętego taboru pływającego i magazynów oraz warsztatów. Od 1920 roku kierował Towarzystwem Żeglugowym „Sarmacja”, które sam utworzył. Ukończył studia w Wyższej Szkole Handlu Zagranicznego w Wiedniu. Jego firma przestała istnieć w roku 1926, utracił wszystkie statki. Nowotny wyjechał wówczas do Włoch, gdzie pozostał do końca życia.

Tak powstawała polska marynarka... konna. Ten, mimo wszystko, trafny żart niejedną raz przyszło zbywać rumieńcem. Mieliśmy admirałów, kapitanów, marynarzy, dobrze doświadczonych we flotach zaborców, otrzymaliśmy dostęp do morza i tylko statków nam brakowało. Trzeba było czekać na nie długie lata. Czas ten wypełnił trud i ogromna praca wychowawcza. Zrodziła ona w społeczeństwie powszechny entuzjazm dla idei morskiej. Dała początek morskim tradycjom w Polsce. Nigdy przedtem ani potem Polacy nie byli tak zafascynowani sprawą morską, nie przeżywali jej w sposób tak rozumny, jak w dwudziestolecie międzywojennym. Nigdy też propagandowe hasła, choć brzmiące pompatycznie i banalnie, nie niosły tyle treści, ile to bodaj najśłynniejsze zawołanie: „Nie ma Polski bez morza!”.

– W grudniu 1918 roku zaciągnąłem się do polskiej armii – wspominał Stanisław Wojciechowski, – i poprosiłem o skierowanie mnie do Kadry Polskiej Marynarki Wojennej w Modlinie.

Stanisław Wojciechowski (1898-?), jeden z najzdolniejszych słuchaczy Wydziału Mechanicznego pierwszego kursu Szkoły Morskiej w Tczewie. Naukę ukończył ze specjalnym wyróżnieniem. Uczestnik historycznego rejsu „Lwowa” do Brazylii w 1923 roku. Uzyskał uprawnienia nauczycielskie, wykładał m.in. w warszawskich liceach handlowych i administracyjnych. Po wojnie czynnie zajmował się rybołówstwem. Osiedlł w Kanadzie, gdzie pracował jako konstruktor i mechanik precyzyjny w przemyśle lotniczym. Wynałazca. Ma na koncie kilka patentów kanadyjskich i amerykańskich.

– Ale my, przyszli marynarze, nie mieliśmy tu żadnej jednostki pływającej. Przechodzimy więc intensywne ćwiczenia piechoty morskiej. Regulaminy i taktyka bojowa, oparte były na wzorach armii niemieckiej. Przez pierwsze 4 miesiące każdy z nas biegał w ubraniu cywilnym, jakie przywiózł z domu. Moi rodzice przewidywali, że będzie ciężko z umundurowaniem i dali mi najlepszy garnitur, najlepsze palto i specjalnie uszyte do wojska buty z cholewami. Wyglądałem wśród kolegów jak oficer. Dali mi również taką niemiecką krymkę bez daszka, na której widniał polski orzełek. Później krawcy warszawscy uszyli nam marynarskie ubrania z jakichś granatowych materiałów, ale to były, jak to u nas mówili, włókna z pokrzywy. Materiał wręcz rozlaźił się na łokciach i kolanach. Krawcy szyli według przeciętnej miary. I jak nas umundurowali, to okazało się, że ten miał parę cali za długie nogawki, a inny - za długie rękawy. Wreszcie utworzono wojskowe pracownice krawieckie. Prezentowaliśmy się już okazale, a nie jak manekiny, odziane w jakieś worki powiewające na wietrze. Brakowało wszystkiego. Karabinów, pasów żołnierskich, bagnetów i granatów. Nade wszystko przykry był głód, jaki przeżywaliśmy w Modlinie. Niemcy pozostawili w magazynach nadgniłe, cuchnące ziemniaki i buraki oraz zatęchłą kaszę; był także ersatz – kapusta suszona, podobno z pokrzywy, oraz kawa zbożowa. Otrzymywaliśmy także 700 gramów czarnego wyschniętego chleba, powszechnie zwanego koksem i 500 gramów wołowiny w cuchnącej zupie, uwarzonej z tych nadgniętych kartofli, buraków, kaszy i suchej kapusty. W tych warunkach nie było łatwo być dobrym żołnierzem: ćwiczyć intensywnie, gdy kiszki ciągle z głodu marsza grają, a w oczach widzieliśmy błyski gwiazd. Mężczyźni o słabszych charakterach przeżywali załamanie. Było kilka samobójstw. Stawialiśmy się coraz słabsi. I wtedy wydano



..Jej sztukę kształtuje czysty duch, uważność, spontaniczność i emocje płynące prosto z serca....

Małgorzata Olejniczak

Na wystawie "seeblick"
Jesienny Salon Sztuki
27.09.-26.10.2025, Międzyzdroje

rozkaz, by marynarz na warcie stał nie dłużej niż jedną godzinę. Ja w ciągu półroczu straciłem na wadze 17 kg. Ważyłem 55. Wszyscy, obowiązkowo chodziliśmy na wykłady. Uświadamiano nas, że jako żołnierze budujemy od pokoleń wysnioną Wolną Polskę. Mówiono - wokół żołnierz polski bagnietem kreśli granice Polski płacąc obficie daninę krwi, więc dla takiego żołnierza na froncie musi iść wszystko, co najlepsze: broń, amunicja, zaopatrzenie w żywność i mundury. Początkowo, w Kadrze Marynarki Wojennej jest nas kilkudziesięciu, lecz stopniowo, z marynarek zaborczych napływają oficerowie. Drugie tyłu Polaków przybyło z marynarki carskiej, kilkunastu z marynarki austriackiej oraz paru z niemieckiej. Podoficerów jest kilkunastu z marynarki austriackiej i tyłuż z Legionów. Tworzone są struktury, umacnia się organizacja. Przede mną otwiera się droga do szybkiego awansu i już po dwóch miesiącach zostaję mianowany starszym marynarzem, po sześciu - matem (kapralem), a po roku bosmanmatem. Zimą 1919 roku otrzymaliśmy 1200 rekrutów z poboru; był to głównie element wiejski, zdrowi chłopcy lecz 50% z nich to analfabeci. Z tego materiału ludzkiego sformowano samodzielną jednostkę bojową: I Baon Morski, składający się z czterech kompanii piechoty morskiej oraz kompanii ciężkich karabinów maszynowych.

17 stycznia 1920 roku baon otrzymał rozkaz zajęcia Torunia.

– Batalion został sformowany o drugiej w nocy. Przez ośnieżone pola i bezdroża, w szalonym tempie, niemal biegiem, ruszyliśmy na północ. Tego dnia mróz był wyjątkowo siarczysty. Wędrowaliśmy na przełaj przez pola, przy torach klejowych. Zajęliśmy Toruń już o godzinie ósmej rano. Byliśmy tak przepoceni, że kiedy stanęliśmy na chłodniku, to potrojne podeszwy wojskowych butów były mokre, jakby zostały wyjęte ze stawu i postawione na chłodniku. Tyle naszego potu naciekało poprzez te potrojne podeszwy. Przepociliśmy koszule, mundury i później na tym mrozie przyszedł rozkaz: karabiny w kozły. I tak staliśmy trzy godziny, czekając, aż przyjedzie

sztab generała Hallera, żeby pójść w defiladę. Niemożliwie zmarzliśmy. Mimo mrozu, panny toruńskie w białych sukniach rozdawały nam wódkę. To trochę pokrzepiło nas. Po południu poszliśmy w defiladę, która trwała sześć godzin, bo oprowadzali nas wokół całego Torunia. I znowu się spociliśmy. Dopiero o godzinie ósmej wieczorem dostaliśmy się na podgórze do wymrożonych koszar. W ciągu jednej minuty każdy zapadł w głęboki sen. W pełnym rynsztunku.

A ten marynarze otrzymali w taborach przywiezionych z Francji przez generała Józefa Hallera. Znajdowało się tam umundurowanie ze śladami krwi i cięć bagnietów z pól bitewnych pierwszej wojny światowej.

Józef Haller de Hallenburg (1873-1960), generał. Postać bardzo popularna w Polsce, w latach dwudziestych. W 1895 roku ukończył Wojskową Akademię Techniczną w Wiedniu. Do roku 1910 w służbie austriackiej. Po wystąpieniu z niej osiadł na roli w Wysocku pod Brodami. W 1912 roku zorganizował Sokole Drużyny Polowe. Był komendantem zorganizowanego przez siebie w 1914 roku Legionu Wschodniego. Stał na czele wszystkich polskich oddziałów wojskowych poza terenem okupacji austro-niemieckiej. W latach 1918-1919 dowódca naczelny Armii Polskiej we Francji. Liczne stanowiska w administracji państwowej i wojsku. Poseł na sejm. Przeciwnik Piłsudskiego. Od 1940 roku, przez trzy lata, członek rządu na emigracji.

W owym czasie znaczna część Pomorza pozostawała w rękach Niemców. Piechotę morską skierowano więc do Aleksandrowa Kujawskiego, na odcinek graniczny między tym miasteczkiem a Wisłą, wyznaczony okopami i zasiekami z drutu kolczastego.

– Na pograniczu z Niemcami często dochodziło do wymiany

Halina Nowicka

Baonem Morskim. Po zdobyciu Pucka nakazał sformowanie Plutonu Lotniczego. Od 1920 roku dowódca pułku morskiego. Na froncie wojny 1921 roku dostał się ponownie do niewoli sowieckiej. Po uwolnieniu – dowódca dyonu torpedowców. Żeglarz. Od 1928 roku pierwszy prezes Klubu Morskiego. Do 1929 roku szef wydziału Komisariatu Generalnego R.P. w Gdańsku. Po zwolnieniu z wojska w 1929 roku, nadal niezwykle aktywny. M.in. dyrektor biu-



ra portowego Linii Gdynia-Ameryka, działacz Rady Głównej Ligii Morskiej i Kolonialnej. W czasie okupacji, w Warszawie, w ZWZ a potem AK. Uczestnik Powstania Warszawskiego i struktur konspiracyjnych. Po wyzwoleniu kierował Wydziałem Morskim SUM w Koszalinie. Aresztowany przez UB w Szczecinie. Zmarł na serce po przewiezieniu do Warszawy.

ognia. Miały miejsce drobne potyczki lub przenikanie patroli; lecz bywały także dni względnego spokoju. Wówczas głodni Niemcy prosili nas o żywność, szczególnie masło i jaja, a my od nich brałiśmy broń i amunicję; i tak za nowy ciężki karabin maszynowy i dziesięć skrzynek amunicji płaciliśmy 10 kg masła i cztery mendle jaj. (...) Dowództwo I Baonu zajęło się likwidowaniem analfabetyzmu. Już po kilku lekcjach oficerowie poznali się na moich zdolnościach organizacyjnych i pedagogicznych. W ciągu czterech miesięcy dokształciliśmy marynarzy, tak, że analfabetyzm w naszej jednostce został zlikwidowany.

Kapitan Konstanty Jacynicz utworzył wówczas Referat Oświatowy I Baonu Morskiego. Stanisław Wojciechowski organizował pogadanki ogólnokształcące i „lotną” wypożyczalnię książek dla pododdziałów stacjonujących na całym wybrzeżu. Wielką atrakcją okazały się pokazy filmowe. Prowadził świetlicę i szkołę języka polskiego. W 1920 roku pierwszymi nauczycielami języka polskiego wśród kaszubskich dzieci byli marynarze. Stanisława Wojciechowskiego wspierał ksiądz kapelan Władysław Migoń. Siostry zakonne z Pucka udostępniły im obszerną salę szkolną.

Konstanty Leon Jacynicz (1889-1970), kapitan. Ukończył gimnazjum w Mitawie i Morski Korpus w Petersburgu. Odbił kurs pływania podwodnego. Skierowany do Floty Bałtyckiej, na „Geparda” a potem – „Jaź”. Aresztowany i osadzony w twierdzy Pietropawłowskiej. W latach 1918-19 dowodził pierwszym

Z Torunia szlak baonu wiódł nad morze. Kolej udostępniła wojsku kilka wagonów, które w warunkach pokojowych służyły do przewozu zwierząt. Podróż do Pucka trwała trzy dni. Mróz nie słabł. Dwadzieścia stopni poniżej zera. W dzień i w nocy. Na środku wagonu, na podłodze powstał stóg z ludzkich ciał. Kto znalazł się w jego środku, chłonał ciepło ciał kolegów; kto na zewnątrz – gramolił się na wierzch i „przykrywał” pęzającym z dołu towarzyszem. W ten sposób przez dwie, trzy godziny każdy spał w cieple.

Przed Wrzeszczem na tory wybiegła kilkutysięczna grupa Polaków gdańskich. Prosilili aby polskie wojsko zatrzymało się w polskim porcie. Żołnierze angielscy, osłaniający konwój, z trudem torowali drogę pociągowi. Kolbami karabinów powstrzymywali manifestującą ludność.

Wieczorem baon dotarł do Pucka. W opuszczonych i zniszczonych przez Niemców koszarach przygotowano miejsca noclegowe. Saperzy przeszukali piece, w których, podobnie jak w Toruniu, znaleziono wiele granatów i ładunków wybuchowych. Wycofujące się oddziały niemieckie zniszczyły także wodociągi. W zamarniętej zatoce wyrąbano przeręble. Zupę, ugotowaną na morskiej wodzie, przymuszając się, zjedli wszyscy. Słonej kawy nikt nie spróbował.

Z każdym dniem zajmowano kolejne miejscowości i osady wybrzeża.

„Wejherowo, 10 lutego (PAT). We wtorek rano doszło nasze wojsko do Wejherowa i okolicy. Ludność kaszubska witała nasze oddziały z nieopisanym zapałem. We wszystkich miejscowościach były ustawione łuki triumfalne. (...) Pierwsze oddziały szwoleżerów wkroczyły do miasta o 13.00. Obrzucono je kwiatami, a na rynku powitał je starosta Dąbrowski i prezes Rady Ludowej Chmielewski. W odpowiedzi pułkownik Orzechowski wezwał ludność do wspólnej pracy z resztą ojczyzny”.

Odzew na „utrwalanie się nowego porządku historycznego” był natychmiastowy:

„Na posiedzeniu 5 lutego celem zmanifestowania powrotu ziem polskich i dostępu do morza postanowiono asygnować z funduszy miejskich na fundusz narodowy, celem utworzenia polskiej floty morskiej 5000 koron. Rada Miejska Działoszyce.”

„Zaślubiny z morzem” wyznaczono na 10 lutego 1920 roku. Pierwszy etap przekształcania kraju w państwo morskie został więc zapoczątkowany. Relacje z tej uroczystości wzbudziły duże zainteresowanie i reakcje społeczeństwa. Kolejna, tak wielka fala entuzjazmu wobec polskich spraw morskich została wywołana pierwszymi obchodami Święta Morza, zorganizowanymi dwanaście lat później.

W „Księdze Pamiątkowej Tygodnia Bandery” Edward Ligocki wspominał:

„Rano byliśmy w Gdańsku. Zła, zgrzytliwa chwila pomimo serdecznego powitania Polonii gdańskiej. Pociąg nasz przybrany zieleńią, sztandarami, warty w błękitnych mundurach hallerowskich. Nie wysiedliśmy tu, na polskiej ziemi, w polskim mieście portowym, tyle łask i dobrodziejstw zawdzięczającym majestatowi polskiej korony. Gdzieś nad błotnistą zatoką zatknąć mieliśmy sztandary na maszcie. (E. Ligocki, Wolność i morze. W: Księga pamiątkowa Tygodnia Bandery, Warszawa 1925).

Pociąg zatrzymywano na każdej stacji, obsypywano kwiatami, wznoszono okrzyki, z wielu oczu spadała nie jedna łza szczęścia. A generał – przemawiał. Każde jego słowo, każde zawołanie – kwitowano wiwatami.

„Obywatele Wolnego Miasta Gdańska, a jednocześnie obywatele Rzeczypospolitej Polskiej. Serdecznie wam dziękujemy w imieniu żołnierzy polskich, którzy idą tam, gdzie miłość Ojczyzny ich wzywa, prawo i obowiązek. Dziś stało się zadość prawu i sprawiedliwości stajemy na wybrzeżu polskim! Niech żyje niepodległa Polska!”.

To kolejny cytat ze wspomnień Edwarda Ligockiego.

Rozległy się owacje. Zawsze też ktoś intonował „Boże, coś Polskę”. Stanisław Wojciechowski znalazł się w centrum tych wydarzeń.

– Byłem wówczas bosmanmatem w 3 plutonie 1 kompanii. Mieliśmy chodzić za generałem krok w krok i spełniać każde jego życzenie. Nad Zatoką Pucką chmury. Dzień posępny, szary, mżył deszcz. Cicha i spokojna woda niczym nie przypominała morza. Na końcu niedługiego mola ustawiono maszt. Obok wyznaczono miejsce dla chorążych z pułkowymi sztandarami. Fale zatoki lekko muskały ich płótna. Orkiestra odegrała hymn. Tak polskie sztandary powitały polskie morze.

Nieopodal zbudowano ołtarz. W czasie mszy oddano salut armatni. Na najwyższym maszcie powiewała poświęcona polska bandera.

Wokół, nad morskim brzegiem, cisnęli się Kaszubi. Słychać było uderzenia kropel deszczu o setki parasoli. Generał zatrzymał konia przed taflą rozmokłej kry. Patrzył przed siebie. W dłoni trzymał pierścień. Winien go rzucić na odległość dwunastu – piętnastu metrów, gdzie wody zatoki wolne były od lodu.

– Podbiegł do mnie jeden z oficerów. Polecił mi wspiąć się na kopiec oporowy. Pamiętajcie, Wojciechowski, żeby w odpowied-

niej chwili dać znak dowódcy artylerii! Ze wzniesienia widziałem, jak generał uniósł rękę i rzucił pierścień. Na moją komendę artyleria dała kilka salw. Pierścień zatoczył w powietrzu łuk i... upadł na krę.

Zdaniem Kaszubów, którzy gromadnie stali tuż nad brzegiem, pierścień potoczył się w kierunku zachodnim, co przyjęto jako znak zapowiedzi, że w tamtym kierunku poszerzać się będą morskie granice Rzeczypospolitej.

- Zbiegłem na dół, na swoje miejsce przy generale. Widziałem zakłopotanie na jego twarzy i konsternację tłumu. Co robić? Na krę wejść nie można, bo się pokruszy. Nie mieliśmy żadnych tyczek, którymi można by pierścień zepchnąć do wody. Lance ulańskie były za krótkie. Jeden z pułkowników spał konia i ruszył w stronę brzegu. Zwierzę stawiało opór, chrapało. Stojący z boku wołali: Tu głębica! Utonie pan, pułkowniku!. Jeszcze dziś słyszę donośną odpowiedź: Pułkownik Skrzyński nie zginął na wojnie, to i w wodzie morskiej diabli go nie wezmą! Końskie kopyta z łatwością kruszyły lód. Jeździec zbliżył się do pierścienia i zatopił go. W ten sposób dokonano zaślubin Polski z morzem.

Stanisław Skrzyński, pułkownik. Dowódca Dywizji Pomorskiej, w skład której wchodził Batalion Morski; nadzorował obejmowanie przez żołnierzy batalionu Torunia, Bydgoszczy, Fordonu, Chełmna, Grudziądza i Tczewa.

Mistrzowie ceremonii przystąpili do generała oraz dziekana polowego, księdza Rydlewskiego, z prośbą o poświęcenie pamiątkowego słu. Znany malarz Henryk Uziembło sporządził okolicznościowy akt erekcyjny. Złożyli pod nim podpisy znaczniejsi uczestnicy uroczystości, również przedstawiciel marynarzy – Stanisław Wojciechowski. Dokument wykonany na wzór dawnych aktów królewskich przedstawiał emblemat Rzeczypospolitej na tle sztormowego morza.

Na wieczną rzecz pamiątkę odzyskania morza polskiego.

Puck nad Bałtykiem. Roku Pańskiego 1920, dnia 10 lutego.

Henryk Uziembło (1879–1949), malarz i grafik, współzałożyciel Towarzystwa Polska Sztuka Stosowana. W 1911 roku wykonywał polichromie na Wawelu. Autor witraży, wystroju wnętrz, projektował mozaiki. Zajmował się też artystyczną oprawą książek. Jego dziełem jest oprawa Wielkiego Mszału dla kapituły Katedry Wawelskiej. Jeden z twórców nowoczesnej polskiej sztuki dekoracyjnej; publicysta.

Wiele źródeł podaje, że pod dokumentem widnieje podpis Stanisława Wojciechowskiego – ówczesnego ministra spraw wewnętrznych. W liście wysłanym do mnie z Montrealu, 26.02.1984 roku, Stanisław Wojciechowski pisał: **Po wrzuceniu pierścienia do morza spisano akt zaślubin, na którym widnieje mój podpis złożony imieniem Sił Zbrojnych Polskiej Marynarki Wojennej, która objęła obowiązek obrony Wybrzeża Morskiego.**

Oryginał aktu zaślubin przekazano do Muzeum Narodowego w Krakowie, a faksymile zostało wmurowane w pał, poświęcony i wbity nad brzegiem.

Gdy na Wybrzeżu w wielu żołnierskich i cywilnych głowach, współ ze szlachetnymi trunkami, szumiało morze, w Warszawie, o godzinie 16.35, na sejmowej sali zapanowała cisza. Głos zabrał marszałek Wojciech Trąbczyński:

Sztandary nasze zaszumiały nad brzegiem Bałtyku (brawa, posłowie wstają), z chwilą, na którą od tylu miesięcy wyczekujemy. Jak ongi po pokoju toruńskim w roku 1466 docieramy po długiej

rozłące do morza (brawa).

Szum Bałtyku to najpiękniejszy hymn naszej państwowości (brawa). Na tym pomorskim skrawku ziemi, na tej wąskiej polskiej tamie, ciągnącej się między wynarodowionymi doszczętnie Prusami Książęcymi, a Pomorzem Szczecińskim stoi przyszłość nasza (brawa). Bez owych płuc, otwierających się na polskie morze, Państwo nasze mogłoby egzystować, mogłoby wegetować, ale żyć by nie mogło, bo pozostawałoby zawsze w zależności od sąsiadów. Zapatrzeni w przyszłość narodu, musimy wlewać w serca młodzieży naszej ów niepowstrzymany pęd do wolnego morza, pęd, który już u ludów starożytnych uchodził za silniejszy nad śmierć.

To cytaty ze Sprawozdania stenograficznego z 118 posiedzenia Sejmu Ustawodawczego z dnia 10 lutego 1920 roku.

Sala sejmowa wypełniona była po brzegi. Wszyscy chłonęli słowa padające z mównicy. A marszałek Trąbczyński mówił o powrocie do macierzy ziem od Torunia i Bydgoszczy po Tczew i Puck, o Polakach tam mieszkających, którzy nie ugięli się przed germanizacją, potrzebie pracy dla Ojczyzny, do której włączają się „bracia z ziemi pomorskiej”. Prosił też o pokorę, o wyzbycie się „butnego okrzyku tryumfu”.

Uzyskaliśmy wprawdzie dostęp do morza, uzyskaliśmy wolną żeglugę na ujściu Wisły, ale nie odzyskaliśmy jedyne go portu, jaki brzeg Bałtyku mógłby nam dać, nie odzyskaliśmy Gdańska. Dzisiejsi rządcy tego miasta nie życzyli sobie wcielenia jego do Polski. Oczywiście święcie respektować będziemy wobec miasta Gdańska obowiązki, wynikające z podpisanego przez nas traktatu wersalskiego i będziemy utrzymywać z tym miastem jak najwięcej przyjazne stosunki. Ale podstawą tej przyjaźni musi być wytworzenie niezależności z naszej strony. Potężne Państwo Polskie nie może spokojnie ścierpieć, aby centrum jego handlu morskiego leżało poza granicami kraju.

Owacje trwały wiele minut. Marszałek zakończył swoje wystąpienie stwierdzeniem o bezwzględnej potrzebie podjęcia budowy „własnego portu na polskiej ziemi”, stworzeniu floty narodowej i przystani dla statków na brzegach Wisły.

Kilkakrotnie zabierał głos poseł Aleksander H. de Roset, rzecznik idei morskiej, jej propagator i organizator form gospodarczych uprawy morza. Przedstawił wniosek w sprawie utworzenia sejmowej komisji do spraw morskich. Zaproponował, aby Komisja Morska zajęła się problemami floty handlowej i wojennej, prawodawstwem morskim, wykształceniem marynarzy, określeniem stawek przewozowych, kwestiami dotyczącymi traktatu z Gdańskiem, robotami nadbrzeżnymi i portowymi.

Wniosek z druku nr 1426 został uchwalony jednogłośnie.

Następny dotyczył „budowy portu morskiego na lewym brzegu Wisły w województwie pomorskim oraz pogłębienia Wisły od Bałtyku do projektowanego portu”. Po dyskusji opisującej ogrom prac, jakie z tym zadaniem byłyby związane, projekt zaakceptowano i przekazano do realizacji. Ostatnim akcentem morskim tego posiedzenia Sejmu był wniosek o potrzebie utworzenia „stacji doświadczalno – naukowej oceanologiczno-rybackiej”.

Ta pierwsza naukowa instytucja morska miałaby stać się zalążkiem przyszłej Akademii Nautycznej.

Dokumenty te można uznać za pierwszą redakcję polskiej polityki morskiej.

13 lutego 1920 roku, Warszawa. Barwy narodowe, sztandary, kwiaty, transparenty. W wielu oknach urządzono „morskie ołtarzyki”. Podobnie prezentowały się wystawy sklepowe. Wszędzie naklejano „Banderki Polskie”, które wydrukowano nakładem Ligi Żeglugi Polskiej. Po mszy świętej w katedrze odbył się pochód na Plac Teatralny, a w samo południe zorganizowano zebranie w filharmonii. Redaktorzy Polskiej Agencji Telegraficznej od dawna nie mieli tak dużo pracy. Ze wszystkich miast, miasteczek i wsi napływały depesze.

Poznań, 10 lutego (PAT). Z powodu zajęcia przez wojsko polskie wybrzeża Bałtyku pod Puckiem, dano dziś rano szereg salw z fortów poznańskich. Miasto przybrano flagami. Na Placu Wolności odprawiono mszę polową, po czym odbyła się defilada wojska.

W kościołach łódzkich odprawiono uroczyste nabożeństwa. Po defiladzie wojskowej członkowie stowarzyszeń i korporacji przeszli w pochodzie ulicami miasta.

Ileż entuzjazmu, woli wspólnego działania i wiary w przyszłość morską kryło się za tymi słowami. Ale czy wyniszczony wojną i latami niewoli kraj zdobędzie się na gigantyczny wysiłek gospodarczy, by zrealizować niezbędne inwestycje? Czy sytuacja międzynarodowa i liczne głosy domagające się rewizji traktatu wersalskiego umożliwią Polsce rozwinięcie nie tylko morskiej współpracy z innymi krajami? Jak zdobyć kwalifikowanych fachowców, inżynierów i techników, którzy przystąpią do budowy portów, stoczni, wreszcie – statków? Dziesiątki pytań. Entuzjazmem, propagandowymi hasłami nie da się zagospodarować nieuregulowanych rzek, nadmorskich plaż. O tych problemach żywo dyskutowano, ale w gronie entuzjastów, a ci, jak wiadomo, nie dostrzegają problemów. W atmosferze optymizmu trudno było o krytyczne oceny rachunku ekonomicznego poszczególnych etapów przekształcania Polski w kraj gospodarujący na morzu. Sporo spraw udało się jednak załatwić. Lektura najciekawszej książki dwudziestolecia międzywojennego, „Rocznika Morskiego i Kolonialnego 1938”, potwierdzi i to, że niewiele jest przesady w artykule wstępnym miesięcznika „Morze” ze stycznia 1933 roku.

Jest to piętnasty rok niepodległości Państwa Polskiego, a trzynasty od odzyskania przez nie dostępu do morza. W ciągu niewielu lat, ku szczeremu podziwowi obcych, Polska, kraj prawie zupełnie bez tradycji morskich, stała się państwem morskim. (H. Tetzlaff, Rok 1933. W: Morze nr 1, 1933.)

Powstanie pierwszej polskiej Szkoły Morskiej w Tczewie, podległej wtedy władzom wojskowym, w 1920 roku było wielkim wydarzeniem w morskich dziejach narodu. Specjalistyczna kadra miałaby objąć statki, których jeszcze nie mieliśmy. Te pojawiają się już niedługo – zapewniano. Niestety. Lata mijały. Ale siła propagandy i entuzjazm nie słabły. Z każdym rokiem idea morska zdobywała coraz szerszą rzeszę zwolenników. Stąd też pojawiło się wiele instytucji, towarzystw, imprez i akcji o charakterze oświatowo-morskim. Ludwik Hermel, absolwent szkoły tczewskiej, z braku możliwości zatrudnienia na statkach, przeniósł się do Poznania, gdzie kontynuował naukę. Związał się wówczas z Ligą Morską.

- Zapoznałem prezesa Ligi Morskiej, oddziału w Poznaniu, Juliana Rummla, późniejszego dyrektora Żeglugi Polskiej w Gdyni. Pełniłem funkcję sekretarza zarządu. Prezes jest od reprezentacji, ale od roboty tej szeregowej i technicznej to jest sekretarz, czyli ja. Do tego - funkcje propagandowe i funkcje szkoleniowe. Zakładaliśmy wtedy oddziały powiatowe, urządzaliśmy obchody różnych uroczystości morskich, jak rocznica bitwy pod Oliwą, rocznica zdobycia brzegu morskiego, który dał nam przecież podstawę do stworzenia żeglugi i w ogóle całej marynarki. To była działalność na terenie Poznania. Miasta odległego jednak od morza. Ale dla nas te idee były bardzo atrakcyjne. Przez Wartę mieliśmy łączność z wodami Bałtyku. Chodziło o to, żeby uświadamiać ludziom, że morze to jest i rozrywka, i sport, a przede wszystkim - działalność gospodarcza: żegluga, stocznie, obrona granicy morskiej przez marynarkę wojenną. Ludzie chętnie do nas przychodzili. Najlepszym dowodem, że zorganizowaliśmy Związek Marynarzy Rezerwy Wojennej. I to w Poznaniu. Pierwszym prezesem został pułkownik Lange. Kiedy on ustąpił, to ja objąłem tę prezesurę. Poza tym, kiedy powstał Komitet Floty Narodowej, którego działalność polegała na propagowaniu marynarki wojennej i obrony wybrzeża, zbieranie funduszy na ten cel, to ja również tam objąłem stanowisko sekretarza komitetu. Niezależnie od mojej pracy na odcinku Ligi Morskiej musiałem pamiętać o jednym, że byłem harcerzem. W związku z tym trzeba było zarazić młodzież bakcyliem morskim. Trzeba było stworzyć organizację w

ramach głównej kwatery ZHP - żeglarzy morskich. W tej sprawie uzyskałem placet komendanta Chorągwi Poznańskiej i naczelnika ZHP w Warszawie, druha Antoniego Olbromskiego, zresztą z którym się znałem dobrze, bo w okresie łódzkich prac byłem jego zastępcą. Tak oto powstały harcerskie drużyny morskie. Poznań był w owym czasie jednym z najsilniejszych ośrodków tworzących polskie tradycje morskie.

To właśnie z Poznania, Ludwik Hermel przewiózł harcerzy przez Bałtyk do Danii, na wielki zlot morskiej młodzieży. Piękna opowieść, temat na osobny reportaż.

Kiedy w 1926 roku Polska zakupiła pierwsze statki, kiedy nadzieje na powstanie floty stały się realne, ponownie ruszyła na morze, do szkoły, a także bezpośrednio na owe statki duża grupa młodych ludzi. Niestety nie znaleźli oni pracy ani na tych, ani na następnych zakupionych jednostkach. Armatorzy nie ufali polskim załogom. A kapitanowie woleli zatrudniać doświadczonych Niemców.

- Wiele jeszcze lat musieli czekać polscy marynarze, zanim stanęli na mostkach kapitańskich, przy sterze i w maszynie - mówił mi Urban Krzyżanowski. - Jak myśmy poszli na statki w 1926 roku, stanowiliśmy mniejszość w załodze. Bo tam byli zawodowcy z Marsylii, z Bordeaux, z Paryża, byli też gdańszczanie, byli Austriacy. My stanowiliśmy zaledwie piątą część stanów oficerskich. Byliśmy tą prześladowaną grupą, której przyglądano się z niedowierzaniem. Występowały też silne antagonizmy między marynarzami już ze szkoły polskiej, z tymi z flot zaborców. Na pływanie przychodziło wielu byłych wojskowych. Mieli wysokie pensje i dostawali wysokie stanowiska. Tworzyli kastę, a nas odsyłano tylko do ciężkiej roboty.

- Jednak chęć oraz potrzeba pływania były silniejsze niż zniewagi oraz upokorzenia - mówi Władysław Milewski. - Jak pływałem na „Kościuszce”, na „Piłsudskim”, to moi asystenci byli bardzo ambitni. Dostawali wynagrodzenie miesięczne bez żadnych nadgodzin. Kiedyś do mnie przyszli dwaj asystenci i mówią: jak jest awaria w maszynie to pan zawsze woła Modzelewskiego i Chowańca, tak jakby oni jedyni byli mądrzy. Dlaczego nas pan nie wzywa? My tak jak oni, potrafimy zrobić to samo, a może i lepiej. Wtedy nikomu nie chodziło o pieniądze. Liczył się prestiż i uznanie. Wszyscy z nich zostali słynnymi starszymi mechanikami po wojnie w naszej flocie.

Potrzeba morza w społeczeństwie była bardzo silna. W doniesieniach prasowych najmniejszym nawet faktom poświęcano wiele uwagi. Relacje z pierwszych rejsów morskich, przygód, czytane były z uwagą. Rodzi się literatura marinistyczna. Temat morski pojawia się w poezji i malarstwie. Powstają prywatne muzea morskie.

- Wszystko zmierzało ku przybliżeniu społeczeństwa polskiego

do "uprawy morza" - mówi Kazimierz Orthwein. - Ten termin "uprawa morza" to on powstał przed wojną i trzeba powiedzieć, że był przejawem pewnej tęsknoty Polaków do morza, od którego byli oderwani. Tego rodzaju pojęcia nie istnieją w Anglii, nie istnieją na Islandii, w społecznościach, dla których morze jest tym, czym dla nas rolnictwo, po prostu. Termin "uprawa morza" powstał w Instytucie Bałtyckim. Ukuł go doktor Borowik, bardzo zasłużona postać. Do nas bardziej trafiają ujęcia liryczne, poetyczne i w ogóle uczuciowe, aniżeli jakieś takie kupiecko-buchalteryjne.

- Racjonalne.

- No tak.

CDN

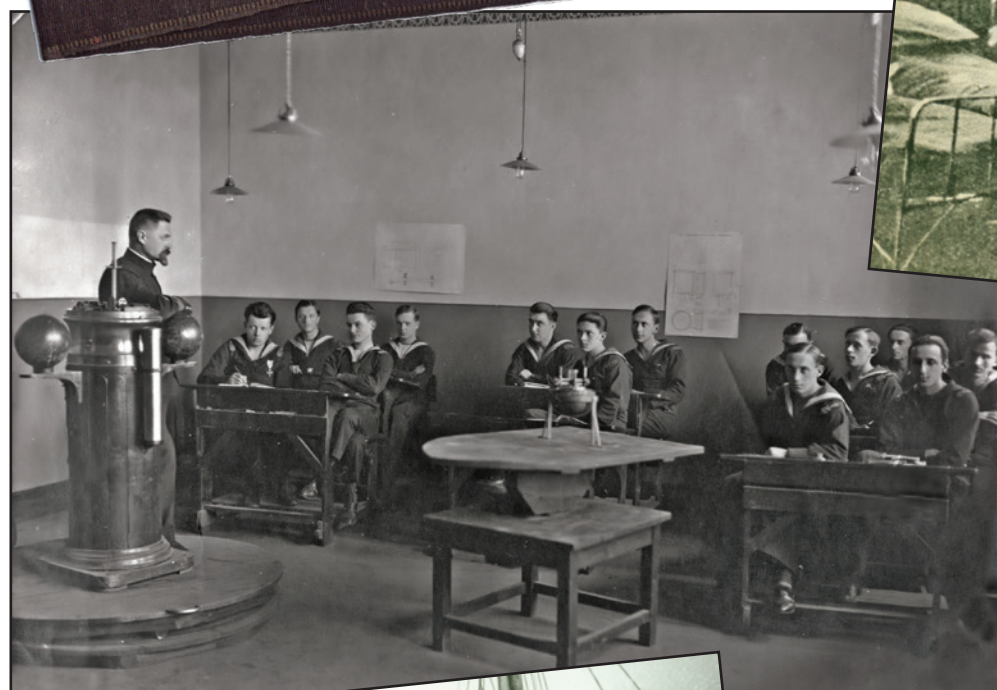


Rzeźbię, bo nie widzę sensu ani potrzeby robienia czegoś innego w życiu.

Janusz Wątor

seeblick" Jesienny Salon Sztuki 27.09.-26.10.2025, Międzyzdroje

SZKOŁA MORSKA

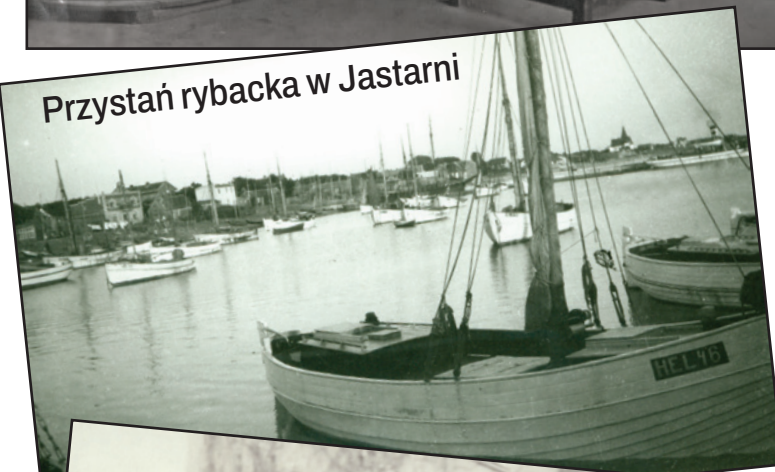


Stanisław Wojciechowski

Wykładowcy Szkoły Morskiej w Tczewie. Siedzą od lewej: inż. Kazimierz Bielski (kierownik Wydziału mechanicznego), kpt. ż. w. Mamert Stankiewicz (komendant „Lwowa” w latach 1924-27), komandor inż. Antoni Garnuszewski (organizator i dyrektor szkoły), kpt. ż. w. Gustaw Kański (kierownik wydziału nawigacyjnego), kpt. mar. Jan Roiński. Stoją od lewej: kpt. ż. w. Stanisław Dłuski, kpt. ż. w. Antoni Ledóchowski, prof. Aleksander Maresz, dr Aleksander Majewski, inż. Witold Komocki, mechanik - Tadeusz Kokiński. Zdjęcie z 1924 roku.



Przystań rybacka w Jastarni



Zajęcia z dewiacji, rok 1921/1922



Na pokładzie „Lwowa”



Statek szkolny „Lwów”



Szkolne koło strzeleckie

Notuję. Jak sroka złodziejka, kradnę pamięci obrazy i sytuacje. Szybko, niekiedy dość niewyraźnie, bywa, że długopisem, który już od lat słowa nie utrwalił. Te zapiski są wszędzie. W książkach, szufladach, pudełkach, wśród dokumentów, rachunków, niepotrzebnych przedmiotów, które ciągle są... niezbędne.

- Narzekasz, że tyle tego wokół siebie gromadzę. Ale gdyby nie ta szara koperta... Wiedziałaś, co w niej schowałem? Zdjęcie. Nasze wakacje w towarzystwie dwóch kotów: rudego i czarnego. Śmiałyśmy się, że rudy - to ty, bo kolor się zgadza, ale ja przecież byłam wtedy już całkiem siwy. Więc kim byłby ten czarny? Gdyby nie te zapiski, to po wielu wydarzeniach w pamięci pozostałyby tylko białe plamy.



Granica, Lubieszyn

6 lipca 2025, około 23:00.

Zjeżdżam z ronda w Lubieszynie. Za dwieście metrów pas graniczny. Nie mogę się przyzwyczaić do tego ... „zaciemnienia”. Jakoś tak – po wiosennych wyborach Niemcy zaczęli demontować słupy oświetlenia ulicznego, od linii granicznej aż po pierwsze skrzyżowanie i ten charakterystyczny wjazd na drogę 104. Nawigacja samochodowa wyświetla w tym miejscu nazwę Prenzlauer Strasse. Po polskiej stronie widzę wzmożony ruch. A właściwie – krzątanie. Za chwilę kurtyna pójdzie w górę, a raczej – szlaban graniczny zostanie - symbolicznie - opuszczony. Od jutra – wraca kontrola graniczna.



Igrzyska - to kochamy. Żle się z tą świadomością czuję. Nie ze względu na jakiegokolwiek, nie do pomysłenia zresztą szykany, obostrzenia, ograniczenia czy utrudnienia... Gorzej niż w okresie Covid-19 chyba nie będzie? Wtedy samo przekroczenie granicy nie stanowiło problemu. Opuszczałem szybko, podawałem urzędnikowi kartkę ze świadectwem badania – to wydawane po stronie polskiej (koło toru kolarskiego, za które płaciłem około 550 PLN) i było ważne przez bodaj trzy dni - „wyglądało” na urzędowe. Natomiast wystawiane w punkcie „An der Kürassierkaserne” w Pasewalku wzbudzało wręcz powagę swoją grafiką, przypominającą wygląd przedwojennych papierów wartościowych.

Któregoś razu przyjechałem na granicę i w pośpiechu wyjąłem z teczki badanie, które obejmowało okres następnego tygodnia. Pomyliłem kartki! Urzędnik uśmiechnął się, wykonał znaczący gest głową, wskazując na teczkę z dokumentami. Od razu zorientowałem się, że...

- Gute Fahrt! – powiedział.

Kontrola covidowa, zrazu rygorystyczna, okazała się farsą. Można było kupić zaświadczenie za grosze, w salonie kosmetycznym lub gabinecie dentystycznym. A wyglądało, jak ulotka z początku lat 70. XX wieku, kopiowana na powielaczu wykorzystującym denaturat jako medium.

Jak będzie jutro? Po stronie polskiej?

Widzę białe-czerwone szturmówki, gromadę ludzi, wszyscy podekscytowani. Wreszcie, jest jakaś draka.

Czerwiec, 2020,

nad wiejskim jeziorkiem.

- Halo! Sporo tego drewna nazbierałeś tej wiosny! – z podziwem kiwam głową, witając się z sąsiadem, który pracował na przydomowym zagonie. Pas ziemi długi na jakieś 300 metrów, szeroki na więcej niż sto. Każdy z tutejszych domów ma taki warzywny „pawł ogon” za sobą. A na nim

– wszystko, co niezbędne. Uprawiane ręcznie. Maszyn nie używają, chyba że jesienią, żeby podorać całość, podzielić na nowe zagony dla płodozmianu. Pracują solidarnie. Kobiety i mężczyźni. Bez względu na pogodę, na porę dnia, na dzień tygodnia. Co zaplanowane – musi być wykonane. Jak tylko powieje mocniej i gdzieś przewali się drzewo – biegną, aby posprzątać ten „dar”, aż się boję powiedzieć – Boży. Częściej bowiem można tu spotkać polskich głosicieli Jehowy niż wieśniaków, pokornie zmierzających do kościoła.

- Chcesz coś kupić? – odpowiada przyjaźnie sąsiad. - Nie sprzedaję, ale podarować mogę. Jak dojrzeją. Jeśli potrzebujesz, możesz zawsze wejść i zerwać. Na spróbowanie!

A poznaliśmy się w dość napiętych, nie ogórkowych okolicznościach.

Żimowe, wczesne popołudnie poprzedniego roku. Żywej duszy wokół. Szedłem spacerkiem dookoła wsi. I tuż na wysokości zagrody sąsiada słońce tak się ułożyło, że idealnie współgrało z wieżą kościelną. Czarno-purpurowa scenografia, jak z japońskiego teatru cieni. Sięgnąłem po aparat, zacząłem robić zdjęcia. Nagle, spoza zabudowań wybiegł pies, a za nim – wyraźnie poirytowany gospodarz. Zdecydowanym krokiem ruszył w moją stronę.

- Du... – i tyle go zrozumiałem.

Mówił tak szybko tą ich regionalną niemczyzną, że zdążyłem tylko bardzo powoli wyciągnąć rękę w jego stronę w geście... powitania. Zamilkł. Przez sekundę opanowywał konsternację, ale... odruch zwyciężył. Podał mi swoją rękę. Poczułem mocny, choć nie przesadnie silny uścisk. Skóra dłoni twarda, spracowana, nieznająca rękawic. Z kieszeni kurtki wyjąłem wizytówkę. Przez chwilę ją oglądał.

- Journalist...

- A ty myślałeś, że kto?

- Szpieg. Dlaczego fotografujesz mój dom? Tego tutaj nie wolno robić. Nie zgadzam się. Skasuj te zdjęcia, a jak nie, to zadzwonię po policję. Kim ty jesteś?

Ruchem oczu wskazałem na wizytówkę.

- Na ja, journalist. Hier?

- Lekarzem nie jest się tylko w szpitalu...

Nie czekałem na jego reakcję na moją ripostę. Pokazałem mu



zdjęcia – piękne ujęcia wieży kościelnej.

W takich okolicznościach się zakolegowaliśmy.

Dziś rozmawiamy o sytuacji na granicy.

- Tylko ludzie, którzy nie mają zielonego pojęcia o tej okolicy, myślą, że postawienie bariery na jezdni rozwiąże jakiegokolwiek problem.

Śmiejemy się z historii, która niedawno się tu wydarzyła. W pobliskiej wsi gospodarzowi wyprowadzono z obory dwie krowy – i chyba cielaka. Zanim przyjechała policja, ludzie odzyskali zwierzęta, dogonili polskich amatorów wołowiny już kilkaset metrów za zieloną granicą z Polską. Poszli tą drogą, którą przez granicę krowy same się na polskie smakołyki wyprawiły. Kiedyś ogrodzenia, pasy ziemi dziewiczej, kamery, patrole. Dziś – krzaki, chaszcze

i zarośla złąły oba kraje w jeden organizm. A graniczny pas wygląda dziś jak stara rana, ale już bez śladu blizny.

Jakim durniem trzeba być, aby wierzyć, że można przechytrzyć urzędników czy funkcjonariuszy obu stron! Jest wiele sposobów na migrację niechcianych gości. Żadne przypadkowe gromady nic tu nie wskórają.

Dwa tygodnie po wprowadzeniu kontroli granicznej

Piątkowe wczesne popołudnie

- S., będziesz w czasie weekendu w domu? Poprosisz G., żeby w niedzielę rano podał moje kwiaty? Zapowiada się niezły upał. Konewkę z wodą stawiam na ganku.

Sąsiadka unosi rękę w geście potwierdzającym, że zadbają o moją rabatę.

- I co, kontrolują?” – pyta już przez otwarte okno swojego bielusińskiego auta.

- A to nie byłaś na zakupach? – odpowiadam prowokująco.

- Jakoś nic nie potrzebuję. Kontrolują? – ponawia pytanie.

Nieprawda. Potrzebuje ona i wszyscy inni sąsiedzi. I paliwo do kosiarki, i parówki z serem. S. zawsze bierze też zgrzewkę wody mineralnej i kilogram cukierków na wagę. Najbardziej smakują jej śliwki w czekoladzie.

- Widzę, że gęsi zaczęłaś hodować?

- G. jest po operacji biodra. Już nie będzie pracował. Posiedzi sobie za stodołą, popilnuje...

- A! Rozumiem. Gęsi będą ci męża pilnowały... – śmiejemy się. -- Ale z nowym stawem biodrowym jego atrakcyjność wśród sąsiadek wzrośnie, że hej!

S. robi marsową minę. Coś mamrocze pod nosem, zamyka szybę i wolno rusza w lewo, a więc w stronę granicy, a nie do miasteczka. Oni uwielbiają takie aluzje i dygresje obyczajowe.

Nazajutrz, na skrzyżowaniu, przy którym od kilku dni wieczorem nie świeci się latarnia, dwóch sąsiadów komentuje pracę geodetów. Młodszy zaczepia mnie, pokazując palcem palik wbity w ziemię i pomalowany na jaskrawo pomarańczowy kolor.

- Zobacz, dwa centymetry ziemi zyskałeś.

Skorygowali stare pomiary.

- Musisz przesunąć ogrodzenie. – dodaje drugi. – O dwa centymetry w stronę jezdni. W końcu to twoja ziemia.

- Zrobię prezent gminie... - uśmiewam się nonszalancko i nieodpowiednio, jak na tutejsze normy.

- Nie możesz. To jest twoja ziemia. Musisz przesunąć ogrodzenie.

Na tyle już wiem, że tutaj, jeśli pogląd lub zdanie wypowiedziane jest w określonej tonacji, to mówiący nie tylko, że nie zezwala na komentarz, co zamyka dyskusję, uznając że sprawa jest postanowiona.

Podszedłem do dwóch geodetów, którzy pakowali do auta swoje przyrządy.

- Ja bym przesunął – powiedział ten starszy.

- W końcu to twoja ziemia.

Dwa centymetry?

- Jedno dziecko zabierzesz, a drugie zostawisz na ulicy? Twoje, więc, zadbać o nie.

Siadłem do komputera. Nakazu i przepisu nie widzę. Na jakiejś grupie dyskusyjnej przeczytałem, że ogrodzić mogą tylko moją ziemię. Ale o nieogrodzeniu nigdzie nie ma ani słowa! Więc nie grodzić nie można? A jeśli się geodeta pomylił? I następny powie - nie, przesunąć ogrodzenie na poprzednie miejsce? No? Polak myśli, Niemiec - wykonuje.

Następnego dnia obaj sąsiedzi znów dyskutują na skrzyżowaniu, a właściwie jedynym rondzie we wsi. Ziemia ma tutaj znikomą wartość. Ale jeżeli jest zabudowana – to inna rozmowa.

- Dwa centymetry... Ale na długości 120 metrów dają prawie 2,4 metra kwadratowego. Czyli jakieś dziesięć EUR?

- Nie, tak droga ta ziemia to tutaj nie jest. Ale osiem i pół to będzie”.
Kiwają głową, ale specjalnie nie zwracają już na mnie uwagi. Trochę mnie to zabolalo. Ale też zrozumiałem, jak niewłaściwie się wczoraj zachowałem. Z Niemcami na pewne tematy się nie żartuje.

Dziwna z nich para. Różnica jednego pokolenia. Rzemieślnik i rolnik. Ten młodszy: wysoki, o naturalnie zawsze uśmiechniętej twarzy; drugi – jakby miał kawałek kiszzonego ogórka pod zębem i zastanawiał się: przegryźć? Młody co roku fetuje urodziny nowego rolnika.

- Pora na bliźniaki – powiedziałem, gratulując mu ubiegłej wiosny.
- Bez obawy, mam naturę snajpera...

Zaśmiał się na tyle głośno i zadziornie, że traktor, którym właśnie odjeżdżał w stronę zabudowań należących do jego dziadka, jakby



ciszej pyrkotał.

Obu sąsiadów nieczęsto spotkam po stronie polskiej. Od dawna podejrzewam ich o ich większą „Unabhängigkeit”. Jakoś nie znajduję lepszego określenia na tę formę właśnie nieuzależnienia od zakupów po stronie polskiej. Ich żony nie przyjeżdżają tu do fryzjera, nie kupują też kwiatów na wielkim rynku ogrodniczym, a po zakupach nie siadają w siermiężnych ogródkach kawowych, żeby zjeść jakieś Kuchen i wypić tyk kawy. Dla tych Niemców, Lubieszyn to wielki świat. Często zatrzymują się we włoskiej restauracji na samym skrzyżowaniu z Linken albo już przed Löcknitz, na dość zacienionym parkingu, gdzie wyjmują walówki z bagażników, gotowane jajka, termosy z kawą zbożową, szynkę, niemieckie Butter. I gadają, milczą, gadają, milczą...

- Jutta ma urodziny w niedzielę... – słyszę rozmowę przy sąsiednim stoliku.

- No, to dlatego wzięłam jej lakier do włosów.

Mężczyźni milczą. Wzrok wbity w nieokreślony punkt. Nie są zbyt rozmowni. Nie spierają się. Nie powtarzają w kółko jakiejś swojej „prawdy”. Urywają w pół zdania, gdy dostrzegają, że ich rozmówca jest równie jak oni nieprzejednany w swoich poglądach. Pytam o uchodźców, o kontrolę graniczną. Milczą.

- To może teraz wy wprowadzicie podobną kontrolę?

- I kogo mielibyśmy sprawdzać? Ciebie?

- Nikt, kto chce nielegalnie przekroczyć granicę, nie jedzie autostradą! - dodaje drugi. - Owszem, mogły się takie przypadki zdarzyć. Kiedyś na potęgę pędziły busy pełne uchodźców. Ale wystarczył jeden sygnał, maleńkie ostrzeżenie, i się skończyło. Nas omijają. My nie Niemcy... Tam jadą, na zachód...

Splunął. Żona podała mu obrane z łupiny jajko. Ugryzł w połowie. Ona posoliła mu tę część, która została w dłoni. Z folii odwinęła grubą parówkę.

- Mielicie jakieś zdarzenia z uchodźcami?

- Nie.

- A gdybyś spotkał takiego?

Milczą. Nie podejmują wątku. Po drugim zagajeniu – rezygnują. To nie są ludzie, którzy „biją pianę” ideologiczną czy patriotyczną. Pewnie każdy z nich postąpiłby w sposób nienagannie pragmatyczny: zgłosiłby władzom fakt pojawienia się nieznajomych.

Chciałem zapytać, kto to jest ten Unbekannte... Zrezygnowałem. Zrozumiałem, że to ja. Bo pytam, podczas gdy oni nie kwapią się do

odpowiedzi. Więc dla nich jestem „inny”.

Brema, późne, niedzielne popołudnie,

wrzesień 1983.

- A w tym kartonie masz witaminy dla piłkarzy.

- Nie zmieszczę! Bagażnik mi odpadnie i pojedę na dwóch przednich kołach.

Śmiejemy się. Günther Lemke, z nieodłączną fajką w lewej ręce – zegna się ze mną zawsze tak samo.

- Do zobaczenia” – mówi prawie idealną polszczyzną.

Wartburg zapyrkotał i ... ociężałe ruszył w stronę NRD-owskiej, a potem polskiej granicy.

W aucie miałem mnóstwo darów. Niektóre dedykowane, zaadresowane; inne dla księdza B., część dla sportowców – głównie odżywki i witaminy. Dla mojego syna – maskotka, z którą nie rozstawał się przez przynajmniej kolejne dziesięć lat.

Wiza kończyła mi się o północy. Czas przejazdu obliczyłem precyzyjnie. Miałem pół godziny zapasu. Ale pogoda nie wróżyła spokojnej nocy.

Jechałem i rozpamiętywałem ten cały tydzień spędzony na regatach, spotkaniach, przy piwie, na boisku piłkarskim, w muzeum... Myślałem: w Polsce stan powojenny, a ja wiozę wielkie puszki z tak poszukiwaną milupą, dziesiątki pieluch jednorazowych (wtedy nowość), soczki, odżywki, dziecięce kosmetyki. Gdybym miał miejsce, zabrałbym więcej. To były dary od Niemców. Znałem zaledwie kilku. Reszta to ich sąsiedzi. Wiedzieli tylko, że w mieście jest ktoś z Polski, że warto coś mu dać dla Polaków, bo ten ich Kriegszustand jest straszny.... Widzieli w telewizji czołgi na polskich ulicach.

Dziś natrafiam w starych kartonach na listy od ludzi, których już sobie nie przypominam. Sekundowe znajomości. Ale jakże serdeczne. Pisali, że miło im było mnie poznać, że są przekonani, iż szczególnie dotarłem do domu, a te drobiazgi, które mi przekazali, trafiły do ludzi, których oni chcieli obdarować, wesprzeć, dać im sygnał, że choćby tylko tak symbolicznie i materialnie wspierają ich, troszczą się i solidaryzują z nimi.

Jadę i myślę. Niemcy martwią się o Polaków...

Błyska...

Będzie burza...

Pierwsze krople deszczu uderzyły w szybę, gdy wjeżdżałem pod dach niemiecko-niemieckiego przejścia granicznego. Czekam cyrk? O północy przychodzi nowa zmiana. Jak się czuje urzędnik, który z niedzieli na poniedziałek, o północy rozpoczyna służbę na granicy?

Tym razem, w odróżnieniu od innych przejazdów, odprawa nie trwała dłużej niż kwadrans.

- Geschenke? – zapytał celnik, otwierając bagażnik, którego kłapa eksplodowała jak butelka szampa...

Skinąłem głową, on oddał mi dokumenty, pomógł domknąć kłapę i uniósł pacholek stojący na asfalcie, otwierając mi przejazd.

Wjechałem na autostradę. Pod Berlinem już szalała niezła burza. Na prawej stopie poczułem wodę. Deszcz przedostał się do wnętrza auta. Wycieraczki z trudem rozganiały strugi ulewy z przedniej szyby. Zwolniłem. Spojrzałem na zegarek. Muszę w czasie przewidzianym na tranzytowy przejazd przez teren NRD zameldować się na granicy z Polską.

Postanawiam, że... Jak mogłem sobie na to pozwolić, znając NRD-owskie reguły tranzytu – nie wiem. Zamiast okrążyć Berlin jego autostradowym „Ringiem”, pojechałem skrótem, prosto na Neubrandenburg i stamtąd do Lubieszyna, zamiast do Kolbaskowa.

Przed Neubrandenburgiem burza osiągnęła swoje apogeum. Gałęzie spadały wprost przed maskę auta. Gdyby taki konar trafił w karoserię, ta, niemalże z tektury, nie ochroniłaby mnie przed katastrofą. Zatrzymać się? Schować? Gdzie? Ciemnica nieprzebrana. Światła wartburga rozpraszały mrok na kilka zaledwie metrów. Zatrzymałem się na poboczu. Ale nie wyłączyłem silnika. Jak ulewa zaleje gniazda świec w silniku – umarł w kapciach – nie ruszę. Ale nie mogę też trzymać auta na chodzie, bo ilość paliwa jest ściśle obliczona na przejazd do pierwszej polskiej stacji benzynowej. Poza tym, tankować legalnie mogłem tylko przy „autobahnowej Tankstelle”.

Stoję, silnik pracuje, deszcz wali w auto, a ja? Ja nie wiem, czy się boję, czy trwam jedynie? Dziś uświadamiam sobie, że nie rozgląda-

łem się wokół. Było tak ciemno. Patrzyłem tylko przed siebie, widząc kawałek oświetlonego czarnego świata.

Nagle, jak piorun z jasnego nieba, z boku, jak się okazało z drogi leśnej – snopem światła wbiły się w prawy bok mojego auta cztery silne reflektory.

Jedno światło na sekundę zniknęło. Zorientowałem się, że ktoś idzie w moją stronę. Chyba tylko zombie odważyłby się wyjść z ukrycia w taką burzę.

- Volkspolizei, Ihre Papiere bitte – taką komendę zrozumiałbyś nawet przy trzaskających, ogłuszających grzmotach. – „Dlaczego pan jedzie tą drogą? Pan może podróżować tylko autostradą. Proszę jechać za mną.”

Koniec, myślę sobie. Zabiorą paszport, wlepią mandat albo i coś gorszego się wydarzy?

Konwojowały mnie dwie policyjne łady, jedna z przodu, druga z tyłu – do samej granicy. Ten, który wziął moje dokumenty, poszedł z nimi do budynku. Wrócił po pół godzinie. I bez słowa - odjechali. A ja stoję przy szlabanie. Środek nocy. Zimno. W normalnych warunkach już dawno byłbym w domu. Próbuję się zorientować, gdzie jest wschód, by wyczekać na wschodzące słońce.

- Bitte öffnen Sie den Kofferraum – usłyszałem stanowcze polecenie.

Wyskoczyłem zza kierownicy. Chłód i wilgoć dopadły mnie tak, jak śpiącego niedźwiedzia obejmuje chłód Oceanu Lodowego. Pazur takiej bestii ze Spitsbergenu od kilku już lat zawsze miałem przy sobie.

- Ja wohl - Jeśli każe mi wszystko wypakować, potem wjechać do garażu, na podnośnik, gdzie ekipa rozbierze auto na części, to... nie będę musiał już jesienią konserwować podwozia. Groza, kpina, rezygnacja i pusty śmiech...

Dziś – przekroczenie granicy to śmiech, wtedy – człowiek zmieniał swoją naturę z ciepłokrwistej na lodowatą.

Przeżyłem tę, nie najgorszą w sumie, noc na granicy. Były gorsze. Ale tak sobie myślę... To niemożliwe, żeby ci ludzie, sami z siebie, żeby traktowali podróżnego w sposób tak nieludzki. Innym razem siedziałem na ławce obok auta osiem godzin. Nie w aucie, a obok. Z kolei miesiąc później... Ale wracam do pytania: Kto wymyślił pewne procedury, nakazywał i opisywał tok postępowania wobec innego człowieka? Zawsze zestresowanego. Myślałem: gdybym był dentystą, może wierciłbym ci kanały bez znieczulenia, panie urzędniku? Głupie pomysły. Ale z drugiej strony – gdyby ci urzędnicy machali ręką, obrywali sobie po kartonie z bagażnika podróżnych, albo – jak się w przypadku przewożenia kolorowych telewizorów robiło – wyjmowali załączniki z paszportu...

- Każdy chce żyć! – tłumaczył mi kiedyś celnik pocztowy, gdy na Dworcowej odbierałem jakąś przesyłkę. – A gry, panie, komputerowe – takie drogie. Jak się ma dwóch chłopaków, to i dwa razy droższe.

I pisał papiery; co chwilę wołał mnie do siebie, nie zawsze o cokolwiek pytał, kazał wracać na poczekalnię, znów wzywał. Książkę czy płytę CD z internetowego sklepu odbierałem po dwóch, trzech godzinach.

Human elements? Nie zawsze tylko to. Często – zwykła nadgorliwość, taka naturalna, ludzka chęć dominowania nad kimś. Bez względu na to, czy Polaka wobec Niemca, czy Niemca wobec Polaka.

As time goes by...

Końcówka lipca 2025

Na granicy ciągle jeszcze trwa festyn... Szukam przymiotnika. Patriotyczny? Przed służbami, tuż przy słupie granicznym - społecz-



ni strażnicy. Raz jeden, innym razem kilkunastu. Rozdyskutowani, gestykulujący lub zatopieni w ekranach smartfonów. Jak nie pada. Jak pokropi - znikają w pobliskim szalasowsku. I co wtedy? Wtedy napięcie słabnie. Ale w pierwszych dniach bywało inaczej...

To był drugi, może trzeci dzień owego anty-uchodźczego „zrywu”. Jak co dzień, wjeżdżałem w strefę oznaczoną dwoma słupami granicznymi. Nagle trzech mężczyzn energicznym krokiem wyszło na środek jezdni, jeszcze po stronie niemieckiej. Moje auto zatrzymało się tuż przed czwartym, który na lubieszynski asfalt niespodziewanie wbiegł od strony lewej, ze strefy dawnych zabudowań pograniczników, dziś remontowanych intensywnie, pewnie w celach komercyjnych. Ten czwarty poczęstował kolegów papierosami. Zapalili. Zaciągali się dymem. Milczeli. Nie miałem żadnej możliwości, aby grupkę objechać i ruszyć w dalszą drogę. Trzydzieści sekund, za chwilę minuta. Silnik auta wyłączył się automatycznie, ale po kolejnej minucie również automatycznie się uruchomił. Uniosłem stopę z pedału hamulca. Auto drgnęło. Mężczyźni bez słowa dopalali papierosy. Jeden z nich spojrzał w moim kierunku. Ale - widziałem to! - nie dostrzegł mnie, zaślepiony jakże nieprzejrzystą ideą, której służył.

Trójka pozostałych nie zwracała uwagi na nadjeżdżające pojazdy. W lusterku zauważyłem trzy, nie, już cztery auta, a w perspektywie - dwa samochody ciężarowe.

Dym czterech papierosów zatrzymał, wprawił w niespotykane wcześniej zakłopotanie kilkunastu podróżnych. Byliśmy bezradni. Zastanawiałem się, którzy z nas pozostawali w większej niemocy - my, zatrzymani, czy ci, którzy nagle, z niepojętego dla nas wszystkich powodu - wtargnęli w nasze, ludzi zatrzymanych - życie?

Trzech mężczyzn ruszyło przed siebie, skręcając w prawą stronę. Auto drgnęło, kierując się w lewo, by ominąć tę grupę, ciągle idącą jezdnią. W tym samym kierunku co moje auto, ruszył z miejsca czwarty patriota. Zabiegł mi drogę. Stał w rozkroku, niczym transformer z kreskówki, której istoty i sensu, a także estetyki nigdy nie rozumiałem. Ostro zahamowałem. Silnik zgasł. Lewą stroną jezdni do linii granicznej zmierzał motocyklista. Z prawej nadciągała grupa rowerzystów. Wszyscy zatrzymali się, widząc, że od dłuższej chwili sznur samochodów tkwi na środku jezdni.

On jeden i my wszyscy - czyli jakaś reszta. Mężczyzna wolno zszedł na chodnik. Dołączył do kumpli.

Ruszyliśmy, to znaczy - przemknęliśmy się, nie kryjąc strachu przed... naszymi obrońcami.



Mija kilka kolejnych dni. To, czego doświadczam, co widzę, w czym - w pewnym sensie uczestniczę, a obraz tego miejsca w mediach to dwa różne światy. Kamery... To jak sztylet w plecach, o każdej pełnej godzinie, gdy startują serwisy informacyjne - jest lekko dopychany. Ale krew się nie leje, służby porządkowe z pałkami nie tratują strażników, ci zaczynają kręcić nosem, gdy wypada, że kolejną nockę spędzą w składanym krzeselku plażowym... Na szczęście - są kamery. Napięcie jest nieustannie podtrzymywane, podczas gdy tu, na granicy - coraz mniej się dzieje. *A lazy afternoon...* Po trzech tygodniach, po pierwszym deszczu - wopisci już nie reagują na przejeżdżające auta. Nie kierują nas na objazdowa pętlę. Nie machają lizakami - jechać, jechać, Nie reagują w ogóle.



Ja ich odprowadzam...

Internet, 2021/2022

- Niemcy są jednak inni. - napisała.

Ja odpowiedziałem trzema znakami zapytania. A widzieliśmy się jeden raz w życiu.

H. miała wtedy pięć, może sześć lat? Z jej siostrą umówiłem się do kina. Jak przystało na dobrze ułożonego chłopca, przyszedłem zapytać mamę mojej koleżanki, czy ta zgodzi się, byśmy razem poszli do kina. Mama wysłuchiwała pełnej opowieści o tym, kim jestem, kim są moi rodzice, gdzie mieszkam, jakie mam stopnie, czym się interesuję.

H. wybiegła wtedy z pokoju, była ubrana w białe rajstopki, jakąś kolorową bluzeczkę. „A kto to jest?” „A jak siem nazywas?” „A po co 'psysieś'?...”

Minęło więcej niż pół wieku.

Ktoś zagadnął mnie na Facebooku.

- Proszę pana, a pan...

- Proszę pani, a pani...

- Nie pamiętasz, nie przypominasz mnie sobie? – wreszcie zapytała i po chwili opowiedziała o tych białych rajstopkach.

Rozmawialiśmy o wielu sprawach, zawsze i tylko pisząc wiadomości w komunikatorze. Kiedy opisała mi mój dom – poczułem się dość dziwnie. Gdy podała szczegóły o poprzednich właścicielach – zaciekawiała mnie. Zbulwersowała, gdy zapytała, czy „może wejść do mojej głowy i trochę tam... posprzątać.”

- Teraz pewnie nie znajdę tej konwersacji, bo to są już setki stron, ale wiem, że odpowiedziałem: Nie przepadam za dźwiękiem odkurzacza w mojej głowie, więc może innym razem.

H. była (tak, niestety) kimś nie z tego świata. Spośród wielu umiejętności, mistrzynią okazała się w wyprowadzaniu Niemców z... grobów. To znaczy – oni tam pozostawiali, chyba że rodziny wnioskowały

o ekshumację. Ona, H., odprowadzała ich dusze.

- Jestem przewodnikiem – powiedziała. - Zmarłych, których nikt nad grobem nie pożałował, a jedynie łopatą ziemię nad nimi przyklepał... ja... odprowadzam... Któregoś dnia, zupełnie nie miałam najmniejszego pojęcia o tym, czym się teraz zajmowałam, zadzwonił do mnie mój profesor. I poprosił, abym w najkrótszym terminie przejechała do jakiejś wioski na Pomorzu Gdańskim. Rozumiesz, twój profesor cię o coś prosi. Pojechałam. Przywitał się dość oziębło. Poparzył mi w oczy, wziął obie ręce w swoje dłonie. Przez chwilę trzymał je w bezruchu, miał zamknięte oczy. Powiedział: Nauczę cię i pokażę, jak to robić. Nadajesz się.

- Chcesz wiedzieć, co było dalej? Nieważne. I tak ci opowiem. Profesor podszedł do mnie, podał ramię i podprowadził do pasażerów drugiego auta. Ci patrzyli na scenę, która się przed chwilą rozegrała w taki sam niepojmujący sposób jak ja. Ale ja... Ja pierwszy raz właśnie wtedy poczułam, a może nawet zrozumiałam, że jestem ledwie częścią czegoś zdecydowanie nieokreślonego. I nie chodziło tu o rozmiar, masę czy kształt lecz o sens, istotę, konstytucję.

H. mówiła, że profesor skinął głową w stronę starszego mężczyzny, z tej drugiej grupy. On wydawał się być schorowany. Ale nagle się wyprostował, łaskę oparł o drzewo.

- Ten stary człowiek podał mi dłoń. Ujęłam ją z poczuciem uchwycenia jakiejś... iskry? Profesor skinął ponownie głową. A ja zrozumiałam chyba, choć on nic nie powiedział, że ten mężczyzna już stracił wszelką nadzieję. Więc - pomyślałam - tak odczuwa się człowieka pozbawionego wiary w spełnienie jego oczekiwania? I wtedy dotarło do mnie, że ta nic nie czująca ręka mężczyzny jakby pociągnęła mnie w lewą stronę. Poddalam się impulsowi. Zrozumiałam, że to on mnie, a nie ja jego dokądś prowadzę. Uszliśmy kilka kroków. Minęliśmy tych troje ludzi, którzy już znaleźli odpowiedź przez tyle lat wyczekiwaną. Zatrzymaliśmy się kilka metrów od nich, w miejscu również przez roślinność jakby „otulonym”. Nigdy wcześniej nie patrzyłam tak na las. Nigdy się nie zastanawiałam, że las może nam tak wiele powiedzieć. Mężczyzna ujął moje ramię drugą ręką i wtedy poczułam przerażający, ogromny ciężar. Jakaś nieludzka siła skłoniła mnie, bym uklękła obok tego mężczyzny. Wtedy on spojrzał mi w oczy. Nie słyszałam, ale wiem, że powiedział: Dziękuję. Nie pytaj, czy mówił po polsku czy po niemiecku. Wiem, że powiedział: Dziękuję. Uznałam, że mogę wstać, odejść na stronę. Podeszłam do profesora. Powiedział tylko, że od tej chwili poszukującym ludziom będzie podawał numer tylko mojego telefonu. Rozmawialiśmy na poziomie, którego wtedy nie umiałam określić, nazwać, scharakteryzować. Bo nie posługiwaliśmy się słowami. Profesor powiedział tylko, że zazwyczaj właśnie Niemcy byli proszącymi o pomoc. Inne narodowości nie mają w sobie takiej przemożnej siły,

aby odnajdować bezimienne, nieoznakowane mogiły swoich bliskich, którzy czekali na odprowadzenie ich dusz z tego świata.

- Z tego świata? – zapytałam. - Jest inny?

- Nawet tobie wszystkiego powiedzieć nie mogę. Nie dlatego, że nie chcę, czy być może nie potrafiabym, ale najwyraźniej nie jesteś kimś, kto taką informację mógłby teraz uzyskać. Musisz o tych sprawach myśleć w kategoriach nie tego świata. Może wtedy...

- No to, jakiego? – nie kryłem irytacji.

- Przede wszystkim musisz wyzbyć się tej twojej niecierpliwości. Wtedy znajdziesz odpowiedź na twoje pytanie.

- Niezła zabawa – zakpiłem – Mam szukać odpowiedzi, zamiast ją otrzymać? Odpowiedzi na niepostawione pytania?

Niemcy rzeczywiście przez długie lata prosili H. o pomoc. Nigdy, jak wspomniała, im nie odmówiła. W ponownym pochówku uczestniczyła może raz, może dwa razy.

- Ja swoje zrobiłam w chwili, gdy doprowadziłam ludzi do mogiły ich bliskich. Wtedy duszę zmarłego odprowadzałam dając obu stronom wieczny spokój.

Dziś w każdej niemieckiej wiosce spotkać można kamienie, krzyże, nierzadko ogrodzone ciągle konserwowanym płotem, pielęgnowane napisy wskazujące nazwiska ludzi stąd, którzy polegli gdzieś i być może czekają na H., która, niestety, przed dwoma laty...

Poszedłem więc, aby ją odprowadzić.

Kiedy przypadkiem, kilka tygodni później spotkałem w sklepie jej koleżankę, a przyjaciółkę siostry K., z którą raz w życiu umówiłem się do kina – ta zapytała, czy wiem, że H. odeszła?

- Byłam na pogrzebie H.

- Ja też, widziałem ciebie... Wychodząc z kaplicy otarłaś się o mnie.

I opisałem dokładnie, kto był wśród żałobników. W oczach koleżanki H. dostrzegłem zdziwienie i niedowierzanie zarazem.

- Było nas tam kilka, może osiem osób, ale ciebie... nie widziałam.

Uśmiechnąłem się. Ale nie wiem, bardziej do niej czy... do H.?

- Możliwe, stałem z boku, pewnie... miałaś mnie nie zauważyć.



- Ale ... nas tam było ledwie kilka osób. Wszystkich pamiętam...

Berlin, rok 1993

Nowa dzielnica, późny wieczór.

Drzwi otworzyły się z rozmachem.

- Jesteś punktualny. Wejdz, proszę.

Z korespondencji nie wynikało, że jadę na spotkanie z Japończykiem. Kupiłem od niego małeńkie, cudowne (znałem tylko z opisu) monitory Goodmans. Te głośniki stosowano niegdyś w polskiej radiofonii. Najwierniej ze wszystkich oddawały naturalne brzmienie dźwięku.

W pokoju było już kilka osób. A wszyscy zanurzeni w dźwięku z MAX-ów Goodmansa, jakby na przekór tak nazwanymi, najmniejszymi głośnikami tej firmy – ale z magnesem o dość nadnaturalnej długości. Taka konstrukcja zapewniała idealną reprodukcję najsłabszego nawet dźwięku.

Stefan, jedyny Niemiec w tym towarzystwie, siedział w drugim pokoju. Wiekowo byliśmy z tej samej półki. Reszta towarzystwa – dzieciaki.."

- Jak podróż?

- Bezbłędnie. Szczecin i Berlin to jakby dwie dzielnice, tyle że nieco bardziej oddalone niż się to zwykle spotyka.

Stefan opowiedział mi swoją historię. Był niemieckim opozycjonistą. Pokazał trzy sztywne palce i lekkie wgłębienie przy prawej skroni.

Byłem w Szczecinie. W 1980, a potem jeszcze dwa razy. Ale przedzieranie się przez granicę było zbyt niebezpieczne. Spotykaliśmy się więc z ludźmi z „Solidarności” po naszej stronie. Poznałem wtedy Konrada Weissa.

- Znasz Konrada?

- Tak.

- Robiłem z nim dwa duże wywiady dla polskiej telewizji, tuż po upadku muru berlińskiego.

- No to bywałeś na tych naszych spotkaniach, w Leśniczówce? Zresztą, chyba nie, bo zapamiętałbym ciebie.

- Nie jest dobrze, jeśli się pamięta dziennikarza, a nie jego reportaże.

Zaczęliśmy rozmawiać o nie tak odległej przeszłości. Jak się okazało, obaj byliśmy tamtego tak wyczekiwanego poranka, gdy punktualnie o ósmej rano otwarto dziennikarzom bramy do gmachu „Stasi”.

- Niemiecka mentalność jest dla opozycjonistów dość surowa. To jest naród podporządkowany, uległy, nawet w pewnym sensie – zniewolony.

Nie miałem pewności, że dobrze rozumiem mojego rozmówcę.

- Niemcy? Ulegli? Pokorni?

- Nawet nie wiesz w jakim stopniu. Niemcy zbudowali mechanizm obywatelski. Taki algorytm. Interesuję się informatyką, cybernetyką, nowymi technikami obliczeniowymi i na zajęciach, podczas dyskusji z pewnym angielskim wykładowcą, powiedziałem, że wy, Anglicy jesteście niewolnikami waszej tradycji, a my tkwimy w okowach naszych bezgranicznych ograniczeń. Rozumiesz różnicę: tradycja versus ograniczenia, albo zasady. Anglik odpowiedział: interesujące spostrzeżenie. Jesteś socjologiem?" Nie, odpowiedziałem, jestem synem człowiekiem, który zginął podczas próby ucieczki do Berlina Zachodniego.

Te dwie nieprzystające – chciałoby się powiedzieć – płaszczyzny, na których dwóch mężczyzn próbuje się porozumieć w sprawie, o której żaden z nich nie mówi tym samym językiem. Aberracja.

- Jesteś stąd, ze wschodniego Berlina?

- Gdybym był stamtąd, nie troszczyłbym się o nas, o «Ossi».

- Niemiec Niemca nie wesprze?

- Zawsze popchnie, tego, który się potknie i dopilnuje, by ten upadł możliwie jak najboleśniej.

Poczułem się dosyć głupio. Jakże to? My, to znaczy - oni i ich „Deutschland über alles”, a ten mi tu takie rzeczy opowiada?

- Szczególnie wśród młodych to widać. Nie mówię o subkulturach, bo te rządzą się zawsze swoimi prawami. Mówię o rówieśnikach pokoleniowych. O ludziach startujących w życie z tego samego poziomu. Nami się orze, im się pomaga. Od nas się tylko wymaga, ich toleruje. Oni nami gardzą, my ich nie podziwiamy.

Wyliczanka trwała dłuższą chwilę.

- Halo, zaczekaj. Jesteście Niemcami, ten sam naród, co z tego, że odseparowany – ale wasi ojcowie, dziadowie... Przecież tu działają więzy krwi, podstawa kulturowa, wreszcie najważniejsze – język!

- Bzdura. Nic nie rozumiesz. Ich ideologia kształtowała tamte umy-

sły w stronę najwyższych ambicji, nasza – w nienawiści do innych. Na tym budowano naszą przewagę. Czyli nic na niczym. My do tego stopnia budowaliśmy substytuty reszty świata, że Niemiec napisał historię najsławniejszego Indianina i to tutaj nakręcono filmy, na które samo Hollywood się nie zdobyło. Oni zawsze byli bogaci, my nimi dopiero mieliśmy się stać. Ich się bano, nas lekceważono. Z nimi zawsze wiązała się najwyższa światowa jakość, a u nas szczytem nowoczesności była mydelniczka na czterech kółkach – autko trabant.

Wahałem się, czy odliczyć mojemu rozmówcy strzał z jedenastu metrów.

- OK. Rozumiem, suma wszystkich sprzeczności nigdy nie da jedności. Ale podobny standard życia mieli Francuzi, Anglicy, Skandynawowie, Holendrzy!

- Z jednym zastrzeżeniem, bo oczywiście masz rację. Tamci ludzie nie mówili o sobie na każdym kroku jakiej są... narodowości. Więc tu dochodziło do największego, kulturowego, cywilizacyjnego zdarzenia – kto z nas jest Niemcem prawdziwym? W środku naszego terytorium oni mieli swoją stolicę. Ba, były dwie stolicy (choć administracyjna była w Bonn) w jednym miejscu, w jednym mieście podzielonym – jak popadło – na dwie części. Ulice, domy, skwery i inne tramwajowe zostały nagle przecięte granicą. Rozumiesz? Granica. Co to jest granica?

Wczoraj, wczesne popołudnie

Przejście Lubieszyn

- Wiesz, od kilku dni, nawet, gdy jadę późną nocą, nikt mnie nie zatrzymuje. Społecznych strażników nie widziałem już od dwóch, trzech tygodni? - mówię do znajomego, którego odwoziłem na lotnisko.

- Znasz zasadę działania ‘alkoogooli’? To takie urządzenie zakładane człowiekowi na oczy, aby postrzegał świat tak, jakby był pod wpływem alkoholu. Idzie o to, że masz pełną świadomość, czysty umysł, a w alkoogoolach - nagle jesteś pijany. Więc ja dałbym tym „obrońcom granic” takie okulary i zaprogramowałbym w nich tryb: łapanie uchodźcy. To można zrobić. Natywnie widzisz w tych okularach dziurkę od klucza i ty masz kluczem w nią wcelować. Wiem, to okrutne doświadczenie, ale kto wie, czy potencjalnie nie jest to najlepszy sposób w profilaktyce antyalkoholowej. Według mnie niektórzy politycy postępują tak, jakby byli pijani. Zachowują się, jakby nieustannie patrzyli na świat przez alkoogoogle. To, że ciemny lud kupuje ich wrażenia, idee, popiera akcje takie jak właśnie społeczna kontrola graniczna – to jestem w stanie zrozumieć. Ale, że do takich metod posuwają się tzw. elity – to tego już nie pojmuję. Można z ludzi robić durni, można dać zrobić z siebie durnia. Ale tylko w Polsce. Ile nas kosztuje ta okresowa kontrola granic? W mądrym państwie zastałyby uruchomione mechanizmy dyskretnego nadzoru nad przejściami. Albo granica wschodnia – zamiast topić miliardy w konstrukcje, naprawdę nie znaleziono środka dyplomatycznego nacisku na inicjatorów akcji uchodźczej? Nie wierzę! Jednak trudno oprzeć się wrażeniu, że nasza wierchuszka ma szczątkowe zdolności dyplomatyczne. Tam dominują mentalności chuligańskie, kibicowskie. Jedni i drudzy. Wszyscy są jak... Niemcy.

- ???

- No tak. Jedni i drudzy robią tak, jak myślą. Problem tylko w tym, kto o czym myśli? Jaki cel chce osiągnąć?

Pas graniczny. Po obu stronach - żywej duszy. Tylko u nas wirują niebieskie "koguty" na czterech autach służb granicznych.



Nie-Niemiec

Kilka dni temu

Tyle pisze Pan o Niemcach — pewnie ma Pan ku temu jakiś powód. Pisze Pan różnie: dobrze i źle, czyli obiektywnie. A w Polsce o Niemcach mówiło się, mówi się i pewnie długo jeszcze mówić będzie jak najgorzej. O co chodzi?

Hm... Powyższy mail podpisał: „Nie-Niemiec”.

Ciekawe określenie. Chyba znam kogoś takiego. A przynajmniej człowieka, który najczęściej bywa Niemcem, choć historia jego rodzi-ny oraz jego natura przesuwają narodowość Ernsta na inny, wyższy poziom. Ernst Schliemann, bo o nim mówię - prawnuk odkrywcy Troi. Były oficer niemieckiej marynarki wojennej, żeglarz, podróżnik i... i tu zaczyna się problem z gradacją. A przede wszystkim z wyszczególnieniem spraw, w które Ernst się angażował.

Samo imię mojego znajomego wiele może sugerować. Pochodzi z języka farerskiego, ale także obecne jest w niemieckim i szwedzkim obszarze językowym. Opisuje człowieka poważnego i energicznego.

Kiedy mój telewizyjny magazyn MORZE (YouTube, Magazyn Morze - Reaktywacja) miał już kilkuletnią, ugruntowaną pozycję w niedzielnej ramówce „Jedynki”, odebrałem telefon.

— Mówi Ernst Schliemann.

— Dzień dobry, co nowego w Troi? — odpowiedziałem zupełnie odruchowo, uruchamiając skojarzenia, a ponieważ od zawsze inte-resowały mnie starożytne kultury morskie, więc inaczej nie mogłem zareagować na tak znane nazwisko.

— Dziękuję, kiedy spotkam się z dziadkiem na Olimpie, przekażę mu Pana numer telefonu.

Umówiliśmy się na spotkanie jeszcze tego samego dnia. Ernst organizował polską edycję swoich regat rodzinnych „Baltic Traditional”. — Twój program może nam pomóc w propagowaniu sportów morskich. A my umożliwimy polskim dzieciakom żeglowanie na zagranicznych jachtach lub w międzynarodowych załogach.

Pomysł genialny. Akurat, na antenie, rozstrzygnąłem ogólnopolską akcję, w wyniku której sześciu młodych widzów mojego programu, wygrało chyba dwutygodniowy pobyt żeglarski w Bremerhaven. Mie-liśmy już za sobą podobne, ale kilkudniowe, weekendowe żeglowanie na Zalewie i Jeziorze Dąbskim. Ale regaty międzynarodowe?

— Uruchomimy kontakty w telewizjach Danii, Szwecji, Finlandii i... Rosji - mówił Ernst.

I tak też się stało. Ale - bez Rosji.

Któregoś dnia Ernst zaskoczył mnie niezapowiedzianą wizytą.

— Przyholowałem do Szczecina kadłub jachtu, o jakim zawsze marzył mój dziadek. On był zapalonym żeglarzem. Proszę — to dla Ciebie, oryginalna fotografia jednego z jego żeglarskich "odrzutowców".

Ernst upewnił się, że znam prezydenta miasta. Potwierdziłem, że Bartłomiej Sochański świetnie mówi po niemiecku, jesteśmy znajomymi...

— Właśnie, właśnie... Moja idea wymaga międzynarodowej sympatii, przyjaźni! - Ernst zawsze wbijał wzrok w rozmówcę, jakby go hipnotyzował. - Tylko wzajemne zrozumienie i współpraca pozwoli nam dokończyć budowę dużego jachtu, dla dzieciaków z całego świata. Pod banderą bielefeldzko-szczecińską...

W pierwszej chwili nie rozumiałem pomysłu. A już połączenie Bielefeldu, w którym Ernst się urodził i gdzie do dziś prowadzi agen-cję reklamową, biuro podróży, szkołę żeglarską – ze Szczecinem... wydawało mi się dość egzotyczne. Ale na spotkanie do magistratu poszliśmy.

Ernst przedłożył prezydentowi Sochańskiemu swój projekt. Ja zadeklarowałem wsparcie medialne. I tylko jednego nam do szczęścia brakowało — inwestora.

Tego - ostatecznie - nie znaleźliśmy. Był rok 1994. Przemiany, wymiany, odmiany, szybkie interesy, jeszcze szybsze transporty i dostawy, rekonfiguracja małego i dużego biznesu. A tu, wnuk archeologa mówi coś o Odysei, nawiązuje do pomysłu Krzysztofa Baranowskiego o szkole pod żaglami...

Telewizja Polska, a w szczególności regionalna stacja, taka jak w

Szczecinie, nie miała na tyle niezależnej pozycji, by wchodzić w bez-pośrednie relacje biznesowe. Niemniej podjęliśmy próbę wykorzysta-nia kontaktów Ernsta z niemieckimi domami medialnymi. Szukaliśmy sponсорów na dokończenie budowy jachtu "międzynarodowego".

Ja uparłem się jednak, że polska stacja państwowa powinna współpracować z niemieckim odpowiednikiem, a więc ośrodkiem stowarzyszonym w ramach ARD. Wybór padł na SFB Berlin. Przecież od dawna dobrze znałem (jeszcze z okresu współpracy w Kiel i Hamburgu) szefa SFB. Niemcy pomysłu nie kupili, ale nie kryli pod-ekscytowania możliwością sprzedaży naszego, telewizyjnego czasu antenowego swoim reklamodawcom.

Uruchomiliśmy procedury prawne. Faks przerzucił kolejne warianty umów. Niemcy zastrzegli, że warunkiem umowy będzie wdrożenie w TV Szczecin systemu pomiaru oglądalności.

— Damy wam na początek (chyba) dwa tysiące dekodерów. Tę skrzynkę należy podłączyć do gniazda antenowego odbiornika, a elektronika będzie rejestrowała czas oglądania każdego z progra-mów. Wtedy ocenimy, jak liczną mamy widownię, do której skierujemy reklamę.

Jak spod ziemi pojawił się w tym momencie kolejny partner – szwajcarski fundusz komercyjny. Już pisaliśmy umowy, już odebrałem zlecenia na produkcję filmów reklamowych (więcej na ten temat jest i będzie pod adresem www.koszur.net) gdy do akcji znowu wkroczył Ernst.

— Wyrzuć wszystko do kosza. Zbadaliśmy wiarygodność tych ludzi. Oni ci (telewizji) nie zapłacą.

Kilka lat później, zupełnie przypadkowo, natrafiłem na informację o osądzeniu i skazaniu właścicieli owego szwajcarskiego funduszu.

Ernst był gejzerem pomysłów i... "awantur" (Abenteuer).

— Postanowiłem odnaleźć skarb Priama, który odkrył mój dziadek.

W 1945 roku Rosjanie wywieźli go z Berlina. Więc – pomyślałem – w Rosji nic szybko nie ginie, co najwyżej zmienia właściciela. Poszuka-łem kontaktów (pojechałem tam, pierwszy raz chyba w 1991 roku); skarbu nie znalazłem, ale natrafiłem na ślad firmy, którą mój dziadek miał w Sankt Petersburgu. Okazało się, że archeolog...

- ...domyślam się, podobnie jak Stanisław Wokulski...

- A kto to?

- Niezawodnie kolega twojego dziadka - dorzuciłem

- Otóż mój dziadek dobrze zarobił na dostawach dla wojska. Dzia-łał na rynku turecko-rosyjskim. Kiedy to wszystko odkryłem, zaprosi-łem do regat „Baltic Traditional” żeglarzy z Rosji. Mieli piękne, drew-niane jachty. Z zaproszenia skorzystali. Wśród żeglarzy znaleźli się ludzie, którzy handlowali materiałami wykorzystywanymi w przemyśle jądrowym. Dostałem od nich ofertę na dowolną ilość ciężkiej wody. Rozpad Związku Radzieckiego musiał być dla nich nieprawdopodob-nym szokiem. Podjąłem z nimi rozmowę. Niespodziewanie dostałem wiadomość, że ładunek ciężkiej wody już zmierza do magazynu pod Szczecinem. Wystarczy tylko podpisać kontrakt, zapłacić i wysłać towar dalej, najlepiej do Algierii.

Ernst opowiadał o tych sprawach tak naturalnie, jak każdy inny mówi o zakupach w supermarkecie. Kiwał się przy tym na moim bujanym fotelu, którego - zazwyczaj - nikomu nie użyczałem.

Później kontakt nam się urwał. Ja poświęciłem się pracy nad tzw. Pasmami Wspólnymi TVP, a Ernst wrócił do korzeni. Zainteresował się technikami nawigacyjnymi w starożytności, prowadził kursy, szkolenia, organizował wyprawy.

Jakiś czas później zatelefonował.

— Jak będziesz w Bielefeld – wpadnij. Mam kilka nowych pomys-łów.

Rzeczywiście, przejeżdżałem przez Bielefeld. Zatrzymałem się przed biurem Ernsta. Nie bez pewnych obaw o ciąg dalszy jego zaiste „powieściowych” przygód, zapukałem do drzwi. Zastukałem drugi raz. Przechodząca obok para dostrzegła polską rejestrację mojego auta. — Dziś święto, wszystkie biura zamknięte...

Uznałem, że to znak skierowany dokładnie pod moim adresem. W drzwi włożyłem kartkę: „Ahoj, żeglarzu!”

Szczecin oddaje hołd ofiarom brytyjskiego ataku terrorystycznego

Pakiet starych gazet przeleżał w jakimś zakamarku przez dziesięciolecie. Zgnili papier, nadpalone brzegi, posklejane kartki – bezużyteczne i cenne zarazem.

— Tego nikt nie kupi — powiedział antykwariusz. — Przy próbie rozwinięcia lichey, gazetowy papier się rozpada. Wyrzucić szkoda, sprzedać się nie uda. Może więc panu się przyda?

Patrzę na ten rulon i widzę twarz szewca, który w piwnicy przy alei Wojska Polskiego zelował trzewiki, głaskał kota i czytał książki.

— Płacę panu książkami? — zapytałem, patrząc na wypucowane trzewiki.

— Różnie bywa. Tu nie mieszkają bogacze, a każdy buty nosić musi. Na strychach, w piwnicach leży sporo książek, makulatury, dokumentów. Kilkaset lat historii. Różne rzeczy przynoszą. Ale ostatnio (rozmawialiśmy pod koniec lat 90.) już tylko takie śmieci. Ale jak pan wpadnie do mnie do domu, może coś jeszcze się znajdzie?

Mój drugi dostawca "historycznej makulatury" obsługiwał maszynę mielącą śmieci. Odwiedzałem go w niewielkim — ze względu na przeładowanie książkami — mieszkaniu w okolicach ulicy Chopina. Piwniczny i poddaszowy zaduch nieprzerwanie ulatniał się z książek, które przez dziesięciolecie chłonięły wilgoć piwnic, woń gnijących kartofli, buraków, a przede wszystkim ziemi. Nie wszystkie korytarze tamtych piwnic były wybetonowane lub wybrukowane cegłami.

— Poniemieckie śmieci... — prowokowałem.

— Dla kogo śmieci, dla tego śmieci — odpowiedział. — Pan sobie nie wyobraża, co ludzie wyrzucają. Mnie nie wolno nic stamtąd wynosić, ale serce się kroi.

— Zna pan niemiecki?

— Ani słowa. Ale te książki są takie piękne. Wielkie albumy, atlasy, roczniki zszytych czasopism. Sporo dokumentów, jakieś teczki, plany. I gazety. Oni mieli zwyczaj zbierania wszystkiego, co kupili. Chłopacy z tych domów opowiadali, że przez całe tygodnie w beczkach po czołgowej ropie palili te wszystkie papierzyska. Nie wszystko spalili.

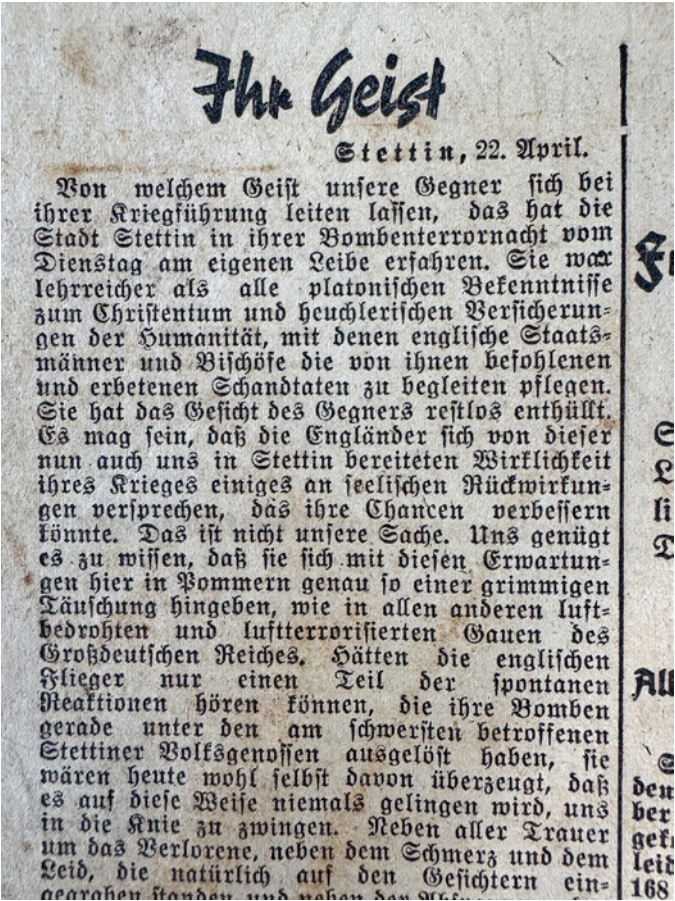
Pakiet, który wyjmuję z kartonu rzeczywiście rozpada się na bezkształtne puzzle. Pamiętam, że w jednej z gazet, którą być może ktoś kupił w czasie podróży ze Szczecina do Włoch, był obszerny artykuł o Furtwänglerze. Wszystkie czasopisma pochodzą z kwietnia 1943 roku. Jest kilka fragmentów z lutego i, zdaje się, jeden egzemplarz z maja tego samego roku. Głównie - prasa codzienna i magazyny ilustrowane, literackie, poświęcone sztuce.

Szczególnie cenne są wydania gazet codziennych. W Szczecinie nie mamy kompletów prasy z okresu przedwojennego, aż po rok 1945. A to źródła informacji bardzo ważne – spontaniczne, bezpośrednie, pełne emocji ulicy i reakcji na rozwój wojennych wydarzeń.

„Ostsee-Zeitung”, z czwartku/piątku, 22/23 kwietnia 1943 roku. „Wehrmachtbericht” — najświeższe meldunki z frontu.

Tytułowy materiał: „**Szczecin oddaje hołd ofiarom terrorystycznego, brytyjskiego nalotu na miasto.**”

Tu każdy wyraz, każde zdanie, jego rytm i miejsce w kolumnie mają znaczenie. To nie informacja — to instrument. Prasa nazistowska nie tylko opisywała rzeczywistość, lecz ją modelowała. Nie retoryką czy stylistyką, ale twardą propagandą ociosywała umysły czytelników. Każdy tekst pisany był tak, by nie pozostawić miejsca na inną interpretację.



Ich motywacje!

Jaki duch kieruje naszymi przeciwnikami w prowadzeniu wojny — tego miasto Szczecin w tę noc terroru bombowego we wtorek doświadczyło na własnej skórze.

Doświadczyliśmy czegoś bardziej wymownego niż wszystkie abstrakcyjne wyznania wiary chrześcijańskiej i obłudne obietnice humanitarności, które angielscy politycy i biskupi składają i którymi wspierają swoje okrutne działania. Ujawniły one w pełni oblicze wroga. Może się zdarzyć, że Anglicy pokładają w tej — teraz także nam w Szczecinie przygotowanej — rzeczywistości ich wojny pewne duchowe skutki, które mogłyby polepszyć ich szanse.

To nie nasza sprawa. Wystarczy nam wiedzieć, że tutaj na Pomorzu ulegają oni dokładnie takiej ponurej iluzji — jak we wszystkich innych regionach Rzeszy Wielkoniemieckiej, zagrożonych lotniczo i terroryzowanych z powietrza. Gdyby brytyjczyści lotnicy mogli usłyszeć choć część tych spontanicznych reakcji, które ich bomby wywołały wśród najbardziej dotkniętych mieszkańców Szczecina, dziś zapewne sami byłiby przekonani, że w ten sposób nigdy nie rzucą nas na kolana.

Oprócz głębokiej żaloby wobec ofiar, oprócz bólu i cierpienia, które — rzecz oczywista — wyrwały się na twarzach, i obok wyostrenia poglądów, będącego naturalną konsekwencją poprzedzającego wzburzenia w spojrzeniach mężczyzn i kobiet, pozostało już tylko jedno pragnienie — zemsta.

„Kiedy wreszcie będziemy mogli się odegrać?”

„Biada im, gdy tylko do tego dojdzie!”

„Ten obłęd musi zostać siłą złamany — innej drogi nie ma!”

— to były jedyne słowa, jakie miał do powiedzenia lud szczeciński, który tu mówił w imieniu całego narodu niemieckiego, Brytyjczykom w chwili ataku i następnego ranka, gdy stopniowo poznawaliśmy ogrom i skalę zniszczeń.

Instynktownie każdy z dotkniętych wydarzeniami czuł, że ten brytyjski duch zniszczenia nie jest związany jedynie z czasem wojny. On istniał zawsze. W czasie wojny przejawia się w terrorze powietrznym, piractwie i znęcaniu się nad jeńcami, a w czasie pokoju prowadziłyby znów do zduszenia gospodarki, zniszczenia przemysłu i ruiny chłopów.

To duch, który wiesza ludom kosz chleba coraz wyżej — zależnie

od swego kaprysu i wymuszonego posłuszeństwa — i który zaopatrzenie narodów w najważniejsze, niezbędne i życiowo konieczne dobra uczynił sprawą zysku angielskiej plutokracji finansowej.

To ten sam duch, który zmusił trzysta milionów Chińczyków do zazywania opium, aby brytyjsko-żydowski handlarz narkotyków (brak tekstu) mógł zabezpieczyć swoje interesy handlowe.

To ten sam duch, który ujarzmił narody, gdy tylko na ich ziemiach odkryto złoża ropy naftowej.

To ten sam duch, który pozwolił burskim kobietom konać z głodu w obozach koncentracyjnych, bo Anglia pragnęła, aby złoto burskiej ziemi spłynęło do londyńskich skarbców.

To jest również ten sam duch, który po 1918 roku spłądował niemiecką gospodarkę (brak tekstu) i nie interesował się tym, że jedna trzecia narodu niemieckiego popadła w nędzę i bezrobocie. To duch, który swój największy triumf świętowałby dopiero wtedy, gdyby jego terrorystyczne metody doprowadziły go do ostatecznego celu.

To, co dziś musimy znosić, wykracza poza te cele. Pewnego dnia angielski terror zostanie złamany przez kontr terror. Naszym jednak wojennym celem musi być trwale unieszkodliwienie angielskiego ducha, który tym samym terrorem spłądował Imperium Brytyjskie. Bowiem



tylko wtedy, gdy on umrze, narody będą mogły urządzić swoje życie w spokoju i pokoju, w lepszym porządku sprawiedliwości i wzajemnego szacunku.

Szczecin, 22 kwietnia. Atak terrorystyczny w regionie aglomeracji szczecińskiej, jak już informowano, spowodował wiele ofiar śmiertelnych i bezdomnych. Niestety, liczba ta stale rośnie od środy po południu. Do tej pory policzono 114 osób, 168 zostało ciężko rannych, a 270 lekko. Należy spodziewać się wzrostu tej liczby. Jednak wróg drogo zapłacił za swój atak terrorystyczny. Spośród 31 zestrzelonych bombowców (**dane nieprawdziwe - podkr. M.K.*), kilka rozbiło się w bezpośrednim sąsiedztwie Szczecina. (...) Raporty ujawniły, że podjęto wszelkie niezbędne środki w celu zaopatrzenia ludności Szczecina w żywność, gaz i wodę. Omówiono również kwestię zakwaterowania dla bezdomnych oraz ewakuacji bezdomnych kobiet i dzieci. (...) Podczas spotkania Gauleiter Schwede-Coburg zauważył, że postawa ludności była wzorowa.

„Zaufanie nie jest walutą bez pokrycia”

Wywiad nieautoryzowany, przeprowadzony kiedyś, np. w październiku 2025 roku.

- jakakolwiek zbieżność faktów i osób z rzeczywistymi sytuacjami, aczkolwiek wykluczona jest całkowicie prawdopodobna

Rozmowa z prezydentem miasta po głośnym konflikcie wokół zwolnienia dyrektora jednego z wydziałów w Urzędzie Miasta.



Wprowadzenie redakcyjne

To jedna z tych historii, w których polityka, emocje i zarządzanie kulturą splatają się w węzeł nie do rozplątania. Prezydent miasta, znany z - jego zdaniem - twardych decyzji, po kilkunastu latach ponownie zatrudnił osobę, którą niegdyś zwolnił za „zawiedzione zaufanie”. Presja polityczna, rozłam w (jak się okazuje - fasadowej) Prezydenckiej Radzie Kultury, naciski środowisk twórczych i jedna tylko redakcja – zderzyły się w dyskusji, w sumie nadzwyczaj rachitycznej, bo pozbawionej dostępu do w pełni autoryzowanych racji (strony konfliktu milczą, nie podejmują merytorycznej dyskusji, lekceważąc w ten sposób opinię publiczną). To wyraz karzącej demokracji: prezydent miasta nie kładzie wszystkich argumentów na stół, oskarżony grozi sądem, a w sumie „twórcy” konfliktu świetnie się bawią, błyszczą swoją niefrasobliwością. Wszystko to sprawiło, że konflikt wymknął się poza ramy racjonalnego jego oglądu. Oskarżenia o zemstę, brak stanowczości, moralne wątpliwości i podejrzenia o podwójne standardy rozgrzały margines opinii publicznej, od dawna rozleniwionej brakiem udziału w aktywnym życiu społecznym i politycznym. **Mówiąc wprost - nikogo w mieście - poza bezpośrednio zainteresowanymi - ta sprawa nie interesuje.**

Zwolniony pracownik, na zaproszenie redakcji - nie odpowiada. Rzecznik prezydenta, poproszony o pomoc w nawiązaniu kontaktu

z urzędnikiem napisał: *Pan Cezary Cichy od jakiegoś czasu jest nieobecny w pracy, w związku z czym, nie ma możliwości przekazania mu poniższej prośby.*

Porozmawiajmy więc - hipotetycznie - z panem prezydentem.

Wywiad

Dziennikarz: Zwolnił pan człowieka, który przed laty już raz „zawiódł pana zaufanie”. Po kilkunastu latach - wykrzykując: nie chcę go tu widzieć, zabieracie mi go stąd - zatrudnił go pan ponownie, na dyrektorskie stanowisko, a po kilku miesiącach odwołał, degradując w hierarchii urzędniczej. Powód ten sam. To jakby... osobista zemsta?

Prezydent: Zemsta? Nie. Odpowiedzialność. Zaufanie można odbudować, ale nie można go udawać. A co pan zrobiłby na moim miejscu – trzymał człowieka, który po raz drugi zawodzi?

D: Ale to pan go ponownie zatrudnił. Nikt pana, chyba - nie zmusił?

P: Nie żyjemy w świecie idealnym. Były naciski polityczne, argumenty o kompetencjach, o stabilizacji. Dałem się przekonać – i to był mój błąd.

D: Zwolnił pan dyrektora, ale zostawił go w strukturze urzędu. Nie jest to dowód braku stanowczości?

P: Nie. To dowód rozsądku. W tym urzędzie nie mogłem mieć go na kierowniczym stanowisku, ale nie chciałem zniszczyć mu życia

zawodowego. Zwolnić – najłatwiej. Dać szansę – trudniej. A co pan zrobiłby na moim miejscu?

D: Wielu obserwatorów sytuacji twierdzi, że zatrzymując go na niższym etacie, chciał go pan upokorzyć. Że to kara podwójna.

P: To ciekawa teoria. Ale prawda jest prosta: dostał pracę, której sam by nie znalazł w tym mieście. Jeśli ktoś odczytuje to jako upokorzenie, to niech zada sobie pytanie, dlaczego widzi w pracy karę.

D: Wróćmy do sformułowania: „zawiódł moje zaufanie”. Nie sądzi pan, że to brzmi jak publiczny wyrok? Stygmat?

P: Być może. Ale czy mam udawać, że zaufanie to techniczny parametr? Władza publiczna opiera się na relacjach. Jeśli ktoś rzeczywiście zawiódł – nie powiem, że „rozminęliśmy się w wizji”. Mówię prosto. A co pan zrobiłby na moim miejscu?

D: Powołał pan radę doradczą, która w sprawie dyrektora poparła pana decyzję, a potem jej przewodnicząca i jeden z członków zrezygnowali z pracy w radzie. Bez podania powodów. Co się stało?

P: Rada to nie kółko adoracji. Ludzie różnie reagują na presję środowiska. Najpierw widzą fakty, potem słyszą emocje. Dla niektórych łatwiej odejść, niż stanąć po stronie niewygodnej prawdy.

D: Niektórzy mówią, że dyrektor miał swoje zaplecze – ludzi, których faworyzował, a jednocześnie „zbierał haki” na innych. To fakt?

P: Nie komentuję plotek, ale wiem, że pamięć bywa formą władzy. Jeśli ktoś przez lata magazynuje cudze błędy, to wcześniej czy później sam się w nich zaplącze.

D: Mówi się, że w tej historii chodziło o coś innego – o politykę. Że zwolnienie dyrektora to była reakcja na narzuconego panu zastępcę, człowieka ze „specyficzną” wizją kultury i takimi kompetencjami.

P: Nie komentuję personaliów, ale polityka często narzuca ludzi, których nie wybrałby nikt kto kieruje się wiedzą, a nie lojalnością. Czy to znaczy, że mam przestać reagować, gdy ktoś popełnia błędy, bo „źle to wygląda”? A co pan zrobiłby na moim miejscu?

D: Ten sam pański zastępca publicznie, na antenie radia, skrytykował innego, merytorycznie podległego sobie pracownika innej agencji – za „alkohol firmowy”, tradycję, która w Europie jest czymś naturalnym. Pański zastępca dał słuchaczom wyraźnie do zrozumienia, że tam się piło alkohol. Za publiczne pieniądze. Tak sugerował swoim zachowaniem, choć wprost zarzutu takiego nie sformułował. Ten aspekt wysuwano na plan pierwszy w ocenie moralnej tego drugiego pracownika, a nie – przynajmniej – trudne do wytłumaczenia posunięcia związane z „przechowaniem” środków budżetowych na kolejny rok działalności. Formalnie, niewykorzystane środki (Covid wyhamował dynamikę życia tamtej instytucji) powinny wrócić – bezpowrotnie – do kasy miasta. Ale ostatecznie nie zginęła ani jedna złotówka. A pan po trzech nieudanych konkursach powołał na stanowisko szefa tej instytucji członka swojej rady doradczej, który oceniał kandydatów ubiegających się o możliwość kierowania odrestaurowaną willą. To bardzo nie w porządku posunięcie. Moralnie – wątpliwe. Zainteresowany taką funkcją członek komisji konkursowej mógł mieć wpływ na nierozstrzygnięcie procedury konkursowej. Potem powołał pan tę osobę sobie „zaufaną” na stanowisko szefa tej instytucji. Gdzie tu logika?

P: Logika jest w odpowiedzialności. Konkursy nie przyniosły efektu, a instytucja nie mogła trwać w zawieszeniu. Powołałem osobę, która zna środowisko, proces, i nie ucieka od trudnych decyzji. W idealnym świecie miałbym pięciu kandydatów bez cienia wątpliwości, ale my żyjemy w realnym świecie. A co pan zrobiłby na moim miejscu?

D: Nie ma pan poczucia, że traci pan autorytet? Zarzuca się panu chaos decyzyjny, a rada doradcza się sypie.

P: Autorytet to nie funkcja aplauzu. To umiejętność podejmowania decyzji wtedy, gdy każdy dookoła radzi coś innego. Władza to nie konkurs popularności. A co pan zrobiłby na moim miejscu?

D: A dziś? Po tym wszystkim? nie wykluczam sytuacji, w której się okaże, że merytorycznie żaden z was nie ma stuprocentowej racji – przywróciłby go pan do pracy na stanowisko dyrektora?

P: Nie. Nie dlatego, że go nie lubię. Dlatego, że drugi raz człowiek nie wchodzi do tej samej wody. Zaufanie to nie waluta bez pokrycia.

D: Czyli koniec sprawy?

P: Dla mnie – tak. Dla innych – to dopiero początek interpretacji.

Od redakcji:

„A co pan zrobiłby na moim miejscu?” Nasz rozmówca kilka razy tak właśnie unika jasnej, klarownej odpowiedzi. Zdradza tym samym, że ma wątpliwości co do oceny własnego postępowania lub



wie, że kontynuowanie wątku doprowadzić mogłoby do przyznania się do błędu.

Powyższa sytuacja (wyjątek, czy jedna z wielu?) dowodzi, iż nasz rozmówca działa intuicyjnie, a nie racjonalnie. Nie potrafi dobrać sobie właściwego zastępcy do nadzoru nad sferą kultury w mieście. Prezydent i jego zastępca - po prostu - nie mają wizji i wyobrażenia - mówiąc wprost - zielonego pojęcia, jaki kształt winno mieć życie kulturalne i intelektualne miasta. Sytuację pogarsza fakt, że instytucje kultury podzielone są między dwa ośrodki nadzorujące i finansujące sferę kultury. I tu mamy kumulację niekompetencji dwóch nad ambitnych, przekonanych o swojej ominiętości działaczy, a nie specjalistów.

Obawiać się zatem można, że zaistniała sytuacja nie jest wynikiem splotu przypadkowych wydarzeń, a konsekwencją nietrafionego od początku założenia prezydenta (której to już kadencji), że mocno, kompetentnie trzyma rękę na kole sterowym miasta. Ale ono jest jak wrak - niezdolny, by sprawnie nim zarządzać. A już na pewno - z obu sternikami - prezydentem i marszałkiem - na kapitańskim mostku.



- Zgadzam się w pełni z pana opinią – Marek Miczulski na sekundę zawiesił głos. – Mogę podać równie wiele przykładów niekompetentnych urzędników i zawistnych nauczycieli, którzy potrafią młodym, zdolnym ludziom skutecznie utrudnić drogę na szczyty światowej kariery. To zjawisko jest znane w całym świecie.

– Niekompetencja – próbowałem podsumować naszą rozmowę – wynika z braku przede wszystkim POTRZEBY kontaktu ze sztuką, co jest równie ważne jak karmienie ciała; z braku umiłowania sztuki, uwrażliwiania i uświadamiania, że obcowanie z pięknem gwarantuje, po prostu, ciekawe życie! Urzędnik pozbawiony tej wrażliwości nigdy nie będzie odpowiedzialnym administratorem instytucji kultury. Powiem więcej – jego urzędnicza niekompetencja w obsadzaniu kierowniczych stanowisk w teatrach, salach koncertowych czy muzeach wpłynie na niski poziom edukacji kolejnych pokoleń. **To kulturowy sabotaż!**

Z panem Markiem Miczulskim, partnerem życiowym i menedżerem słynnej polskiej śpiewaczki operowej, Teresy Żylis-Gary rozmawialiśmy chwilę niekrótką, niedługą. Narzekaliśmy? Nie. Potwierdzaliśmy stan faktyczny. W ciągu minionego półwiecza my wszyscy doświadczyliśmy skutków wielu idei. A każda od poprzedniej różniła się wzrastającym poziomem miałości, coraz bardziej trywialnymi wymaganiami, zanikiem smaku i wyrafinowania w doborze środków i ludzi gwarantujących realizację celów.

Jako społeczeństwo ulegamy nieustannemu kulturowemu wyjałowieniu. A to dlatego, że odpowiedzialni liderzy, mają z nas wszystkich, najmniej kwalifikacji, by ciągnąć najcięższy z taborów – KULTURĘ. Ona określa poziom cywilizacyjnego rozwoju społeczeństwa.



Znak czasu... Z lewej: Teresa Żylis-Gara - jedna z najsłynniejszych śpiewaczek drugiej połowy XX wieku a po prawej - laureatka nagrody Jej imienia - Wiktoria Nowak, w czasie drugiej edycji festiwalu VOICEandVILLAS, organizowanego w Szczecinie przez Katarzynę Dondalską, której głos uznano za 'ósmą cud świata'. Oba artystkom na zdjęciach towarzyszy Marek Miczulski.

Tyłem do przodu

czyli ... gdyby ze słów można było zbudować choćby NIC...

Największym i najbardziej wpływowym orędownikiem wychowania poprzez sztukę, był Herbert Read (1893–1968), brytyjski krytyk sztuki, poeta i pedagog. Jego książka z 1943 roku *Education through Art* stanowiła kluczowy manifest ideowy, a po 1954 roku współtworzył (jako pierwszy prezes) Międzynarodowe Stowarzyszenie Edukacji przez Sztukę (INSEA), powiązane z UNESCO.

Read głosił pogląd, że każdy człowiek jest twórczy, i że sztuka powinna być integralnym elementem edukacji dla harmonijnego rozwoju osobowości. W Polsce, Bogdan Suchodolski (1903–1992) – filozof i pedagog – udoskonił koncepcję Reada, zalecając kształtowanie osobowości poprzez bezpośrednie doświadczanie sztuki. Dlaczego myśl ta została zapomniana? Pytanie do Trybunału Cywilizacji.

Miałem ambicję, aby przygotować raport opisyjący osiemdziesięciolecie życia kulturalnego w Szczecinie. Tytuł: **Jak głupiejemy.**

Pytam: którzy naukowcy i artyści tu "wykształceni", zrobili karierę, zaistnieli w świecie? Czy Szczecin jest miastem płodnym? Czy rodzi indywidualności, które pochwywszy wiatr w żagle - poszybowały w świat? Ilu mamy kreatorów ambicji, zarządców stadniny Pegazów?

Analizę rozpocząłem od przejrzania półek szczecińskich bibliotek. Nie ma na nich książek tutejszych pisarzy. Nie literatów, a pisarzy. A jeśli gdzieś, jakaś się jeszcze trafi - ma status jakby jakiegoś "NN". Nikt Szczecińskiej Literatury nie promuje, do niej nie wraca, nie przypomina roli, jaką odegrała w kształtowaniu zachodniopomorskiej rzeczywistości. **Jakby jej nie było.**

Tak, mówię o literaturze, która wzrastała i wrastała w to miasto. Od 1945 roku do... No właśnie, do 1989. Wtedy rozpoczął się jej nieodwracalny, cywilizacyjny i kulturowy zgon.

Miejsce literatury z wolna zaczęły zajmować paradnie drukowane teksty opowiadaczy. Kryminał, fantasy, historie z poziomu soap opery... Wiele się w tych historiach dzieje. Ale o co w nich idzie? Nikt nie wie.

Taka literatura powstaje wszędzie... czyli nigdzie. Nie jest powiązana ze światem realnym, a tylko scenograficznym, wymyślonym, opisywanym nawet z dużą wiernością wobec materialnych pamiątek przeszłości. Nie są to stany wyrwane bez znieczulenia z miejsca, które w teorii literatury zwykło się określać jako: "tu i teraz", nie odwołuje się do czasu i sytuacji, które wnikliwie i głęboko, speleologicznie potrafi zbadać tylko literatura. Pióro jest zdolne przeprowadzić studium duszy człowieka w jej miejscu naturalnym, pośród jej współczesnych, w obliczu ściany, jaką nieustannie buduje przed nimi współczesny świat.

Opowiadanie o świecie jest omiataniem tylko jego zewnętrznosci. To takie historie o żywych... manekinach.

Efektowne, skrzące się zwrotem akcji kryminały są tylko mniej lub bardziej gustownie inkrustowaną cepelią literacką. Przeładowaną dialogami (paplaniną), wolną od refleksji.

Kinematografia? Tak, pod warunkiem, że opowiada o przestępcach i kryminalistach. Dramaturgia? Nigdy nie zaistniała. Słyszę, że znów ktoś myśli o serialu na temat... ludożercy z Niebuszewa. Tragedia, dramat, światek przestępczy, to główna sfera "twórczej" inwigilacji. Dla wielu współczesnych "autorów" życie ma tylko podłą twarz.

Kiedy w porannej mgle rozpląnął się ostatni miejski poeta? O! Nikt tego faktu nawet nie zauważył.

Czym zajmują się więc miejskie i samorządowe wydziały kultury? Tym, żeby się nie wychylać, nie wychodzić przed „starszego”. Nikt nie stawia im "ambitnych" zadań, nie kreśli celów, wizji kulturowego oblicza Szczecina. Miasto bez twarzy? Liderzy kierujący tymi urzędnikami, w mieście i regionie, nie są dla nikogo autorytetami, a przy najmniej ludźmi na tyle **pokornymi**, by otaczać się fachowcami od uprawiania "kultury".

Krytyka może być nieprzyjemna, ale jest konieczna – pełni tę samą funkcję co ból w ludzkim ciele: wskazuje na stan chorobowy.”

— **Winston Churchill**



Niekompetencja specjalistyczna.

Na szczęście demokracja nie ma nic wspólnego z zamordyzmem. Jest taka ludzka, przyjazna i troskliwa. Jak nasi liderzy, a nawet ich zwierzchnicy.

I niech nikogo nie zwiedzie przykład stygmatyzowania podległego sobie pracownika, poprzez niczym nie podparte ochłapanie go: (tyle wiemy, ile nam powiedziano; być może drastyczne lub komiczne przesłanki, uzasadniające tę decyzję są skrywane) że **jest on człowiekiem niegodnym zaufania**. I zamiast wyrzucić go na zbłątą twarz, przesuwając się przetrąconego słowem podwładnego na inne, byle jakie stanowisko. Humanitarnie? Oto najlepsza ilustracja anatomii rządzenia. Czy tylko sferą kultury w mieście? Oto temat dla dobrego pióra: jesteś niegodny zaufania, więc ruguję cię, jak kłopot jakiś. Ale trzymam dostatecznie blisko, byś czuł swój podły los, a ja moją moc. Klasyczny przykład do dyskusji w filharmonii, podczas zorganizowanej tam ogólnopolskiej



konferencji "Kultura pod presją" w maju 2025, na temat przemocy w świecie sztuki. Wróć do tego wydarzenia - niebawem.

Wstyd.
Podwójny wstyd!
Po znajomości, panie prezydencie -
potrójny wstyd!

Może ów pracownik jest winny - ale to trzeba udowodnić. A skoro oznajmia pan światu, że to przemieszcza, to trzeba NAS o tym przekonać. Bez pozostawiania cienia wątpliwości w stosunku do pana argumentów. A zwolniony? Uciekł przed pytaniami naszej redakcji. Na maila nie odpowiada.

Mówi mi we śnie Magistrackie Echo:

- *Daj spokój, to ulubieniec zwierzchnika. Ten, gdy nastał, był jak dziecko we mgle. Więc dyrektor, niczym magik z rękawa, wszystko szefowi podrzucał i serwował. A to pismo napisał, a to wniosek sformułował. O rocznicy przypominał, na jubileusz zwrócił uwagę. Szef dostrzegł onnipotencję podwładnego i już - z urzędu - petentów bezpośrednio do niego kierował. Niebawem wokół dyrektora utworzyła się grupa, dokładnie przeciwna tej, która się wokół urzędnika nie afiliowała. Niby - niezależni. Tam gdzie w grę wchodzi finanse, tam prawo powszechnego ciężenia Newtona działa inaczej. A szef dyrektora był w siódmym niebie...*

- *Cesio to panu powie, załatwi. A co na ten temat sądzi Cesio? Z Cesiem pani rozmawiała? Cesio pani poradzi, państwu podszepnie, każdego uprzedzi, swoich ochroni...*

Po nierozstrzygniętym konkursie na szefa Willi Lentza, Cesio biegał po mieście, szukał chętnych na etaty magistrackie.

- *Ty, chodź, weź, fajnie będziesz miała cieplutko jak w uchu, willa odnowiona, robota niekurząca... Ja pomogę, Cesio kolekcjonował też wpadki, potknięcia, rysy i niezręczności różnych osób. Takie "nieformalne" argumenty często potrafią czynić cuda. Postawią "figuranta" do pionu, zegną go, przesuną na boczny tor. Słowem - kolekcjonował "materiał delikatny". Niewiele waży, a przydać się może...*

- *A, ty się zachowałeś wtedy tak a tak - już zapomniałeś? Ale to nie Cesio tak rozmyślał, to to wredne lichy tak kusilo.*

- *Panie prezydencie, a może byśmy tak, albo tak, bo gdyby tak, to wtedy tak, ja to wiem, bo wtedy nie było tak jak kiedyś, więc lepiej teraz zrobimy inaczej, żeby nie powtarzać, tego co było a jedynie wyprzedzać...*

Echo mi mówi, jak czujność szefa gasła. Ale też i w ogóle to ona taka rachityczna raczej, niewykształcona była.

Ledwo się z tego snu wybudziłem.

W śpiku jeszcze widzę, jak Cesio swojego szefa w jedwabny kokonik pakuje, na paluszkę zawiesza, szefem jako jojem się zabawia. A szef rozbawiony, dopieszczony, ma takiego wirtuozę biurowej pragmatyki. Ach, być wiceprezydentem - jaka to miła fucha, gdy cichy pracownik robotę za mnie odwała. I wtedy przypomniałem sobie mój egzamin u pani profesor Seykowej, z ekonomiki przedsiębiorstw.

- *Co robi dobry dyrektor?*

- *Nic - odpowiedziałem bez zawahania. - Tak podwładnym organizuje pracę, żeby sam nic robić nie musiał.*

- *Dobrze. Piątka!*

(Ach, nie ma co dopowiadać... No, dobra. A ty chciałbyś być dyrektorem? - zapytała pani profesor: a ty chciałbyś być dyrektorem? Równie stanowczo odpowiedziałem: wyłącznie!).

Kwitnąca pustynia

W Szczecinie nie ma zwartego środowiska twórców. Nie ma żadnego ŚRODOWISKA. Są pojedynczy, samozwańczy "artyści". Upadły, rozplynęły się stowarzyszenia, związki, organizacje. Jeśli jeszcze figurują w rejestrach, to w praktyce jest to stan hibernacji. Związek Literatów Polskich, Stowarzyszenie Marynistów Polskich, muzycy, architekci, fotograficy, urbaniści...

Albo aktorzy. "Opieka i wsparcie emerytów, ze skromnych środków - ewentualne - dofinansowanie ambitnego monodramu". To wszystko, co Państwo mogą. I chcą?

W ubiegłym roku poprosiłem kierownictwo związku o spotkanie. Miło, serdecznie, wszak znamy się od lat. I smutno. Bo strach, bo brak, bo nie ma, bo gdzie, a z czym, a teatry nie współpracują - dyrektorzy warczą na siebie gorzej niż bulteriery. A tam na etatach jest dziecięciu, których nikt nigdy w pracy nie widział, a tu - jakieś rezydencje, mecje, artystyczne asystencje. A wszędzie - kasa, kasa... Gdy tamci mają premierę, to my musimy grać na naszej scenie.

- A mnie się udało! Gram u tamtych, mam zgodę od swoich.

- Finanse? Jako związek - nie mamy osobowości prawnej. Więc można nas, co najwyżej, na herbatkę zaprosić.

Zbieram się do napisania relacji z tego spotkania i zebrać się nie mogę, bo materia bardziej niż płynna i ulotna. Jak i za co ją złapać?

W tym czasie dochodzi do tak żenujących i skandalicznych sytuacji, że nawet mnie nie starcza złości, by je opisać.

Młody, o mój Boże, reżyser, ściąga spodnie staremu aktorowi, a aktorce, która była ikoną zespołu, każe w te spodnie całą jej zawodową reputację wpakować. Ta - jak słyszę - już przy okazji "Snu nocy letniej" ofiarowała swoją "nagość", z poświęcenia dla sztuki. Diagnozuję: jeżeli to nie jest **przemoc wobec widza**, to jest to głupota teatru.

To tak dziś trzeba przyciągnąć widownię, dla której teatr zamienia się w geriatryczny peep-show? Jedyną pozytywną stroną tego ekscesu jest przeprowadzenie dowodu, że aktor zagra wszystko - w tym przypadku - "problem" reżysera. Objawił się tu jakiś straszliwy i bolesny deficyt człowieka, który godność podległych mu służbowo pracowników wykorzystuje do pseudoartystycznych pomysłów.

Obciach prowincjonalny.

Mówi się, że niektórzy księża, to pedofile, że przemoc seksualna staje się normą. A tu, w świetle reflektorów - dla zaspokojenia rozbuchanej wyobraźni reżysera, siedzące przede mną trzy licealistki prychają śmiechem widząc, co dziadek, nieudolnie (reżyseria?) próbuje ukryć w rozdygotanych dłoniach. Oto jak mały reżyser wyobraża sobie wielkie tajemnice życia erotycznego ludzi starych.

Czytam właśnie zaległą prasę. Oto "Przekrój" z 6 maja 2001 roku. Bożena Keff, w felietonie "Ratunku!" pyta: "dlaczego w Polsce prawo reaguje tylko na obrazę uczuć religijnych? A inne ludzkie uczucia, inne wrażliwości można bezkarnie deptać?"

Jestem ofiarą/sprawcą obrazu owych uczuć religijnych. Zarzut postawił ktoś, kto nawet nie wie, co słowo religijność oznacza. Lecz wobec braku dowodów materialnych - sięgnął po zapalkę wartości religijnych i podpalił stos dla czarownicy. Przemalowany pezetperowiec, tapetowany opozycjonista. Dlatego za panią Keff powtórzę: **dlaczego w Polsce prawo nie reaguje na obrazę inteligencji?**

W obszernym tekście, prof. Krystyna Duniec, teatrolożka, w rozmowie z Arkadiuszem Gruszczyńskim w 2015 roku w Wyborczej mówi: "Interesujący jest sprzeciw młodych ludzi wobec gwałcenia ich intymności przez nagość i brud, dosłowny, w teatrze".

Teatr Współczesny w Szczecinie ma tak niewiele argumentów merytorycznych, artystycznych za swoim istnieniem,

że sięga po środki, które tylko dyrektorów tego teatru "kręcą"... Bo człowiek wrażliwy, dorosły, przede wszystkim emocjonalnie, zanim odważy się użyć aktora w sposób instrumentalny - walnie się teatralną maczugą w łeb.

Szczecińskie teatry i ich ekspresja, środki wyrazu, sposoby klajstrowania braku sztuki - zachowaniami sztukopodobnymi - to temat dla TVSiódemki.

„Problem większości z nas polega na tym, że wolelibyśmy być zniszczeni przez pochwały niż uratowani przez krytykę.”

— Norman Vincent Peale - protestancki kaznodzieja i pastor, autor oraz głosiciel teorii pozytywnego myślenia

Gdzie jest Klub XIII Muz? Ale ten prawdziwy!

W listopadzie 2016 roku Wyborcza informowała:

"Słowikowi (członek szczecińskiego oddziału Nowoczesnej podkr. M.K.) nie podobają się też powiązania Waldemara Kulpy z prezydentem Piotrem Krzystkiem. Kulpa (obecny dyrektor placówki - Waldemar Kupla - podkr. M.K.) w wyborach w 2014 r. był kandydatem prezydenckiego komitetu do sejmiku województwa, jest prezesem pro prezydenckiego stowarzyszenia Szczecin dla pokoleń, a teraz został dyrektorem miejskiego domu kultury.

- *Te powiązania mogą wydawać się nieetyczne. Myślę, że byłoby dobrze i sprawiedliwie gdyby ten konkurs został przeprowadzony powtórnie i był bardziej jawny - mówi Słowik.*

Wbijanie gwoźdza pięścią.

Można. Z perspektywy czasu łatwiej zrozumieć, dlaczego został zlikwidowany front związków twórczych! Korporacja Twórców, Artystów i Dziennikarzy 13 MUZ - zwiędła już kilka lat wcześniej. Klub XIII Muz



stał się jakby pustostanem po muzach. Prezydent, miast wzmacniać i wspierać środowisko - rzucił garstkę piasku w mogilę i przeszedł na ręczne sterowanie kulturą. Pastuszek, kijaszek, kierdel owiecek i... „No, idźcie baco na paświsko i cuwaj tam swoje owiecki, kieby sie nie rozleźli!”.

I ten stan trwa do dziś.

Bo w mieście porządek musi być. Nie będą artyści mówili, co pan prezydent jest im winny. Mamy teraz dom kultury, mamy w jego nazwie XIII Muz. Świetny kamuflaż. A w istocie mamy miejsce, które filozofią nawiązuje do tzw. sklepów wielobranżowych.

- Sukienkę ślubną i snopowiązałkę, poproszę...
- Zapakować?
- E, co tam, w sukienkę się przebiorę, a snopowiązałką sam odjadę.

Po wojnie powstał Klub Literacko-Artystyczny, później Dom Kultury Środowisk Twórczych Klub „13 Muz”. W maju 1948 r. klub otrzymał siedzibę w Pałacu pod Głowami, w sąsiedztwie szczecińskiego oddziału Muzeum Narodowego. Działalność w nowym miejscu rozpoczęła pod nazwą Dom Kultury „Klub 13 Muz” Związków i Stowarzyszeń Twórczych. Dziś: Dom Kultury 13 Muz. Pełna degradacja! Niewykłuczone, że usunięte zotsaną dwa pierwsze człony nazwy tego miejsca.

Od bodaj 1991 roku klub pozostawał w zarządzie Korporacji Twórców, Artystów i Dziennikarzy, której to organizacji miałem honor przeprowadzić. Zwierając potencjał propagandowo-twórczy, w oparciu o kierowany przeze mnie Kanał 7 Telewizji Szczecin - doprowadziłem do pobudzenia współpracy środowisk twórczych, "na bazie" programów telewizyjnych. Każde środowisko miało dowolną ilość czasu antenowego na prezentację swoich klęsk i sukcesów.

Ale jakich ja wtedy miałem współpracowników - ba! - moich mistrzów. Wśród partnerów w Korporacji pierwszym był Tadeusz Klimowski, któremu sam Konstanty Ildefons Gałczyński "do nóg się z postumentu zwalił", czyniąc ucznia swojego Ojca (tak tak!) niezdolnym do pracy zawodowej przez dni tyle, ile nogę w gipsie trzymać należało.

Z opieki Korporacji i Kanału 7 skorzystała większość środowisk. Najdłużej wytrwali aktorzy. Wśród nich: Arnold Pujśza i Michał Janicki. Z chwilą komercjalizacji dzieł i prac twórczych, gdy w klimacie dyskusji a potem uchwalenia prawa autorskiego płacić należało wszystkim, i to dużo, idea programu "Pracownia pod Siódmką" upadła. Nikt nie zarobił, wszyscy stracili. PT Publiczność musiała się zadowolić wenezuelskimi tasiecmami. "Różowa dama" była wtedy prześcignęła popularnością brazylijską "Isaurę". A tę "La dama de rosę" nadawaliśmy my, Kanał 7. Tym serialem spacyfikowaliśmy pirackie kablówki w



całej Polsce. I chwała nam za to!

Nie udało się twórców ponownie zmobilizować. Nieliczni - zarobili, inni do dziś są niedoścignieni w narzekaniu. Ciągłe błyszczą w tej ich najlepszej, jedynej roli życia. Wszyscy - straciliśmy bezpośredni kontakt ze sobą. Doskonale pamiętam dyskusję przed kamerami. Zapytałem artystów, intelektualistów - a co z widzami? Moi goście milczeli. A co wy - bez widzów poczniecie? Cisza dotknęła kości.

To dość duże uogólnienie ówczesnej sytuacji, ale pokazuje jeden z ważniejszych trendów, jaki objawił się wtedy w sferze twórczości i jej percepcji. Za pieniądze - tak, za małe - nie. Bez - wykluczone.

Ze zdaniem Korporacji liczyły się władze miejskie i wojewódzkie. Członkowie stowarzyszeń i związków odzyskali wtedy środowiskową



tożsamość. Niestety, na krótko.

Wiosną 2025 roku przypomniałem prezydentowi Piotrowi Krzystkowi ideę Korporacji. M.in. w kontekście Willi Lentza - środowiska twórcze potrzebują nowej idei, solidarności, a pan - partnerów, a nie wybranych wg pańskiego (jakiego?) klucza - doradców. Korporację pan zlekceważył, a pana operetkowi doradcy - zrejterowali, miast właśnie walczyć! To oni powinni pana zwolnić, a nie z fochem - odchodzić. Słuchy mówią tu o zawiedzionych nadziejach i nieuzyskanych synekurach. Ale czego to złośliwi ludzie nie gadają. Plotek powtarzać nie będę.

No i ten pański zastępca... Prosiłem o spotkanie, o recenzję TVSiódemki. Wiem jedno, dobrze kiwa głową. Teraz - tylko patrzeć, jak poprosi starszych kolegów z partyjnego podwórka, żeby panu "kocowę" urządzili, pokazali, jak się szanuje koalicyjanta. Proszę? A kto tu pyta o kompetencje tegoż? Liczy się partyjna przynależność.

Po czwarte więc, panie prezydencie - wystyd, że nie odpowiedział Pan na dwa sygnały, by wiosną tego roku raz jeszcze pobudzić środowiska twórcze, objąć je pańską troską.

Powie ktoś: *signum temporum* - ludzie nie chcą już tych przestarzałych, skostniałych, nieruchawych, oderwanych od życia struktur organizacyjnych. Bzdura! Wartość formy zależy od autentycznej, głębokiej treści. Forma - czy istnieje bez treści? Tak. Ale jest wtedy tylko forma.

W ujęciu Arystotelesa - forma i materia (treść) są współzależne: „Forma nie może istnieć bez materii, a materia bez formy nie posiadałaby kształtu, koloru, ruchu i innych cech”.

Nie miejsce tu, i nie ten czas, by wracać do odwiecznej relacji: treść i forma. Zapytam tylko: po co mi umiejętność pisanie, gdy nie mam nic do powiedzenia?

„Jeśli nie jesteś krytykowany, być może niczego znaczącego nie robisz.”

— Donald H. Rumsfeld - sekretarz obrony USA w gabinecie prezydenta George’a W. Busha w latach 2001–2006

Spauperyzowanie życia, zgłajchszaltowanie marzeń i oczekiwań - zabiło ambicje. Zbrodnią do dziś nie tyle nie osądzoną, co nie naprawioną, jest brak **programu elementarnego wychowania w sztuce**, na poziomie przedszkolnym, szkolnym, licealnym. Zostaliśmy, jak leśzcze, rzuceni na brzeg.

- Tu wam będzie lepiej; sucho i żaden wędkarz na was nie czyha.

Siła obronna państwa wykuwana jest na poligonach i w koszarach. Nikt w domu nie ćwiczy tyraliery i nie atakuje sypialni przez desant od strony kuchni. Tak samo śpiewak czy waltornista nie doznają pewności, że ich sztuka jest w stanie kogokolwiek wzruszyć i pobudzić, gdy grają i śpiewają, po północy, w łazience kawalerki na piętnastym piętrze wieżowca. Sztuka to twórca, a przede wszystkim - odbiorca.

Lew Tolstoj w traktacie "Co to jest sztuka" dowodzi, że odbiorca (publiczność, czytelnik, słuchacz) nie jest biernym obiektem, ale koniecznym ogniwem procesu: sztuka działa tylko wtedy, gdy odbiorca rzeczywiście „przyjmuje”, doświadcza uczucia, którym został poddany.

W Szczecinie, jedynym jego morskim akcentem jest fakt, że władze tutejsze - jak ryba - psują się od głowy. Mówię o dwóch rekinach - prezydencie i marszałku. Obaj mogliby z powodzeniem wystąpić w kolejnej wersji horroru "Szczęki". Kto wymyślił, aby w jednej społeczności były dwa wigwamy wodzowskie, rywalizujące i polaryzujące

środowisko, które jak żebrak z garnuszkiem, nie wie - biec do tego czy tamtego wielmoży?

Utratę szczecińskiej bohemy uznają za największe przewinienie wobec publicznych środków przeznaczonych na zaspokajanie i wzmacnianie podstawowych funkcji edukacyjnych i wychowawczych w sztuce.

Szanowni Szafarze Majątku Publicznego - zubożyliście społeczeństwo, własne dzieci i wnuki, zamykając im dostęp do świata sztuki. Nie prowadzicie ich do muzeów, na koncerty muzyki wartościowej, nie podsuwacie tomików poezji. Z lenistwa własnego czy ułomności, która jest efektem zaniedbania waszego rozwoju? Trzeba niezwłocznie przerwać ten proces. Potrzebne jest wielkie, pospolite ruszenie. Ratujmy sztukę! Jeden z filarów naszego poziomu cywilizacyjnego.

Pytam opiekunki i rodziców dzieci, które przyszły do "Pleciugi".

- Nie, nie mamy czasu na omawianie spektaklu. Przychodzimy, bo dyrekcja informuje, że w tym a tym dniu mamy wykupione bilety.

- Cóрка w domu "odgrywa" sytuację, jakie zapamiętała z przedstawienia. Zazwyczaj są to dynamiczne, pełne ruchu sytuacje. One najbardziej pobudzają dziecięcą wyobraźnię. Spektakl ubogi w akcję pozostaje praktycznie niezauważony.

Pytam o zajęcia edukacyjne w teatrze.

- Nie, nie ma planu ani też praktyki, aby prowadzić systematyczną edukację teatralną. To, co robimy, ma charakter otwarty: kto się zgłosi, uzgodni termin, ten korzysta.

Edukacja kulturalna to odwrotność... pola minowego. Na nim, niestety, można trafić na minę; tutaj - trudno o pole wolne od wilczych dołów. Prezydent i marszałek - finansują artystów, głodzą widzów i odbiorców, sami - mają kulturę w wysokim poważaniu.

Kiedy i kto zajmie się osądzeniem sprawców odebrania Klubu XIII Muz jego właścicielom - publiczności i środowiskom twórczym? Czy - pytałem w maju prezydenta - środowiska nie powinny otrzymać Willi Lentza - kulturalnego salonu miasta. Środowiska, które należy otoczyć pana opieką.

Czym szef wydziału różni się od manekina?

Wracam do Urzędu Miasta...

Inna sprawa - o której nikt się nie zająknął - to odpowiedź na pytanie o bezskuteczność okrzyku, który ciągle dudni pośród korytarzy UM.

- Zabierajcie mi go stąd, nie chcę nawet o nim słyszeć!

Skąd wiem czy to głos? Od tego samego Echa, które szepce: "zobowiązania koalicyjne, ...yjne, -yjne..."

Wstyd - po raz piąty, proszę panów.

A czy inaczej jest w samorządzie?

Ile lat nie było tam dyrektora wydziału kultury?

W sierpniu 2012 roku, Ewa Podgajna pisała w "Gazecie":

Do 1 marca hotel dyrektora marszałkowskiej kultury przez niecały rok zajmował Robert Rumiński (specjalista od finansów, bankowości, zarządzania nieruchomościami). Po tym, jak odszedł, Urząd Marszałkowski od pięciu miesięcy nie ogłasza konkursu. Przez ten czas wydziałem kieruje skompromitowany Przemysław Wraga, kierownik biura ds. kultury, które jest częścią marszałkowskiego wydziału kultury. Wraga zasłynął w środowisku jako "dwulicowy urzędnik", kiedy w ubiegłym roku pod kilkoma nickami na forum "Gazety" krytykował wyjazd Orkiestry Kameralnej Academia do Nowego Jorku na obchody Roku Chopinowskiego. Tymczasem jako urzędnik oficjalnie zapewniał dyrektora orkiestry, prof. Bohdana Boguszeńskiego, że doloży wszelkich starań, by pomóc w wyjeździe muzyków. (...)

Dlaczego marszałek przez pół roku pracuje nad konkursem na dyrektora ds. kultury w województwie, a prezydent wierzy, że zarządzanie kulturą w mieście usprawni dyrektor i dwóch zastępców?



Ku przypomnieniu:

- **Prezydent Szczecina:** W 2012 roku funkcję tę sprawował Piotr Krzystek. Został po raz pierwszy wybrany w 2006 roku i piastuje ją do dziś.
- **Marszałek województwa zachodniopomorskiego:** W 2012 roku marszałkiem województwa zachodniopomorskiego był Olgierd Geblewicz.

Uwierzą Państwo? Ten artykuł został usunięty z archiwum Gazeta.pl! Przypadek? Mylę się? Przepraszam, ale ja go tam nie znalazłem. W czym interesie mogło być - o zgrozo - ocenzurowanie Gazety Wolności? Panie marszałku? Poszukamy razem?

A jaki klucz obowiązuje przy obsadzaniu stanowisk takich jak dyrektor opery czy muzeum? Kto zgadnie?

Polityczni zwierzchnicy lokalnych liderów kręcą nosem:

- Wiesz, mamy w d... jakiś tam teatr czy muzeum w... gdzie? A, w Szczecinie? Jak jeden czy drugi z naszych da się przyłapać za niezgłoszone zegarki, to pewnie będziemy musieli się tym zająć, ale...

kto się przejmuje Szczecinem?

Najmilsza pani X.? Chyba wiernie przytoczyłem opinię? No, może mniej kwieciście i sążniście, ale - jest Ok?

Ucieczka

- Chcesz coś osiągnąć, zrobić karierę, zaistnieć w Polsce? - musisz wyjechać ze Szczecina - powiedział red. Rafał Jesswein w debacie na temat kulturotwórczej niemocy Szczecina (w Centrum Przelomy, w 2024 roku).

Pewnego dnia, w latach 90., zniknął na trzydzieści lat.

Powrót z Warszawy do Szczecina odrodził w nim twórczą niemoc, o czym rozmawialiśmy jakiś czas temu.

- Od półtora roku nie napisałem żadnego mądrego zdania. Dwie rozgrzebane książki leżą, wołają o pomstę do nieba.

- Bo może - daruje pan, kolego, trzeba byłoby usiąść za biurkiem, wziąć pióro do ręki i - po prostu - zacząć pisać, czego pan - mam głęboką wiarę - nie zapomniał jeszcze? Ale, kolego redaktorze, z drugiej strony, gdy otworzysz internetowe media, dowiesz się, że... Szczecin to artystyczny raj na ziemi.



Nic nie rośnie tu równie bujnie i okazałe jak samochwalstwo, samouwielbienie, twórczy samogwałt dowartościowujący nas samych wobec samych siebie. Jakby poza Szczecinem świata żadnego nie było.

Wszystko, co nasze, jest niezwykle, niepowtarzalne, nadzwyczajne, kapitalne, niezapomniane, wyjątkowe.

Kto tak ubija tę pianę? Podlegli zwierzchnikom ich pracownicy, prymusi-lizusi, kierownicy placówek kultury, którzy każdą byle imprezę zapowiadają tak, jak Eskimosi wybory miss Sahary, które akurat przeniesiono na Grenlandię.

Szefowie nie bywają w teatrze ani na koncercie kameralnym. Owszem, na stadionie Pogoni lub na rowerowym szlaku. I nie zdziwiłbym się, gdyby w jakiejś przecince leśnej, podległa zwierzchnikowi Opera wystawiła jakąś śpiewogrę, a sam zwierzchnik zagrałby na gitarze. Jakie pyszne fotki mogłyby wtedy zalać Internet!



Pokazany przez nas przykład symfonicznych koncertów na blaszanym moście w Siekierkach, gdzie koszalińska filharmonia z pasją realizowała swoją "misję artystyczną" - to przykład arogancji. Marszałek OSOBIŚCIE zachwalał i reklamował to wydarzenie, firmując je swoim imieniem i nazwiskiem - ale sam, za darmo, nie pojechał z przypadkowymi widzami na ten wiekopomny artystyczny eksces.

W mieście natomiast aktywnością szczyłą się wszystkie Muzy. Cała trzynastka.

- Byliśmy kilka razy. Owacje, brawa, pół pusta sala. Mnie się nie podobało, ale przed imprezą wyczytałam, że będzie cud-malina. Hm... Po występie zwątpiłam: tak szumne zapowiedzi, a ja się nie poznałam na arcydziełach? Powiem wprost - nie podobało mi się. Dla mnie to taka prowincjonalna tandeta. Trupy objazdowe, jak w XIX wieku. Popelina. Artyści, których nikt nie zna, niczego wielkiego nie dokonali. Ale zgodnie z zapewnieniem Jonasza Kofy dowodzą, że "śpiewać każdy może". No więc Szczecin to potwierdza.

- Naprawdę, wielu naszych znajomych wręcz boi się już gdziekolwiek wychodzić. Bo jeśli już czegoś doświadczyli, a nie przeżyli szoku, wstrząsu, omdlenia z zachwyty, jak piszą organizatorzy imprez na Facebooku, to coś z nami, widzami, jest chyba nie tak... No, ale wyjść z domu się chce. Byle na co, byle gdzie. W ten sposób dochodzi do niezwyklej symbiozy twórcy-odbiorcy. Dykta i wazelina. I to się trzyma. Ale teraz idziemy do pubu. Albo na kolację do restauracji włoskiej.

Moi kolejni rozmówcy mają po 30-32 lata.

- Babcia została z dzieciakami i boimy się, żeby ta trójka nie rozniosła nam mieszkań! Przepraszamy! Cieszymy się, że wyrwaliśmy się z domu!

Czy rzeczywiście? Gdyby tak przypatrzeć się bliżej, pochylić, rozgrzebać wszystko to, co zmiotką na artystyczną szufelkę zgarnęliśmy z podłogi szczecińskiego Parnasu - doszlibyśmy do wniosku, że to... prawie same ogryzki!

cdn, niestety

„Najbardziej toksyczne zachowanie u lidera, to tworzenie atmosfery strachu.”

— Stephen R. Covey - autor bestsellerowych pozycji na temat przywództwa



Kolorowe inspiracje

Aliny Andrzejuk

absolwentka Wydziału Prawa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, pracuje jako radca prawny w Książnicy Pomorskiej; abstrakcja, kolor, woda, kwiaty...

- Utrwalam to, co jest zachwycające i inspirujące... - usłyszałem. - Nie mam strony internetowej, nie udzielam się w mediach społecznościowych. Miło mi, że moje prace pana zainteresowały, dziękuję za zwrócenie na nie uwagi. W domu, w garażu, za szafą mam ich więcej. Są uzewnetrznieniem mojej prywatności.

Malarstwo jest ważną przestrzenią mojego świata. Stosuję różne techniki, eksperymentuję z kolorami i fakturą obrazów. Zdecydowałam się na zaprezentowanie kilkunastu z nich chyba pod wpływem chwili. Nie zabiegam o rozgłos.

W tej chwili, gdy rozmawiamy - przepraszam, ale jestem właśnie w pracy - analizuję kilka umów, które powinny zostać za chwilę podpisane. W mojej twórczości kieruję się przede wszystkim intuicją.

Przyjdzie czas przeprowadzki,
zamieszkać w łodygach roślin,
w dziobach ptasich
rozmienię się na drganie powietrza.
Przyjdzie czas,
wyjmiesz wtedy
z ram słonecznych mój obraz
osuszony ze wzruszeń,
z wymazanym podpisem,
Deszcz przecieknie przez rzęsy,
korzenie rozplączą włosy,
wrzosowiska
motylom porozdają ich zapach.
Pęknie
spróchniałym trzaskiem
łuk odlotu rusałki
z twojej dłoni
w gąszcz światła
rozdzierany na oścież.

Przyjdzie czas przeprowadzki - Helena Raszka



Foto z ekranu TV YouTube - Katarzyna Dondalska, The Cardiff Singer of The World Vocal Competition

the eighth wonder of the world

Uroki szczecińskiego mroku

Z panem Markiem Miczulskim rozmawiamy na piętrze szczecińskiego przybytku „wyższej” kultury - w Willi Lentza, obok sali, w której właśnie skończyło się spotkanie ze śpiewaczką (sopran koloraturowy) Katarzyną Dondalską i skrzypkiem, koncertmistrzem Natanem Dondalskim.

W tle, na parterze willi, trwają ostatnie przygotowania do finału międzynarodowego konkursu wokalnego VOICEandVILLAS, którego pomysłodawczynią i dyrektorką jest profesor Katarzyna Dondalska.

Słuchaliśmy opowieści o rodzinie państwa Dondalskich. Historii, jakiej nie wymyśliłby sam Hans Christian Andersen. Ta bowiem jest tak prawdziwa, że aż... bajkowa.

Zaczęła się w Koszalinie, rozwijała w Olsztynie, przewędrowała cały świat i dziś jakże często jest – głównie w osobach pani Katarzyny i pana Natana – widziana w Szczecinie.

Ale te tak wszechstronne i uznane kariery są przez lokalnych menedżerów kultury wręcz nierozpoznawalne!

Cały świat zna ich o wiele lepiej niż my, ich sąsiedzi i kraja- nie. Dlaczego? A, to bardzo dobre pytanie.

Proszę sporządzić listę koncertów, recitali, show czy benefisów tych artystów na szczecińskich scenach. Nie okolicznościowych występów lub udziału w okazjonalnych przedsięwzięciach (most w Siekierkach). Gdzie i komu udzielają wywiadów – ale pogłębionych, profesjonalnych, na miarę ich talentów? Panie marszałku? Panie prezydencie?

A kiedyś było inaczej?

– Przez trzydzieści lat zajmowałam się wszystkim, co związane było z karierą pani Teresy Żylis-Gary – mówi Marek Miczulski, menedżer, właściciel galerii sztuki w Krynicy-Zdroju. – Dbałam i zapewniałam jej wszystkie warunki do pełnego artystycznego rozwoju. Cóż to za wspa- niała kariera! Ale też mówimy o artystce niezwyklej. Ta kariera miała jednak – jak to w życiu bywa – chwile dramatyczne. W trzydziestu tomach opracowałam dokumentację wędrowki pani Teresy Żylis-Gary przez najsłynniejsze sceny operowe świata i, niestety, także mielizny, jakie na swojej drodze napotykała w kraju.

Pokróćce: w latach 60. Teresa Żylis-Gara rozpoczęła występy m.in. w Niemczech i Francji, co było wielkim osiągnięciem w sytuacji ogra- niczeń wyjazdowych dla artystów z krajów bloku wschodniego. W 1968 roku zadebiutowała w londyńskiej Covent Garden jako Violetta w "Traviacie" Verdiego, a w tym samym roku wystąpiła po raz pierwszy w nowojorskiej Metropolitan Opera jako Donna Elvira w "Don Giovannim" Mozarta. W MET zaśpiewała łącznie 233 razy w 26 pierwszoplano- wych partiach, co czyni ją jedną z najczęściej występujących Polek w historii tej sceny.

– Pagart? – wcale nie odruchowo obaj, z panem Markiem Miczul- skim, pokiwaliliśmy głowami. Mój rozmówca, życiowy partner i mene-

dżer artystki, zna tamte realia bardzo dobrze.

Ta instytucja, która zajmowała się „eksportem” twórców i artystów z Polski w szeroki świat w latach 60. i 70. XX wieku była organizacją łobuzerską. Bandycką – tak do dziś mówią o niej pamiętający tamte czasy nasi wielcy artyści. Bo takie właśnie warunki stwarzano albo ograniczano nimi możliwość światowego rozwoju talentów i karier naszym artystom. Pani Teresa Żylis-Gara wyjechała na pierwsze kon- certy do Niemiec, gdzie równolegle podjęła naukę i studia.

Ale... w Polsce zostawiła dwuletnie dziecko.

Gdyby po występach, którymi oczarowała świat, wróciła do Polski, mogłaby już nigdy z kraju nie wyjechać.

– Czy dziś, ktokolwiek jest w stanie wyobrazić sobie los człowieka, który musi zrezygnować ze światowej kariery dla ratowania rodziny? – pyta mój rozmówca. – Kto, gdzie i z kim dzisiaj występuje, zależy już wyłącznie od artystów i ich menedżerów. Pomijam kwestie tak dra- styczne jak nasz powszechny stosunek wobec ludzi popierających np. agresję Rosji wobec Ukrainy.

Pani Teresa Żylis-Gara miała jedną nadzieję - wielką, światową sła- wa sprawi, że władze socjalistycznej Polski kiedyś oddadzą jej dziecko. Zezwolą na połączenie rodziny.

Dziecko, mąż, matka – to dla tamtego systemu były „fanty”.

Jeśli powiesz coś złego na temat najlepszego systemu politycz- nego, jakim był socjalizm – twoich bliskich spotkają przykrości. Tak artystów informował pracownik Biura Paszportowego, zanim wręczył dokument uprawniający do wyjazdu z Polski.

Może lepiej będzie powiedzieć: funkcjonariusz.

A ty, artysto, jeśli nie dotrzymasz słowa – zapomnij o kolejnych wyjazdach.

Jeśli wystąpisz u boku kogoś, którego władze Polski nie akcep- tują, jeśli zgodzisz się przyjąć rolę w sztuce szkalującej polski system społeczno-polityczny, jeśli, jeśli, jeśli...

Mówiono o ówczesnych artystach: niezatapialni topielnicy.



Krystyna Mazurówna i Katarzyna Kubacka-Seweryn, Festiwal Sztuki Aktorskiej, Łódź, 2025 - Fot. Marek Koszur

To ci, którzy – mając świadomość, że ich życiowe wyzwanie i możliwość jego spełnienia jest tylko po tamtej stronie ideologicznego porządku świata – skazywali siebie i najbliższych na wieloletnią udrękę i rozłąkę.

Dziś młodzi ludzie nie są w stanie zrozumieć i pojąć, że będąc na jednym biegunie Ziemi, nie mogliby w ułamku sekundy połączyć się z kimś bliskim na drugim krańcu globu. Wtedy listy i rozmowy tele- foniczne „niepewnych osób” były poddawane ścisłej kontroli. Działał analogowy Pegasus. W wielu przypadkach korespondencja nie docie- rała do odbiorcy. Ten dramat trwał przez długie lata.

Wiosną, podczas łódzkiego Festiwalu Sztuki Aktorskiej, rozmawia- łem z panią Krystyną Mazurówną.

- Pamiętam plakat z tym pani słynnym gestem i krzyczącym wyra- zem twarzy, otwartą lub chwytającą dłońią wysuniętą do przodu...

- O, ten gest?

- Ten sam! Kraty...

- Wie pan, pewni ludzie dobrze go zapamiętali. To zdjęcie pokazy- wano mi na spotkaniu w urzędzie paszportowym. Co ten gest znaczy - pytano. Któregoś razu wzięłam paszport i wyjechałam - bezpowrot- nie, jak wtedy myślałam - do Paryża, do Casino de Paris. Ale zanim znów stanęłam na scenie - wiele miesięcy szorowałam paryski bruk. Byłam kelnerką, ekspedientką w sklepie, bezrobotną. Wreszcie los sie odmienił.

Udało się? Kto zna nazwiska polskich tancerzy, którzy zaistnieli w świecie? To tylko dwa nazwiska: Krystyna Mazurówna i Gerard Wilk, którzy często razem występowali.

Polska prasa nie mogła pisać o polskich kompozytorach czy wyko- nawcach, jeśli ci na czas nie wrócili do kraju. Placówki dyplomatyczne w świecie odmawiały przedłużania im wiz pobytowych.

A jaki los spotkał Andrzeja Panufnika? Uciekiniera?

Królowa Elżbieta II nadała Andrzejowi Panufnikowi, pierwszemu polskiemu artyście, tytuł szlachecki Sir w 1991 roku, w uznaniu jego zasług dla kultury. W tym samym roku został również doktorem *honoris causa* Akademii Muzycznej w Warszawie. Do roku 1990, przez ponad trzydzieści lat, pozostawał na emigracji. Sprzeciwił się próbom nakło- nienia go do uległości wobec polityki kulturalnej polskich władz. Uciekł za granicę. Uznany za deztertera. Jego życiorys, tak bogato inkrustowany osobistymi tragediami, ukazuje bez- duszność władz wobec wybitnego kompozytora.

Dziś polski artysta może w spo- sób nieskrępowany, bez żadnych ograniczeń i obostrzeń podbijać świat.

Hm... ilu szczecinian z takiej moż- liwości skorzystało?

Ile polskich, szczecińskich nazwisk funkcjonuje w światowym Hall of Fame? Jeśli powiem – zero – to mocno przesadzę?

Pytam o szczecinianina – artystę wymiaru światowego, tu urodzonego i tu w pełni wykształconego – w któ- rego rodzinnym mieście wszystko, co artystyczne, opisywane jest jako: nie- zwykłe, niecodienne, niepowtarzalne, unikalne, nadzwyczajne, legendarne, wyjątkowe...

- Wiem - znam jednego!

Nie, drogi Jacku G., mylisz się, kolego.

Pan Aleksander Wolszczan urodził się w Szczecinku, a studiował w Toruniu.

Doskonalił się w Bonn, a doktorat napisał również w Toruniu. (Jakbyśmy w Szczecinie własnego uniwersytetu nie mieli).

Mamy, owszem – wspinały, niezwykle, nadzwyczajny, legendarny, wybitny, niepowtarzalny... Ale w gruncie rzeczy to tylko taka mała szkółka z wysokimi korytarzami. Pełna kuriozalnych projektów, jak ten, kształcący dziennikarzy. Ponad 2,5 tysiąca absolwentów, a znają Państwo ogólnopolskie, medialne nazwisko ukształtowane w Szczecinie? Publicystę, reportera-dokumentalistę, korespondenta, rozpoznawalnego w świecie? Pech? Czy szczyt niekompetencji kadry wydziału dziennikarstwa? **TO DOPIERO JEST TEMAT!**

Tu np. rektor decyzją administracyjną zmienia uniwersyteckie standardy, aby przyjąć do pracy żonę urzędującego ministra, który... traci tekę – m.in. za tę „uprzejmość” – ale żona ministra stanowisko utrzymuje. Bo podobno inna żona, w ramach wzajemności... Jak w robótkach na drutach: jedno spuszczaś, dwa podciągasz... Oczka. Ja tobie - ty mnie...

Wzburzenie społeczne związane z tą kwestią trwało krócej niż noc świętojańska.

Zwykle łobuzerstwo formalne stało się normą moralną.

A kto panu rektorowi zabroni?

Walizka i plecak

– Mama mnie spakowała: tu jedna walizka i pękaty plecak, a w drugiej ręce trzymałam bilet do Würzburga. To przepiękne, uniwersyteckie miasto w Bawarii.

Katarzyna Dondalska nie próbuje nawet ukryć wzruszenia, gdy wspomina swój „rejs Kolumba”, w jaki wyruszyła w poszukiwaniu nowych światów, w których mogłaby spełnić swoje artystyczne ambicje.

– Studiowałam wtedy w Gdańsku. Sytuacja filharmonii nie gwarantowała ciągłości zatrudnienia, a praca w orkiestrze była dla moich rodziców właściwie wyłącznym źródłem dochodu. Obawiali się więc, że nie udźwigną kosztów mojej edukacji. A w Niemczech od razu zaproponowano mi stypendium! Miałam wtedy już troje rodzeństwa. Każde z nich także grało na skrzypcach.

Układ był klarowny. Ojciec – demiurg całej rodziny pod względem muzycznego rygoru gwarantującego osiąganie wyników i artystycznych sukcesów, oraz Mama – również profesjonalny muzyk – inspirowała naszych ambicji: być lepszym, najlepszym, jedynym, odnosić sukcesy, zachłystywać się nowymi możliwościami.

– Oto wasze cele – mówiła. – Bo w sztuce sukces jest nieodzwonny, a zarazem niezbędny, by pojawiła się szansa na kolejne osiągnięcia. Bycie trzecim czy siódmym w gronie laureatów, to wielka satysfakcja, ale świat kłęka tylko przed triumfatorami. Otwiera przed nim nowe możliwości.



Od lewej: Natan Dondalski, Bohdan Boguszewski, Katarzyna Dondalska, Międzyzdroje 2024, finał Sacrum Non Profanum. Fot. Marek Koszur

Dlatego rodzice wskazywali nam zawsze tylko numer „jeden”. Całej czwórce rodzeństwa.

Przeglądałam notatki z kilku spotkań, przesłuchuję nagrania, a przede wszystkim analizuję strony mediów społecznościowych. Nie mogę wyjść z podziwu, skąd pani profesor bierze tyle energii, pomysłów, a przede wszystkim – tryskającej radości z tego, co robi dla swoich studentów.

Czuję pewne onieśmienie!

Oczywiście, że przed skreśleniem tych kilku zdań – plotkowałam. Pytałem tu, zagadywałem tam.

– Katarzyna? To fenomen! Oni wszyscy w tej rodzinie to mistrzowie!

I popłynęła opowieść o koncertach, planach, osiągnięciach. Słuchałem profesora Bohdana Boguszewskiego z pewnym zakłopotaniem.



niem, bo... czym on się tak ekscytuje? Czym się zachwycia? Przecież opowiadając o muzykujących Dondalskich, kreśli przede mną los burłaków, katorżników i wyrobników! Tyle pracy dla tych kilku owacji? Dla uśmiechniętych widzów i słuchaczy?

– Nie. I tak, zarazem. W tym spotkaniu twórcy z odbiorcą jest właśnie niezmierna magia! Chyba wiem coś o tym... Hm... Na przykład - poprowadź orkiestrę i wykonaj w całości, pierwszy raz w fonograficznym etapie historii muzyki - „Polonię”, symfonię Ignacego Jana Paderewskiego, z całkowitą wiernością wobec partytury i zaleceń kom-



Dyskografia Katarzyny Dondalskiej. Ilu szczecińskich artystów może poszczycić się takim dorobkiem?

pozytora, by użyć instrumentów, których dziś już praktycznie nie ma na świecie. A mnie się ta sztuka udała. Znalazłam muzyka w Ameryce i dwa instrumenty - sarusofony. I zagraliśmy „Polonię” tak, jak chciałby ją usłyszeć sam kompozytor. Zrealizowaliśmy w pełni jego wizję! Gdzie? W Szczecinie! I nagraliśmy płytę. W wersji CD i winylową. Praca - tytaniczna, ale dzięki tej pracy - zobaczyłem Niebo! Przynajmniej jego fragment. Warto było... Dla takiej satysfakcji. Spełnienia się w sztuce.

Hm... Przechodzę niekiedy przez wewnętrzny dziedziniec Akademii Sztuki w Szczecinie.

Lubię zatrzymać się tam na chwilę. Czuję się wtedy jak drzazga w palenisku, ze ścian którego – z pięter gmachu – spływają głosy w bardzo zróżnicowanym repertuarze. Nic, nawet japońskie bębny rytualne, nie mają w sobie tej mocy, którą posiada ludzki, piękny głos. Słuchany „na żywo”.

Ten potrafi wzniecić samozapłon. Bywa, że płonę...

Na strunach życia

Pod takim tytułem Marek Książek opisał losy każdego z rodzeństwa i rodziców państwa Dondalskich.

Książkę przeczytałam na przednówku, kiedy magnolie jeszcze głęboko w chłód się wtułały. Gdyby tę opowieść do ich paków zbliżyć, zakwitłyby niezawodnie, pobudzone energią szczególnego, rodzinnego „zespoleńia”.

O Rodzinie jednak pisać tu nie będę. Odsyłam do relacji – według mnie – napisanej w stylu Juliusza Verne’a, mistrza w ukazywaniu niezwykłości świata.

– Ale co w historii naszej rodziny jest dziwnego? – z pewnym zakłopotaniem reagował skrzypek, pierwszy koncertmistrz Filharmonii Koszalińskiej, Natan Dondalski. – My - po prostu - koncentrowaliśmy się na celu, na zadaniu. Trzypokojowe mieszkanie w Olsztynie. Czoro muzykujących dzieci, dwoje równie aktywnych muzycznie rodziców. I

nie ma zmiłuj się – przychodzi godzina, każdy bierze swój instrument i ćwiczy. Wszędzie. Włącznie z łazienką.

Słuchacz i obserwator o tak głęboko krytycznym podejściu jak moja osoba czeka na jakieś pęknięcie, niepewny krok w narracji bohaterów wieczoru w Willi Lentza. Tym razem moje czaty okazały się bezskuteczne.

– Cóż mam powiedzieć? Chciałem grać koncert Mendelssohna. Proszę bardzo! Grałem koncert Beethovena, Czajkowskiego. Występowałem pod batutą znakomitych dyrygentów, ze świetnymi orkiestrami. I to się dla mnie liczyło! Wielka literatura muzyczna w mojej interpretacji. A czy robię to w Koszalinie, Olsztynie, Warszawie czy Tokio...

– Któregoś razu – wtrąca Katarzyna Dondalska – Natan dostał zaproszenie na przesłuchanie do Filharmoników Berlińskich. Dzwoni do mnie z głębokiego świata z prośbą – wyślij proszę do nich wiadomość, że nie mogę przyjechać, bo gram koncert... gdzieś tam. Odmówił Berlińczykom...

– Dziś gram na całym świecie! Jesienią wracam do Japonii.

– W domu bawiliśmy się w szkołę muzyczną. Natan miał zeszyt, wpisywał tam nasze imiona i... oceniał zmagania każdego z nas z nowymi utworami. Pokonywanie barier mieliśmy i mamy niejako we krwi. Ojciec, gdy otrzymał angaż do orkiestry we Francji, przetań szlaki, zdobył doświadczenia i nam je przekazywał, uczył, uwrażliwiał, a jednocześnie przestrzegał. Mieliśmy więc – dzięki naszym Rodzicom – ułatwione zadanie. Po naszej stronie leżało jedynie wykończenie pomysłu, wizji, no... marzenia.

Europa i „Europe”

Katarzyna Dondalska to przede wszystkim doskonale wykształcona skrzypczka.

Trafiła do Wandy Wiłkomirskiej. Ta rekomendowała (wtedy- olsztyniankę) profesorowi Gertowi Hoelscherowi z Akademii Muzycznej w Würzburgu.

– Wielka Wanda Wiłkomirska przesłuchiwała mnie i od razu zatelefo-

nowała do mojego przyszłego nauczyciela...

Wrota świata wolno, ale uchylały się przed jakże zdeterminowaną studentką. Z radiowych głośników często rozbrzmiewały wtedy piosenki grupy "Europe".

– Podobali mi się. Nuciłam ich przeboje. Któregoś dnia zaśpiewałam sobie jeden z nich. Coś niezwykłego się wtedy wydarzyło. Usłyszałam swój śpiew. Zrozumiałam, że chciałam śpiewać. Tak, ja muszę śpiewać!

Katarzyna Dondalska trafiła pod skrzydła pani Haliny Mickiewiczówny z Gdańska.

W radiowym archiwum w Szczecinie, gdy jeszcze istniało, powinna znajdować się taśma z moją rozmową z tą wybitną śpiewaczką na temat kołysanek i znaczenia śpiewania ich przez matki swoim nienarodzonym jeszcze dzieciom. W owym czasie pani Mickiewiczówna była najwyższym w kraju autorytetem i pedagogiem z zakresu wokalistyki.

(Ha, ... Takimi sprawami zajmowaliśmy się na początku lat 70. w Polskim Radiu Szczecin, którego – nie tylko nazwa – któregoś dnia została zmieniona na Radio Szczecin. Katastrofa! To jakby wyrzec się swojej godności).

A skoro znów wracamy na grunt szczeciński...

Śpiew i wokalistyka w naszym mieście mają wymiar i poziom międzynarodowy. W Międzyzdrojach regularnie odbywał się Międzynarodowy Festiwal Chórny. Chór Politechniki Szczecińskiej profesora Jana Szyrockiego był – obok „Mazowsza” – jednym z najbardziej na świecie rozpoznawalnych polskich zespołów wokalnych.

Szkoły muzyczne – jeśli dobrze pamiętam, ta przy Orle Białego, śpiew stawały na najwyższym poziomie.

Wreszcie dyrektor Eugeniusz Kus, śpiewający medycy i duet przyjaciół: Bohdan Boguszewski i Marek Jasiński – to przecież „ludzie od śpiewu”. Profesor Boguszewski przez dwadzieścia lat „trzymał” w mocnej dłoni Festiwal Polskiej Muzyki Współczesnej Sacrum Non Profanum, a profesor Marek Jasiński, zanim odszedł, każdego roku komponował na ten festiwal dzieło oryginalne, sakralne, na chór i organy.

Wreszcie, to w Kamieniu Pomorskim od ponad siedemdziesięciu lat odbywa się Festiwal Muzyki Kameralnej i Organowej. Jeszcze się odbywa. Jak długo? Marszałek nawet nie kiwnął palcem, by konty-

nuować dzieło profesora Boguszewskiego. A mówi, że jest wielkim miłośnikiem sztuki. Na festiwalu był raz - żeby powitać Krzysztofa Pendereckiego. Czy został na koncercie? Nie. Natomiast w programach festiwalu, jak kataryniarz, plawił się w zachwycie nad tym wspaniałym festiwalem. Żenujące. **Patron festiwalu nigdy nie był jego gościem.**

Instrukcja udzielania patronatu inicjatywom nie mówi o wpisywaniu w dokumenty nazwiska urzędnika pełniącego funkcję marszałka. Mowa jest tylko o Urzędzie Marszałka. W Zachodniopomorskim, funkcja i urząd są na drugim miejscu. Zapytałem pana marszałka, dlaczego tak głośno manifestuje swoją próżność? **Nie odpowiedział.** Natomiast normą w placówkach jemu podległych, dyrektorowie zawsze i na pierwszym miejscu w komunikatach umieszczają swoje nazwisko: Dyrektor Kółka Graniastego, Ela Mela zaprasza na uroczyste (bo innych, normalnych nie ma) wydarzenie...

I wszędzie wklejają swoje zdjęcia, filmiki. O wydarzeniu - słowo lub dwa - resztę przekazu zajmuje wizerunek pana marszałka.

Niebawem - na łamach TVSiódemki - galeria próżności. Szczeciński **Gabinet Figur Nadymanych.**

Czy w Operze straszy?

Tak właśnie, przed laty, nazywał się cykl imprez popularyzujących teatr operowy. Przyjeżdżał pan Wiesław Ochman, wpadał pan Sławomir Pietras - wtedy jeszcze chyba z Łodzi, potem z Poznania. Nietrudno było wieczorami spotkać na ulicy przy domkach profesorskich rozdyskutowanych wykonawców: Krzysztof Kolberger, Natalia Kukulska, Andrzej Piaseczny, Zbigniew Wodecki... To współpracownicy Opery na Zamku. Tamże regularnie odbywały się Koncerty Przy Świecach i Kawie. Kameralistyka była szalenie popularna. Sale zamkowe - wypełnione po brzegi. Nie były wyremontowane i puste jak dziś. Tętniły życiem a łuszczący się tynk czy poszarzałe wykusze - podkreślały zamkowy klimat. Dziś - zachwyca blask funeralnej ciszy...

A ja słyszę jeszcze głosy szczecińskich pedagogów i popularyzatorów wokalistyki z Mikołajem Szczęsnym na czele, który te zamkowe koncerty prowadził, a w tygodniu - wielokrotnie „napadał” na mnie w wieżowcu RiTV, sugerując, że trzeba byłoby coś wokalnego przygotować dla telewizji.

- To takie ważne - wręcz wykrzykiwał. Także przed kamerami.

Szczecińska Opera kilkukrotnie gościła wtedy z transmisjami swoich spektakli na antenie ogólnopolskiej TVP.

Kierował nią maestro Wacław Kunc, a pani Irena Brodzińska nigdy nie przestała być wielką królową tej sceny. Szczecinianie uwielbiali naszą primadonnę, która przez wiele lat życzyła sobie widzieć mnie w każdy czwartkowy poranek na kawie, w jej patio przy alei Wojska Polskiego, żeby... panie dyrektorze, porozmawiać o kulturze, pan w tej telewizji mógłby naprawdę więcej, częściej, mocniej... A maestro Walerian Pawłowski tylko uśmiechał się dyskretnie - później komentując: Grażynka jest jak sztylet, bezszelestnie wchodzi w człowieka, nie roniąc przy tym kropli krwi... No, nikt się nie oprze jej czarowi. Pani Irena Brodzińska była bardzo ważnym głosem w Korporacji Twórców, Artystów i Dziennikarzy.

Katarzyna Dondalska – startując do zaiste koloraturowej kariery – nie miała wsparcia ze strony placówki takiej jak choćby Willa Lentza. Dziś pani Profesor

tutaj właśnie organizuje swój międzynarodowy konkurs dla młodych śpiewaków. Tu promuje, wyluskuje, doszlifowuje i w pełnym blasku prezentuje najwspanialsze nie tylko polskie głosy młodego pokolenia. Także ukraińskie!

Sama, dziś z niezwykle bogatą karierą zagraniczną – niczym strażnik muzycznego Pentagonu – potrafi podpowiedzieć, wskazać, gdzie każdy z uczestników jej konkursu mógłby wzbudzić zainteresowanie światowych menedżerów operowych.

– Proszę przychodzić na nasze prezentacje, proszę wsłuchiwać się w te głosy – powtarzała przed publicznością okłaskującą w maju 2025 uczestników jej festiwalu. – Dziś każdy może się tymi pięknymi głosami zachwycać „za darmo”. Niebawem za bilet wstępu na recitale tych młodych ludzi na światowych scenach może nie wystarczyć nawet 400 euro.

Foto YouTube

Dame Joan Sutherland okłaskuje występ Katarzyny Dondalskiej



A skoro o szlifowaniu diamentów mowa... W książce "Na strunach życia" czytam:

(Katarzyna Dondalska) miała okazję poznać i współpracować z Bogną Sokorską (1927–2002), legendą sceny operowej, dysponującą sopranem koloraturowym określanym jako liryczny, od której usłyszała, że ma diament w głosie! Ten diament pojawił się już w wypowiedzi prof. Ingeborg Hallstein w Würzburgu, która zwykła mówić: Bóg przychodzi do każdego i daje mu diament, ale do ciebie przyszedł drugi raz i dodał drugi – tu nawiązanie do pierwszego talentu – skrzypcowego."

I tylko czekać nam wypada na chwilę, gdy w szczecińskiej Willi Lentza zdarzy się podobnie magiczny wieczór jak ten w Cardiff. Tam, przed kamerami BBC, wystąpiła Polka – koszalinianka ze Szczecina. Oglądam na YouTube zapis telewizyjnej transmisji tamtego konkursu w Cardiff. Ostatnie takt, okłaski publiczności, Katarzyna Dondalska dziękuje za uznanie, a kamera pokazuje światowej sławy sopranistkę Barbarę Bonney, przewodniczącą jury The Cardiff Singer of The World Vocal Competition – festiwalu zaliczanego do najbardziej prestiżowych w świecie.

– Katarzyna i jej śpiew to dla mnie ósmy cud świata – mówi temu właśnie, całemu światu wielka Barbara Bonney.

Niestety, w Szczecinie, prezydent i marszałek potrafią liczyć tylko do siedmiu...

Mieszkająca w Berlinie, żona kompozytora i dyrygenta Stefana Johanessa Waltera, matka przyszłego wirtuoza, perkusistki (jak jej babcia), rodowita koszalinianka, na co dzień pracująca w Szczecińskiej Akademii Sztuki – na dobrą sprawę **nigdy przed tutejszą publicznością nie wystąpiła w koncercie w całości jej poświęconym!**

Wielkim, godnym głosu uznanego za... ósmy cud świata. Nigdy!

Pomijam występy w starej jeszcze filharmonii, w dawnej operze. Pytam o **koncert, o benefis** pani Katarzyny Dondalskiej.

Czy Szczecin zna śpiewaczkę o takiej rozpoznawalności w świecie?

Wydaje się, że gdzieś w naszej urzędniczej mentalności ciągle funkcjonuje "Pagart", który współczesnym artystom gotuje los podobny do doświadczeń pani Teresy Żylis-Gary, tylko że ten nowy impresariatus zamyka lokalny rynek przed artystami powszechnie znanymi w świecie.

Nie ma w Urzędzie Marszałkowskim, który sprawuje pieczę nad Operą na Zamku, autorytetu wielkości Barbary Bonney. W loży szczecińskiej opery nie zasiada w charakterze patrona tejże placówki artystka miary Dame Joan Sutherland.

Pan marszałek, w odpowiedzi na moje pytanie o kwalifikacje osób zatwierdzających kandydata na dyrektora opery napisał:

Odnośnie kwalifikacji przedstawicieli Województwa Zachodniopomorskiego to informujemy, że pani Anna Bałkowska pełni funkcję Wicemarszałkini Województwa Zachodniopomorskiego i w strukturze organizacyjnej urzędu odpowiada m.in. za sprawy kultury. Pani Aneta Chmielewska jest kierownikiem w Biurze ds. Mecenatu i Dziedzictwa Narodowego w Wydziale Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Marszałkowskiego, a pan Edward Trzybulski jest dyrektorem Wydziału Organizacji i Rozwoju Zasobów Ludzkich Urzędu Marszałkowskiego Województwa Zachodniopomorskiego.

Oto autorytety w sprawach artystycznych. Jestem w błędzie? Sam Mikołaj Gogol nie wymyśliłby takiego urzędu: Wydział Organizacji i Rozwoju Zasobów Ludzkich Urzędu Marszałkowskiego Województwa Zachodniopomorskiego. Jedna opera, jeden dyrektor, raz na kilka lat, a tu taka urzędnicza opieka...

Oświećcie mnie, jeśli się myślę. Panie marszałku i ty, triumfatorze w drugiej edycji konkursu na stanowisko dyrektora - szefie opery - czy państwo tak na poważnie czy bardziej kabaretowo nas traktują?

Ale to ledwie początek sprawy. Tyko dla ludzi o mocnych nerwach przeznaczyłbym uzasadnienie wyboru właśnie pana Jekiela. Wróć do sprawy, a dziś tylko pana dyrektora właśnie zapytam: wyraz pańskiej twarzy na zdjęciu zamieszczonym w serwisie informacyjnym Telewizji Szczecin można byłoby uznać za fotograficzny kiks. Zgadzam się. Ale słowa...? Powiedział pan:

Wygrać z taką konkurentką to wielki honor. Móc kierować Operą na Zamku kolejne pięć lat to wielki zaszczyt.

Co panu strzeliło do głowy, żeby siebie równać z „TAKĄ konkurentką”? Na czym pan Ją zagiął, w jakiej sferze ma pan większe kwalifikacje? Współtworzył pan tegoroczną edycję Festiwalu Wagnerowskiego, czym właśnie zajmowała się w Bayreuth pana konkurentka?

Jak słyszę, ta nie spodobała się pani wicemarszałkini?

- I co, jaka ona jest?

- A wiesz, jakaś taka...

To znów głos Echa, które dostało czkawki, gdy mi o tym przesłuchaniu kandydatów opowiadało.

Inna prawda jest taka: musimy dbać o naszych. Umówmy się: wtedy oni zadbają o nas.

Tytułem zapowiedzi kolejnego felietonu powiem jedynie, że w protokole po zakończeniu przesłuchań czytam, że koncepcją pana Jakiela była najbardziej przekonująca oraz **łącząca świadomość potrzeby kontynuacji prac inwestycyjnych związanych z instytucją kultury** i prowadzenia przez nią merytorycznej działalności statutowej. **ANI SŁOWA O OPERZE!** Tenory zatem dostaną szufle, a barytony - łopaty. Sopranu mopy, a mezzo - tylko zmiotki.



Barbara Bonney, w obecności Dame Joan Sutherland (foto obok), w czasie BBC The Cardiff Singer of The World Vocal Competition ocenia występ Katarzyny Dondalskiej - 2010, Foto z relacji Youtube

Taka informacja w protokole to kompromitacja.

Podkreślam: świadomość potrzeby kontynuacji prac inwestycyjnych - oto czego wymaga się od dyrektora opery? W metropolii Szczecin?

Marzycielka?

Zanim dwa zdania na temat pani Aldony Farrugii - pytanie do pana marszałka.

Jak to możliwe? Jest pan zaciekłym bojownikiem o najwyższe standardy, tymczasem nie znajduję ani jednej krytycznej oceny spektakli opery, pióra europejskich, światowych krytyków. Która ze scen Europy marzy o zaproszeniu naszej opery na gościnne występy np. w Paryżu lub w La Scali? Wreszcie, jak pan wyjaśni fakt, że nikt w Polsce nie zapragnął zostać szefem tej instytucji? Czy w Polsce ktokolwiek wie o istnieniu opery w Szczecinie lub czy pan zachęcił kogoś, kto jest niekwestionowanym autorytetem w sprawach operowych, aby tu przyjechał, stuknął nogą i wykrzesał z tej instytucji całą jej moc? Żeby ten teatr powalił wszystkie europejskie sceny swoim artyzmem i profesjonalizmem? Co pan w tej sprawie zrobił? Zamieścić ogłoszenie w BIP? I co?

Odnoszę wrażenie, że trwa systematyczna hibernacja podległych panu instytucji kultury. Muzeum - już jest posagowe. Czy pańska nominatka ma pomysł, jak aktywnością i zasobami przyćmić Luwr? W sprawach muzealnictwa morskiego - nic się w muzeum od lat nie dzieje. Kto pamięta dziś pomysł: Morskie Centrum Nauki versus Muzeum Narodowe? **Przypomnę niebawem.** Kto wysadził w powietrze ten pomysł? Kogo posadził pan na stołku dyrektorskim w Centrum? Tylko Adam Opatowicz z wdziękiem typowym dla reżysera pozostaje jakby zaimpregnowany, wręcz - pardon - niezależny i robi swoje. Może lepiej byłoby powiedzieć - nie wychyla się zанаdто. Tego by jeszcze brakowało, aby szesnaście lat (mylę się?) trwająca przebudowa/budowa nowego teatru, której pan patronował, wydała z siebie coś na kształt Morskiego Centrum Nauki. Większej skuchy jak MCN popelnić już nie można było. Przesadzam... Można. Tylko patrzeć, prawda?

Zatem - konkurentką pana Jekiela, pokonaną, upokorzoną jego talentami jest polska reżyserka operowa, menedżerka kultury i pedagog, której kariera obejmuje działalność artystyczną i edukacyjną w Europie, głównie w Niemczech.

Aldona Farrugia ukończyła reżyserię muzyczno-teatralną w Hochschule für Musik und Theater w Hamburgu oraz studia podyplomowe z zarządzania kulturą na Uniwersytecie w Zurychu. Była landowym ministrem kultury, by nie wdawać się w opisy struktury władz poszczególnych Landów.

Swoją karierę rozpoczęła w 2002 roku jako asystentka reżysera w Operze w Kolonii, a następnie od 2005 roku kontynuowała pracę w Staatsoper Hamburg pod kierownictwem artystycznym Simone Young.

Jako reżyserka zrealizowała m.in. "Ariadne auf Naxos" Richarda Straussa w Staatstheater Meiningen (2018) oraz "Der goldene Drache" Petera Eötvösa w Mainfranken Theater Würzburg (2020).

Była dyrektorem opery w Staatstheater w Meiningen. Ciekawym eksperymentem byłoby, aby państwo Farrugia-Jekiel zamienili się na dyrektorskie stanowiska. Szczecinińnin pokazałby Niemcom, jak operę robić mają?

- Książę Jerzy (Herzog Georg von Meiningen) - mówi pani Aldona Farrugia - w XIX wieku sprowadzał tutaj takich artystów jak Hans von Bülow, Richard Strauss oraz Max Reger. Johannes Brahms był stałym gościem w Meiningen, a jego IV Symfonia tam właśnie miała swoje prawykonanie (była zresztą dedykowana Georgowi). Nie mogę nie wspomnieć, że w prawykonaniu cyklu Pierścień Nibelunga w Bayreuth wystąpiła znana wówczas na całym świecie Hofkapelle Meiningen (ponieważ Wagner nalegał, by właśnie ta orkiestra wykonała jego dzieło). Więc wielka jest tradycja, z której ten teatr się wywodzi, i cieszę się bardzo, że mogłam być częścią tego teatru.

Dyrektorem tego teatru, mówmy wprost.

Inscenizacje pani Farrugii były prezentowane w Operze w Kolonii, Staatsoper Hamburg, Theater Erfurt i Operze w Bonn. Prowadziła warsztaty i kursy mistrzowskie w ramach European Network of Opera Academies (ENOA), a także współpracowała z instytucjami takimi jak Teatr Wielki – Opera Narodowa w Warszawie, opera w Paryżu.

Od semestru letniego 2025 roku pełni funkcję wykładowczyni w zakresie instruktażu scenicznego na Uniwersytecie Muzycznym Franz Liszt w Weimarze.

Za małe kwalifikacje? Brak doświadczenia operowego? Czy brak znajomości z kimś ważnym w Szczecinie przesądził o losie kandydatki?

Tej klasy specjalistka przyciągnęłaby na szczeciński Zamek artystów z całej Europy, a – jestem pewny – wprowadziłaby naszą operę w międzynarodową przestrzeń teatralną. Bo tam liczą się kontakty, przyjaźnie, znajomości - nie totumfackie, ale - zawodowe, profesjonalne, wynikające z fachowości stron. Gdyby pan Jekiel stanął do konkursu na dyrektora sceny w Meiningen albo w Operze Berlińskiej - rozjechałby, pana zdaniem - kontrkandydatów? Świadomością inwestycyjną?

Marszałek zdecydował o powierzeniu Opery historykowi z wykształcenia (chyba niepraktykującemu), byłemu wiceprezydentowi miasta (ds. społecznych, przez kilkanaście miesięcy w roku 2000)?

Pan Jacek Jekiel, członek Rady Powiatu w Policach, w kampanii wyborczej wołał do selfkamery, że wie, jak naprawić drogę, bodaj w Mierzynie.

– Tylko zagłosujcie na mnie.

Zagłosowaliśmy. A co z drogą? Naprawiona? No! Zuch!

Przywołam nazwisko Rudolfa Binga, wieloletniego dyrektora Metropolitan Opera, przed którym świat chyli czoło za jego menedżerską wirtuozerię. Ale ta błędnie wobec opisu własnych sukcesów i autoportretów szefa szczecińskiej Opery. Każde jego wystąpienie ocieka samozachwytem.

Tylem do przodu...

To nasza, szczecińska specjalność. Tak tworzymy wielkość kulturową naszego miasta. Budulcem tej wielkości są... słowa. A murarzami - wielokrotnie fetowani tu: marszałek, prezydent and Co.

„Jednak gdy zapominamy o pokorze, zaczynamy budować ze słów swój pomnik – zamiast mostu w stronę drugiego człowieka.”

Obu panom dedykuję te strofy z poezji ks. Jana Twardowskiego.



W numerze 05/2025 TV Siódemki przedstawiłem pierwszy szkic pióra Marii Kureckiej-Wirpszy, pochodzący z rękopisu przechowywanego w archiwum Książnicy Pomorskiej. Prywatne notatki — dedykowane... dzieciom.

Czyli – nam?

Oto prawda o ludziach kultury polskiej okresu tużpowojennego – odmitologizowana. Lecz to jedynie ułamki, okruczy, migawki, anegdoty, strzępy zdarzeń bardzo osobistych. Nie do publikacji. Wtedy.

Kto mógł osiemdziesiąt lat temu przewidzieć, że ten zeszyt – jego treść – znajdzie kiedyś swoje miejsce na tych stronach? W takiej rzeczywistości, w przestrzeni niepamięci o przełomie lat 40. i 50. minionego wieku.

Autorka rzuca wiele światła na nieudaną próbę Leonarda Borkowicza, wojewody szczecińskiego, by w Szczecinie stworzyć środowisko twórców wszystkich dyscyplin. Pomysł szlachetny — ale utopiiny. Sztuka nie wyrasta na gotowej grzędce — nawet pośród junkierskich willi, rozdawanych szerokim gestem.

Oni, nasi poprzednicy, z bólem zdzierali z siebie koszmar wojny. Chodzili pośród ruin, koili nerwy w lesie nad jeziorem Głębokie. My, trzy razy dziennie, w jednym z radiowych programów słuchamy dziś poradników: jak przygotować się na wypadek wojny. Czy naprawdę nasz czas mierzy się wojnami? Ich koniec nigdy nie przynosił pokoju — jest tylko przerwany przed kolejną katastrofą?

Czas nie uznaje selekcji, wyboru ani hierarchii wartości. Bezwrotnie zaciera wszystko: kataklizmy i mrugnięcie powieki. Z najwyższą pilnością wymazuje odczucia, reakcje, oceny i emocje. Dlatego tak cenne są te prywatne, wręcz poufne notatki. To nie pamiętnik. Nie autobiografia.

To iskry zdarzeń, które zapłonęły i uleciały — by... zgasać.



Maria Kurecka-Wirpsza

Czas przeszły dokonany

(fragmenty)

Wspomnienia o T. Borowskim, K.I. Gałczyńskim, S.J. Lecu

Dzieciom naszym

Władysław Broniewski

Władysław Broniewski, legionista



Był z Płocka. Jak ja. I w okresie wół-dziecinnych, szkolnych lat umiałam mnóstwo wierszy na pamięć. Powtarzałam z egzaltacją:

Róża polna gałęzią cierniową
Wrosła we mnie, bym nie mógł odejść -
To dlatego krwawi każde słowo,
To dlatego tak boli młodość.

I drży serce, i lęka się nocą,
I niczego nie umie zapomnieć.
Ten wiersz napisałem przemocą –
I ten wiersz mówi tylko o mnie.

Ale nie śmiałam oczywiście nawet marzyć o tym, że kiedyś go poznam. Mity młodości. Na tajnych (oczywiście) wieczorkach i akademiach podczas gorzkich lat wojny obok „Alarmu” (dla miasta Warszawy) Słonimskiego, powracały takie słowa, które nie pamiętam już, kto i skąd do ówczesnej Warszawy przywrócił:

Są w ojczyźnie rachunki krzywd,
obca dłoń ich też nie przekreśli,
ale krwi nie odmówi nikt:
wysączymy ją z piersi i z pieśni.
Cóż, że nieraz smakował gorzko
na tej ziemi więzienny chleb?
Za tę dłoń podniesioną nad Polską-
kula w łeb!

Może dlatego – dotąd nie umiem myśleć, pamiętać o nim inaczej jak jego wierszami. Mimo, że nie była to poezja „wielkiego lotu”. Był w niej natomiast – w tych latach szczególnie mocno działający – ładunek emocjonalny. Szczery, zwięzły i – jakże bardzo (jak rozpacżliwie „bardzo” chciałoby się dziś napisać) – polski. Arcypolski.

Gdy jednak z tremą ogromną zadzwoniłam w 1954 roku do drzwi mieszkania przy Alei Róż w Warszawie – wszystko odbyło się zwyczaj-

nie. Drzwi otworzył mi gospodarz – z wielkim młotkiem w ręku. Przybijał coś właśnie – jakiś obraz czy kilim. Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem siwych oczu, udał, że nie dostrzega mojego – aż śmiesznego – zmieszania, zawołał coś do żony, krzątającej się w głębi sąsiedniego pokoju. Wkrótce potem usiedliśmy przy stole, na którym stała wielka salaterka tartych jabłek.

- Żeby tracę, jak stary koń- uśmiechnął się niewesoło. – Wojna je nadgrzyła.

Jadłam więc („dla towarzystwa”) tarte jabłka i rozważałam wspólnie z gospodarzem możliwość jego przyjazdu z wieczorami autorskimi do Szczecina. Dotrzymał danego przyrzeczenia i przybył niebawem, a ogromna sala pomieścić nie mogła tłumów, które przysły go słuchać. Ze współczesnych on tylko i Gałczyński umieli niemal wszystkie swoje wiersze na pamięć. A Gałczyński też wówczas (po raz pierwszy i na krótko tylko) przyjechał „z występami” do Szczecina. Owe koncerty na dwa – i to jakie! – głosy, były czymś niepowtarzalnym. Obaj poeci zresztą nigdy nie zaczęli recytacji bez uprzedniego – solidnego – jej „zakropienia” – ale nawet, gdy na chwilę zawodziła ich pamięć – sala chóralnie poddawała brakujące słowa.

Franciszek Gil zaprosił nas do siebie po jednym z takich wieczorów. Gałczyński gdzieś się zawieruszył, Broniewski przyszedł jednak i gęsto pociągając ze szklanki (kieliszków nie było) siedział przy stole, gdzie w nielicznym gronie miejscowych „przedstawicieli literatury” – usiłował m.in. popisywać się swoją „twórczością” lokalny fraszkopis i satyryk:

*Z satyrą może być niedobrze
Gdy pisarz pióro macza w Odrze -*

objawił, wynudziwszy nas uprzednio już sporą ilością podobnych utworów. Broniewski potężnym głosem zareplikował na to ze swego kąta:

*Najgorzej, wszakże –
Jeżeli – w wiadrze -*

- i - domorosły satyryk zaprzestał popisów.

Rok później szliśmy ulicą Szustra w Warszawie – nazajutrz miał się rozpocząć doroczny Zjazd Literatów, na który przyjechaliśmy ze Szczecina i szukając noclegu wędrowaliśmy do przyjaciół, mieszkających wówczas na jednej z pierwszych „kolonii” mokotowskiej spółdzielni mieszkaniowej.

- Gdzie tak wędrujecie? – dobiegło zza płotu.

Broniewski podszedł do furtki obramowanej wysokimi, gęstymi wierzbami. Dostał już wówczas swój „państwowy” (jak mawiał z przekąsem) dom – i niemal przemocą kazał nam wejść do wnętrza.

- Wandy (żony) nie ma. Sam tu siedzę całkiem, Możecie mieszkać, nocować, być tu, ile chcecie!

Odmówić nie było można. W ogóle – nie był to człowiek, któremu można było odmówić kompanii, wspólnej „biesiady”, przebywania z nim Ale już zaczynał się okres tragiczny, który potem - jakże szybko! – z innych już przyczyn, miał się tak straszliwie zaciemnić i pogłębić. Na razie – mimo południowej pory – na stole pojawiła się natychmiast wódka. Piliśmy ją – chyba długo – bo w pamięci pozostała mi tylko późna jakaś godzina popołudnia i niewielki, wąski, ręcznie zapisany notes – przyniesiony z sąsiedniego pokoju – już otwarty – w moją stronę.

- Czytaj! Czytaj głośno!

Do dziś pamiętam i nigdy nie zapomnę uczucia straszliwego skrepowania (choć siedzieliśmy tam we troje tylko), które towarzyszyło mi przez cały czas odczytywania tych naiwnych, sentymentalnych, pełnych najszczerzego uniesienia zapisków młodziutkiego legionisty. Był to dziennik z dawnych lat – i tych jego fragmentów dotąd nigdzie chyba nie drukowano, a drukowane nadal też zapewne nie będą. Spieszne notatki – o koniu, o dziewczynie, o miłości, gorące marzenia o pokonaniu wroga – czyli bolszewików – o wielkiej, niepodległej wolnej wreszcie Polsce. W pewnym momencie wynurzenia te wydały mi się zbyt osobiste, zbyt intymne. Zamknęłam notes, i powiedziałam, że dalej czytać nie będę.

Piliśmy więc jeszcze wódkę i bawili się w ulubioną zabawę gospodarza: zaczynał jakiś fragment „Beniowskiego” lub jakiś wiersz Norwida

i w pół słowa wzywał współbiesiadników do dalszej recytacji. A jakże się złościł, gdy nas pamięć zawodziła lub, co gorsza, wcale nie umiała podsunąć danego utworu.

- I cóż z ciebie za polski poeta! – wołał do Witolda. – A Kochanowskiego przynajmniej znasz?

I „quiz” z poezji polskiej dalej trwał w najlepsze. Potem (oczywiście!) deklamował i własne wiersze. Sięgał nawet w tym celu do kieszeni i uzbrajał się – w dentystryczną protezę – której okropnie nie lubił nosić, używając jej jedynie z okazji takich występów.

Późną nocą znaleźliśmy się wreszcie na piętrze i udali na dobrze zasłużony odpoczynek. Ale spać nie sądzone nam było długo. Świt zaglądał właśnie przez okno, gdy drzwi otworzyły się trzaskiem i stanął na progu gospodarz – w białej, nocnej koszuli, natchniony, choć kompletnie już pijany.

*Pożegnałem, co kochałem,
Upominek złączy nas:
Jedną ręką pierścień dałem,
Drugą ręką dałem czas!*

Deklamował grmiącym głosem. Nie pamiętam czy był to „ten” czy „inny” – w każdym razie – Norwid. A potem znowu - Słowacki. I o żadnym spaniu – oczywiście – nie było już mowy. A Witold napisał później wiersz: W hotelu ‘Pod Poetą’.

Rano (kiedyż zaczął się ów ranek!) piliśmy już grzecznie kawę na dole, w długim, jasnym pustawym pokoju, z którego szerokie drzwi wiodły do ulubionego ogrodu, gdzie tak wesoło hasał później piękny rudy seter irlandzki „lepek”. Ale wtedy psa chyba jeszcze nie było. Rozległ się dzwonek i chwilę później gospodarz zaprezentował nam z dumą młodą, smukłą kobietę o niebanalnej urodzie.

- Poznajcie się: moja córa. Anka.

Widać było, jak bardzo ją kocha, jak (trochę) nawet się jej boi. Miał przewodniczyć w pierwszym dniu obrad na Zjeździe i Anka złym spojrzeniem obrzuciła stojącą na stole (którą już z kolei?) butelkę „Wyborowej”. Samochód czekał przed domem. Pojechaliśmy na obrady.

Anka, jedyna, ukochana córka jedynej (z trzech) prawdziwie kochanej żony, Marii, której życie po wyjściu jej z obozu koncentracyjnego – tak usilnie, choć na próżno usiłował ratować, po śmierci, której tak szczerze i serdecznie rozpacział. Anka, o której myśląc, do której pisząc układał gorzkie wiersze w sowieckim więzieniu we Lwowie. Śliczna, młoda, nieprzeciętnie inteligentna, pozornie szczęśliwa przecież w małżeństwie ze zdolnym, zadziornym dziennikarzem Stefanem Kozickim, ciesząca się małą swoją córką Ewą.

Czy już wówczas trwała, czy też rozpoczynała się dopiero jej tragedia „niedobrej miłości”, czy może namiętności tylko do człowieka innego, własną, inną mającego rodzinę, człowieka, który – nie mógł, czy nie chciał (a może jedno i drugie) burzyć własnego – i jej – domu, związać się z nią na stałe)? Czy tylko miłosna tragedia była powodem tej wstrząsającej katastrofy, kiedy odbyła już razem z Ojcem podróż po tak lubianej, tylekroć w wierszach opisywanej przez niego Wiśle, kiedy już na licznych fotografiach utrwalone zostały ich twarze, kiedy układać zaczęła, świetny podobno w zamyśle, scenariusz filmowy tej wiślanej wyprawy – siadła pewnego wieczoru w kuchni z otwartą książką w ręku i – pozwoliła, aby woda, rzekomo, nastawiona na kawę – wykpiła, a ją samą w przezornie pustym podówcześnie mieszkaniu zadusił ulatniający się gaz?

Na takie pytania nigdy nie ma i być nie może jednoznacznej odpowiedzi. Warszawa – liczni ludzie, którzy znali, lubili, serdecznie bliscy byli Ance – kipiła. A w opustoszałym domu przy ul. Szustra (teraz przemianowanej na Dąbrowskiego) – przez długie, długie dni i noce siedzieli przy stole – i przy wódce – dwaj tylko ludzie: ojciec i zięć.

Nie było mnie podówcześnie jeszcze na stałe w Warszawie. Ale ze ściśniętym sercem czytałam nieporadne, słabutkie wiersze – owe „Treny” przymglone rozpaczą i alkoholem jednocześnie – które złożyły się później na szczuplutki tomik z imieniem zamiast tytułu – „Anka”.

Wydano te wiersze. Wydano inne, również coraz słabsze, bez-

radnie splecione. Na wskroś osobista tragedia spletała się z gorszym chyba jeszcze koszmarem” ubrązowania za życia”, upomnikowania, kanonizowania na sztandarowego poetę socjalizmu – w czasach, gdy i ślepy widzieć musiał z przerażeniem i grozą, w co mianowicie grzęźnie ów taką lawiną pustych frazesów i hasel odrąbywany „socjalizm”.

Nie mówiłam z nim o tych sprawach nigdy. Ale z całą pewnością wiem, że tak jak nie był (i być nie chciał do końca) członkiem jakiegokolwiek partii – choć już w międzywojennych latach otwarcie deklarował sympatię dla komunizmu i nieraz do więzienia za bynajmniej nie gołosłowne te deklaracje wędrował – równie daleki był od cynizmu, który tak pochopnie przypisywali mu ludzie nieżyczliwi. Przypuszczam, że otepiał, zobojętniał już po prostu – mimo, iż potrafił nadal (zwłaszcza po większej dawce alkoholu) – kipieć oburzeniem, deklamować „więzienne” swe wiersze – których w żadnej nie zamieszczono antologii – opowiadać z zawsze żywą wściekłością o zdradzie, o podstępie, o pułapce w jaką wpędzili Rosjanie przeznaczonych do więzienia we Lwowie, podczas wojny, z początkiem lat 40. – najlepszych przedstawicieli ówczesnej polskiej inteligencji: naukowców, artystów, pisarzy.

Pił dużo – pił coraz więcej – choć nie było to mimo wszystko owo typowo polskie „zalewanie robaka”. Usiłował nadal pisać – choć ani myśli, ani pióro nie chciały mu już być posłuszne – i sam o tym wiedział. Nocą dzwonił niekiedy – bełkocąc bez ładu i składu – żaląc się, czytając fragmenty nowo ułożonych rzeczy. Nie można było w takiej chwili odłożyć słuchawki lub – co gorsza! – wyłączyć telefon – pamiętał bowiem doskonale, do kogo w oparach alkoholu dzwonił – i nazajutrz, podtrzęwiony lub skacowany, raz jeszcze telefonował pod ten sam numer, utyskując i gniewając się, że go nocą wysłuchać nie chiano.

Pamiętam jeden z takich wierszy – ociężale, nieskładnie z przewrótami płynący z telefonicznej słuchawki. Polski – arcy-polski – choć ubożutki: krajobraz jakiś, zabity koń – żołnierze („topole, topole, topole – jakże mam nazwać topole” A potem.... „za nimi wierzby, sosny, dalej, dalej – i szli żołnierze polscy – poumierali”). Znów z pamięci – więc nieściśle chyba cytuję. Nie o to chodzi. Gdy czytanie się skończyło – zaległa dwustronna, żenująca cisza. Wiedziałam, że autor czeka teraz na jakąś wypowiedź, na jakieś słowa o tym wierszu – i rozpaczliwie, gorączkowo usiłowałam we znaleźć, choć o tej nocnej godzinie nic doprawdy nie przychodziło mi do głowy. Zmieszana wymruczałam wreszcie, że bardzo ów wiersz „polski” (bo i jest taki) – a jeśli mogę sobie pozwolić na drobną uwagę, niezbyt fortunne wydaje mi się umieszczone w jednej z linijek „i/” było bowiem: „a nimi wierzby i sosny, dalej, dalej” etc.). W słuchawce znów zapadło przedłużające się milczenie i już-już chciałam ją odłożyć, gdy rozległ się głos znacznie trzeźwiejszy niż uprzednio:

- Masz rację. Skreślę to. I będzie lepiej. Z pewnością.

Coś tam płątałam jeszcze w niezręcznych słowach – że raczej wizualnie odbieram wiersz, że czytanie to sprawdzian zawodny – gdy Broniewski przerwał żywo i zdecydowanie:

- E, głupstwa gadasz. A ja ci dziękuję, bo to - wiesz – to tak, jakbyś przechodząc obok mnie spostrzegła, że pani muza pocałowała mnie, ale zostawiła na policzku moim wyraźny ślad szminki – a tyś delikatnie, chusteczką, ten czerwony mazak starła!

Staroświecka galanteria? Być może. Ale któraż kobieta jej nie lubi? Miał niewątpliwie słuszną opinię arcy „kochliwego” – ale i w tej dziedzinie pozostał sobą – umiał być niezmiernie subtelny, uważny, pełen tej może nieco śmiesznej a przecież zawsze ujmującej grzeczności wobec kobiet. Co z kolei nie oznacza bynajmniej, że – znów pod wpływem alkoholu zwłaszcza – unikał tzw. „słownictwa” lub urzędzania nieoczekiwanych i wściekłych awantur własnej żonie, gdy usiłowała hamować jego pęd do kieliszka.

W połowie grudnia goście schodzili się do dziwnego, pustawego, wpół muzealnego już wówczas i dziwnie – poza pracownią gospodarza, tuż obok wejścia po lewej – pozbawionego indywidualnego piętna „państwowego daru” – szarej willi przy ul. Szustra, obramowanej od furtki i ulicy wysokimi, płaczącymi wierzbami. Gospodarz obchodził urodziny. Piło się sporo, dyskutowało zajadle, o jakiejś godzinie zaczynały się też deklamacje wierszy. To tam próbowaliśmy przyniesione

przez Wańkowicza arcynalewki ziołowej, litewskiej „Trisz Divinis” – sporządzonej według tradycyjnych przepisów przez jakiegoś aptekarza – pod Koszalinem, obecnie mieszkającego. Tam też... Nie. Wspominki i drobiazgi tu nieważne.

W 1963 roku wiedzieliśmy, że następnych urodzin obchodzić pod tym dachem nie będziemy. Przyjechaliśmy jednak. Ludzi było – w długim pokoju na dole – sporo, lecz atmosfera przytłaczająca. Broniewski leżał na górze w swojej sypialni – zbyt źle już miał się, żeby zejść do nas. Posłaliśmy więc we dwie – z Janką Woroszyłską za ostrożnym pozwoleniem Wandy B. – odwiedzić go. Ożywił się niesłychanie.

- Co to za hałas tam przy drzwiach? – zagadnął.

Gdy już relacjonowałyśmy sumiennie, ile i jakich osób dotąd przyszło, wyjrzałam przez poręcz: wmaszerowała właśnie do holu delegacja wojskowa z wielkim koszem, z którego sterczały liczne szyjki butelek.

- I co w tym koszu? – indagował dalej gospodarz, a na wiadomość, że koniak i ulubione gauloises (marka francuskich, popularnych i mocnych papierosów, o unikalnym aromacie - podkr. M.K.), zerwał się z łóżka, włożył szlafrok i zszedł jednak na chwilę sam te dary pooglądać.

Dopiero gdy znalazł się w gronie zdrowych, ożywionych towarzyskim spotkaniem ludzi – dostrzec było można, jak wychudł, postarzał się, zmizerniał. Chował wprawdzie po kieszeniach szlafroka paczki papierosów („bo mi wypalicie i nic nie zostawicie”), przełknął nawet kieliszek koniaku – ale już po chwili cichym głosem powiedział, że źle się czuje i musi wracać do łóżka. Solennie kazał nam tylko – tym niekórym, częściej i chętniej wydawanym – przyrzec, że przyjdziemy spędzić z nim razem Sylwestra.

Nie mieliśmy odwagi dotrzymać tej obietnicy. Około 1-szej w noc noworoczną dobrnęłam tylko poprzez tłum ludzi do obłożonego jak zwykle podówcześnie telefonu i zadzwoniłam. Namawiał, żeby mimo późnej nocy jeszcze przyjechać, że jest wprawdzie trochę ludzi, ale on czuje się samotny, zły i zawiedziony, że pogńiewa się, jeśli zaraz nie nadciągniemy.



Ruszyliśmy więc – poniewczasie – i z nieczystym sumieniem – z kwiatami w sam dzień Nowego Roku. Ale tylko spłoszona wymęczona Wanda przyjęła nas na dole i z całych tych przerażających, przegnębiających odwiedzin zapamiętałam jedynie jak spieszenie szukaliśmy wszyscy w prasie zawiadomienia o świątecznych dyżurach aptek – potrzebne były pilnie lekarstwa.

Nie widziałam go już więcej. Nie pamiętam też, kto – kilka zaledwie tygodni później powiadomił nas o jego śmierci. Nie poczytano mnie za godną udziału w warcie honorowej, zmieniającej się przy jego trumnie, wystawionej w pałacu prymasowskim na widok publiczny. I nie dobijałam się o ten zaszczyt. Z bardzo jakąś skromną wiązką

kwiatów wmieszałam się w gęsty tłum, który w milczeniu – od rana, aż po najpóźniejszy wieczór – przesuwiał się przed tą trumną.

Na pogrzeb był lód i mróz, najwyżsi dostojnicy, werble, smutne i gromkie mowy, salwa honorowa i wojskowa muzyka. Ale był prócz tego rój, mrowie, niezliczony potok ludzi zwykłych: dzieci, paniuś, mizernych urzędników, uczniów, młodzieży – i jestem przekonana, że nie zgromadził ich tam żaden nakaz, ani wulgarna ciekawość czy żądza wrażeń. Przyszli pożegnać człowieka i poetę – który jaki był – taki był – ale żywy w ich pamięci pozostał i polski. Z niemałym trudem utorowałam sobie drogę w tej ciżbie i do niezasypanej jeszcze mogiły wrzuciłam czerwony goździk.

fotograficzny. Ot, człowiek XX wieku!

Ile zdjęć w swoim życiu wykonał? Ile z nich się zachowało – pewnie ułamek, szczególnie te z okresu przedwojennego – przepadły jak wszystko inne: dokumenty, książki, notatki...

- Ile razy życie zaczynałam od początku? Trzy, cztery, pięć razy? **W tych momentach, miał człowiek tylko mglistą świadomość, że jest tym, kim jest.** Ale nie miał już żadnych dowodów na potwierdzenie np. czarnych jak u kruka włosów – gdy pewnego dnia, podczas wściekłego ataku w śniegach Finlandii, z rozcharatany karkiem i tkwiącym w nim kawałkiem szrapnela, leżę twarzą w śniegu. Świadomość wraca... Pierwsza myśl, gdy uniosłem głowę: „Jestem w... niebie?” Ta wszechogarniająca biel, i to słońce, i ta cisza po bitwie artyleryjskiej – to może być tylko... Co za nieszczęście – niebo?! Zawolałem: "Chcę żyć, nie chcę umierać..." I podobno – zemdałem. Po chwili czuję łagodne ciepło na karku. Dotknąłem szyi. Spojrzałem na zakrwawioną dłoń. Więc... żyję? Znowu zemdałem. W lazarecie, gdy odzyskałem przytomność – zobaczyłem twarz pięknej kobiety, pielęgniarki. Uśmiechała się dobroliwie – Matka Boska, jak żywa. I podobno znów zemdałem z okrzykiem: „Nie, ja chcę żyć.” Osiwiałem w ciągu kilku godzin.

Z czasem wspomnienie staje się bardziej „opowieścią” niż „fotografią”. Co oznacza, że może być ono mniej bogate wizualnie w detale typu kolor. Chyba że...

- Nigdy później nie miałam już tak pięknej, czerwonej sukienki. Była jak żywy ogień...

Z perspektywy dziennikarza, krytyka literackiego czy teatru – ważne jest zrozumienie, że pamięć często operuje na poziomie znaczeń, zachowań, relacji, mniej zaś na poziomie bogatych doznań wizualnych związanych z barwą. Kiedy wspominamy jakieś kluczowe wydarzenie – np. konflikt, dramatyczny moment – to element „co się stało i jak zareagowaliśmy” jest dla nas ważniejszy niż „jak wyglądały kolory w tle”. Z czasem tło i detale wizualne tracą na znaczeniu, są usuwane lub „przydymane” w naszej pamięci.

Mam w albumach wiele zdjęć czarno-białych, które ojciec kolorował ręcznie. W redakcjach – zdjęcia retuszowano, uwydatniano rysy twarzy, te charakterystyczne, podkreślano kontury. Ale dziś – sztuczna inteligencja „rozsadza” naszą pamięć, wywołując okrzyk zdziwienia: **„O Boże – jakże kolorowy był ten nasz czarno-biały świat!”**

Oto kilka zdjęć z okresu opisywanego przez Marię Kurecką-Wirpszą, a utrwalań na setkach błon fotograficznych przez mojego Ojca. Zdjęcia nie są opisane. Ojciec był nauczycielem w podgorzowskich Krzeszycach, potem – pracował w Szczecinie. Fotografowanie było wtedy nie tylko pasją, ale także dodatkowym źródłem zarobku. Po strasznej wojnie ludzie chcieli znów widzieć siebie pięknymi, odświętnie ubranymi, uśmiechniętymi. Patrzyli na swoje czarno-białe fotografie i chłonili z nich wszystkie barwy ówczesnego świata.

Dziś nowoczesna technika przywraca tym ujęciom ich wszystkie barwy, jest w stanie animować sceny czy portrety.

Czy kiedyś zdołamy zrekonstruować liniowy zapis minionych dni? Wszak ten „film” z naszej przeszłości gdzieś na półkach magazynu pamięci leży i czeka na technologię, która go ożywi.

Kolorowe czasy, czarno-białe...

Odwołując się do pamięci, szukamy w niej akcji, emocji, śladów działania. Natury refleksyjne być może są zdolne porównać biel obłoków sprzed pół wieku ze współczesnym ich, cywilizacyjnym zszarzeniem.

Każdy z nas przynajmniej raz zadał sobie pytanie: dlaczego tak niewiele pamiętam z okresu dzieciństwa?

Nic nie jest mniej trwałe niż nasza pamięć o nas samych.

Chyba że... natrafimy na materialny ślad, pamiątkę, przedmiot – a już najlepszą przepustką do pamięci jest fotografia.

Ojciec pasjonował się fotografią. Aparat zawsze miał przy sobie. - Mój pierwszy, przedwojenny aparat Kodaka kosztował pięć złotych. Majątek za kartonowe pudełko. Ale stykową odbitkę z błony fotograficznej traktowano jak jedną z największych atrakcji tamtych czasów – kryształkowy odbiornik radiowy ze słuchawkami i aparat



RAPORT WOŹNEGO z 22 marca 2063 roku
(autobiograficzny, antydatowany)

Miejsce: Korytarz niedopasowany

Osoby: Czarna porzeczką

Skulisko (?...)

Herbata z papryką

List do nikogo

Francuz

Zupa

i cała reszta, równie ważna, czyli – nic.



Przeciąg? Tutaj? W korytarzu? Hm... Nigdy wcześniej coś takiego mi się nie przytrafiło. A przecież – jak miałbym wiedzieć, czym jest przeciąg, jeśli nigdy go tu nie doświadczyłem?

- Nie przeszkadzam? -

Obejrzałem się gwałtownie. Głos był znajomy — tak bliski, że nie potrafiłem przypisać go nikomu innemu niż... sobie.

Skulisko też się zaniepokoiło. Nie chciało mi się odwracać w jego stronę. Ale wyraźnie usłyszałem, że się... odzienia.

- Przepraszam?

Tego już za wiele. Mam przywidzenia? Ale przecież nikogo tu nie widzę w takim samym stopniu jak odczuwam, że... jest. I ten jego mój... głos. Muszę do niego zagadać, bo nie da mi spokoju, a lada chwila może wejść jakiś petent. Do Korytarza! A ja tu w jakieś prywatne sprawy się wdaję.

- No właśnie. Zatem jestem... - głos był tak wyraźny i intensywny, że aż mrugnąłem powiekami. - Czyżbym był pierwszy w kolejce? Mogę więc bez zwłoki wyłożyć moją sprawę? To świetnie, bo akurat nie mam dziś za wiele czasu, a poranek, pan rozumie, w związku z moją tutaj wizytą, miał nieco inny niż zwykle porządek. Bo ja, wbrew wszystkim radom i zaleceniom oraz równie często powtarzanym ostrzeżeniom na

temat pierwszej kawy porannej – piję ją zaraz po zaparzeniu. Niestety, nie lubię wody. Nie lubię niczego, co nie ma smaku. I to zarówno z jego naturalnego braku jak i z zepsucia go wydumanymi ingrediencjami.

Stucham głosu, a ten ciągle nie przyoblekał się w postać, choć wydaje mi się, że kiedyś go (ale kogo?) spotkałem na mojej drodze. Mój gość opowiadał ze swadą...

- Miałem kolegę, który pił wodę z papryką. Inny – nie sięgał po piwo, jeśli nie dołał do niego maślanki. W Syberoamazonii (!) nauczył się tego sposobu. On w ogóle był człowiekiem wielce oryginalnym. Włosy strzygł pod kątem prostopadłym do kierunku promieni słonecznych; raz czupryna przykrywała lewe, a następnym razem prawe ucho, pozostawiając odkryte to drugie, wraz z całą stroną głowy - ściętą na gładę. Albo jakoś tak... Któregoś razu wpadł do mnie wielce przestraszony. Zgubił klucze od domu. Miał je tu, tu, w tej kieszeni. Spojrzałem i od razu odniosłem wrażenie, a po chwili pewność, że mój znajomy tył spodni założył na przód. Zapytałem, czy sprawdzał w tylnej kieszeni. On zachnął się i z nieukrywaniem politowaniem odpowiedział: Coś ty, klucze w tylnej kieszeni? Żeby zginąć?

No tak, pomyślałem sobie widząc, to znaczy, słysząc nutę ironii w głosie petenta, którego - no właśnie, ten głos... Skąd ja go znam? On - odniosłem wrażenie - jakby w ogóle nie zwracał na mnie uwagi. Po prostu - mówił.

- Te odnalazły się były w kieszeni tylnej, czyli przedniej, na swoim, odwróconym miejscu. Mój znajomy nie krył konfuzji... Pogubiony, z miną kokera spaniela, który połknął wasabi, patrzył na mnie prosząc o wyjaśnienie.

Istoty niedopasowane

(do siebie)

Zadumałem się i ja... Na szczęście stare wspomnienie z szelestem odświeżyło mi pewne zdarzenie. Gdy kilka minut po ósmej, co dla mnie było równoznaczne z środkiem nocy, stojąc przy tablicy wywodziłem jakiś dowód matematyczny, zauważyłem, że mój nauczyciel ma na sobie dwa różne buty.

- Którym chcesz najpierw? Lewym czy prawym? - zapytał.

Od tamtego poranka moja kolekcja ludzi niestandardowych rosła na potęgę. Wręcz atakowali mnie swoimi "niedopasowaniami".

Pewna Hanka, bibliotekarka, ubierała się wyłącznie w ciuchy robione na drutach, której to czynności oddawała się bez reszty. Andrzej postawił jej warunek – do ślubu pójdziesz ze mną w normalnej sukni. I ślubu nie było. Andrzej to chłop honorowy. Żyli na wełnianej łapie, ale on wierzył, że ona spełni jego marzenie. Któregoś wieczoru mocno się posprzeczała. Hanka nie mogła - z oczywistych względów - powiedzieć: jadę do mamy, więc zamknęła się we własnoręcznie zrobionym worku z wełny moherowej. Dwa zastępy strażaków, którzy przybyli na sygnale, nie zdołali Hanki uwolnić. Dziś spoczywa w wydzierganym całunie, na poloninie, tuż przy młynie, gdzie strumyk płynie i wełnianą Hankę z jej wdzianka wolno wypłukuje...

Albo... Włodek, ten energetyk. Pasjonował się piłką nożną. Ale każdy mecz musiała z nim oglądać jego żona. Obiecywał i zobowiązywał się, że spełni każde jej życzenie, jeśli ona mecz obejrzy razem z nim. Życzenia rosły z każdym sezonem. Po kilku latach Różyczka oświadczyła: „OK., obejrzę z tobą mistrzostwa świata pod warunkiem, że się rozwiedzimy.” Zgodził się. Po meczu finałowym Włodek wyszedł z domu i... został piłkarzem. Z każdym meczem jego piłkarska sława rosła. A Różyczka, nie odchodziła od telewizora, gdy Włodek grał. Wszystkie mecze z jego udziałem miała zarejestrowane na twardym

dysku. Jak się skończyła transmisja live, ona sięgała do archiwum. Oto siła miłości. Obiecała, i słowa dotrzymała. Każdy mecz z Włodekiem - oglądała.

Albo sąsiad, ten repatriant z Francji. Palacz namiętny. Codziennie rano szedł po nową paczkę pełną dymu. Pykał i bezszelestnie... znikał. Oaza spokoju - chwalił go sąsiedzi. Ale pewnego dnia, z kioskarzem zaczął prowadzić grę ekstremalną – wypisz-wymaluj – rosyjska ruletka w wydaniu tytoniowym. Kioskarz pisał na kartce markę papierosów, o które, jego zdaniem, dziś nasz Francuz poprosi. I taką samą kartkę pisał mój sąsiad. Jeśli zdarzyło się, że obaj napisali to samo słowo – mój sąsiad miał „dzień bez papierosa”. Cierpiał wtedy okrutnie. Sąsiedzi zamykali okna, dzieci z matkami na wieś wywozili, a taksówkarze odmawiali kursów na ulicę Turkaweczki Bezzębnej. No bo każdy bał się konfrontacji z Francuzem, który wył z braku tytoniowego dymu. Cierpiał, ale człowiek honoru słowa dotrzymuje - powtarzał, gdy w dniu tytoniowym kupował kiszoną kapustę z beczki, w pobliskim spożywczaku. Pytali go sąsiedzi – skąd taka idiotyczna gra, bo to nie była zabawa? Odpowiadał: „Dobrze, że z Panem Bogiem nie mam żadnego zakładu. Z nim stawka byłaby zapewne dużo wyższa, a dzień bez papierosa to... sama przyjemność!” Uśmiechał się przy tym serdecznie. Żona Francuza miała zawsze, tak na wszelki wypadek, spakowaną średniej wielkości torbę podróżną, z niezbędnymi rzeczami. Gdy widziała, że jej mąż wracał do domu bez papierosa w zębach, wychodziła przez okno na ogród, stamtąd po pergoli na trawę, dalej na skróty, koło cmentarzyka, i biegła na przystanek autobusowy. Jechała na cały dzień i noc do matki sąsiada. Bo własnej już nie miała. A matka, jak matka, każda dobra. Mówiła, że nie chce, aby jej mąż poszedł do więzienia za zbrodnię "popelnioną bez papierosa"... na jej osobie. Bo mężczyzna na głodzie nikotynowym nie myśli i nie działa racjonalnie. Jest na krawędzi samozapłonu.

Inny sąsiad, listonosz, był starym kawalerem. Po pracy, w każdy dzień powszedni gotował zupę na dwóch ziarnkach ziela angielskiego.

- Panie Emanuelu, co dzisiaj w menu?

- A, dziś danie wyjątkowe i specjalne! Pyszna zupa na rosole z ziela angielskiego!

Do wrzątku wrzucał te dwa ziarnka. Garnek przykrywał poniemieckim deklek ze studzienki ulicznej i oddawał się lekturze - wiadomo - poniemieckich gazet. A ponieważ przedwojennego języka niemieckiego był nie posiadał, więc czytał gazetę bez emocji, w stałym tempie, od lewego do prawego marginesu chyba, że w gazecie stał

wyraz: Schornsteinfegermeister. Zaczynał się na nim do imentu. Bo znał jednego kominiarza, z którym miał na pierku, jakby tamten był drwalem a nie czyszcicielem kominów. Kiedy więc z okienka na poddaszu zaczynał wydobywać się dym, przerywaliśmy kopanie piłki i kamieniami rzucaliśmy w okno listonosza. Ten, gdy szyba trafiona celnym rzutem rozpadała się na drobne cząstki - wyrwał się z wściekłego zakleszczenia i przechodził w fazę równie ekspresywnego... zdenerwowania. Ale - przypominał sobie wtedy, że na elektrycznej kuchence przypała się wywar z angielskiego ziela. Więc do garnka z przypalonym wywarem - (pamiętamy: z ziela angielskiego) wrzucał garść kaszy, jeden pokrojony w kostkę ziemniak, kilka skwarków ze słoika (pamiętamy - po gwoździach), sól, pieprz i - na koniec - oczywiście dwa ziarnka ziela angielskiego. Próbowałem tę delicję niejeden raz. Bardzo smaczna. Szczególnie ta na niedzielę.

Sąsiadka spod piętnastki uwielbiała leżeć w oknie. A że to było na parterze, więc godzinami rozmawiała z innymi sąsiadkami, dostawcami towarów do pobliskiego sklepu, księdzem proboszczem, który codziennie przynosił na pocztę utarg z tacy, zrolowany w drosy. Nie odpuściła żadnemu przygodnemu przechodniowi. Ten w mig wiedział, kto przy tej ulicy jest porządnym człowiekiem, a kto tylko szuja i łotrem. Proporcje moralne zmieniały się w zależności od sympatii owej sąsiadki. Raz wszyscy byli idiotami, innym razem tylko pan Roman, tramwajarz, co z korbą tramwajarską się paradnie obnosił, zyskiwał uznanie i podziw pani sąsiadki. Mieszkający nad nią kolejarz, maszynista pociągów dalekobieżnych, nie był w stanie dłużej znosić tego nieustannego paplania i rechotu. Tu muszę dodać, że głos sąsiadka miała donośny, co w połączeniu ze skrzekliwym śmiechem dawało wrażenie smażenia surowych ziemniaków na patelni pozbawionej tłuszczu. I nie tyle idzie tu o odgłosy, co bardziej o zapachy. Czego on nie wymyślał, żeby lokatorkę z parteru oduczyć tego całodziennego paplania. I w końcu mu się ta sztuka udała! Ożenił się z nią, a w kontrakcie małżeńskim zastrzegł, że zamieszkają u niego, na piętrze. Dół – wynajęli studentom.

Podobnych przykładów mógłbym podać dokładnie tyle, ilu w okolicy miałem sąsiadów i znajomych.

Wszyscy mieszkaliśmy tu od dziecka. To tak się tylko mówi - bo nikt tu ze nikim dziecka wspólnego nie miał. Wiedzieliśmy jeden o



drugim praktycznie wszystko. Ale dopiero od pewnego momentu uświadomiłem sobie, że właściwie to wszyscy jesteśmy indywidualnie niedopasowani do wspólnoty. I tylko jeden sąsiad, ten z ostatniego domu, tak, tego z białymi ścianami, obok którego przechodzili wszyscy inni w drodze na działki – pozostawał dla mnie zagadką. Nie miał natręctw, fobii, przywar, towarzyskich konfliktów lub poufałości, tików czy schorzeń wynikających z nieustannego udowadniania innym, że w czymś jest od innych lepszy. Mówiono, że jest... nienormalny. Nie wykluczam, że mogli mieć rację. Bo jak tak można, żeby się niczym nie wyróżniać? Wypisz wymaluj - jak ja...

Któregoś razu, przy stole, gdy na plastry kroilem ziemniaki ugotowane w mundurkach, a te wrzucałem (ziemniaki, nie mundurki) do polewki, matka uśmiechnęła się serdecznie.

– Ten sąsiad, ten z białego domu... Poprosił, żeby mu dać kopertę i czystą kartkę.

Zupełnie nie zareagowałem. Ten człowiek nie wzbudzał w nikim żadnych emocji. Był przezroczysty. Także dla mnie.

– Po południu przyszedł jeszcze raz. W jednej ręce trzymał kopertę a w drugiej tę czystą kartkę.

Ostatni obierany przeze mnie ziemniak wypadł mi z ręki i poleczył się w kąt, po drugiej stronie kuchni. Podniosłem go, oplukałem i dokończyłem krojenie. Byłem pełen najgorszych obaw. Takie poufałości na naszej ulicy nigdy nie miały miejsca. Matka wpatrywała się w okno. Jakby... rozmarzona?

– Bo widzi pani, mówił, ja nie umiem pisać. A chciałem list wysłać... No, dobrze, mówię, mam panu pomóc? No tak, on mi na to. Więc posadziłam go tu, w kuchni i sama usiadłam po drugiej stronie stołu. Wzięłam ołówek kopiowy i kawałek nie do końca zapisanej kartki. Najpierw napiszemy na brudno, mówię do niego, potem się poprawi i przepisz na czysto. Pokiwał głową, a siedział tak wystraszony, jakiego nigdy go widziałam.

Matka umiała opowiadać. Ale też w swoim opowiadaniu zawsze wtrąciła jakąś swoją korektę do opisywanej rzeczywistości. A to kogoś skarciła, napomniwała, tamtemu to i owo wytknęła. A tu – jakoś tak bez zastrzeżeń chciała pomóc człowiekowi z białego domku. Odniosłem wrażenie, że to jakby... nie moja matka? Ale przecież widzę - no, ona.

– Do kogo, pytam go. A on – nie wiem, do kogo pani chce. Tak do mnie powiedział. Spojrzałam na niego jak na wariata. Jak to, chce pan pisać list i nie wie, do kogo? No bo ja nikogo nie mam. A list chciałoby się jakoś tak napisać. Chociaż raz w życiu. Tak tylko ogólnie, co u mnie słychać, że trochę choruję, że czarna porzeczką w tym roku obrodzi, że pies chyba zimy nie doczeka i że wczoraj przeczytałem ostatnią książkę jaką miałem w domu.



Matka oparła się o ścianę, lekko wybałuszyła oczy, pewnie tak samo jak wtedy, gdy ten mężczyzna pierwszy raz przyszedł ze swoją prośbą.

– Wtedy wyjął z fufajki mały stoik. Na ścianie był naklejony plaster z napisem – "czarna". Podsunął go w moją stronę. No to co miałam robić, otworzyłam słoiczek. Pana? – pytam. Kiwnął głową. Ubiegłoroczna - mówi. Trochę cierpka, może pani sobie cukru dosypać, ale najlepsza jest taka prawdziwa, kwaśnawa. W szafce miałam jakieś stare herbatniki. Postawiłam czajnik na kuchence, zagotowałam wodę, zalałam mu herbatę i dałam dwa herbatniki.

Odniosłem wrażenie, że matka jakby spowalnia swoją opowieść. O zgrozo - ona się... jeszcze uśmiecha? Pierwszy raz w życiu! Wolno układała słowa, każde z nich wstawiała jakby w jakąś kokilkę i patrzyła sobie na nie, jak na tym stole się słowa w rzędy zdań układały. Przez chwilę milczeliśmy. Ja czekałem na dokończenie opowieści, a ona jakby w ogóle nie zamierzała z niej wychodzić, by moją ciekawość zaspokoić.

Rozłożyłem lekko mokre ręce, z nożem w jednej i niedokrojonym ziemniakiem w drugiej.

– No, i tyle... - zakończyła swoją opowieść.

Zaśmiałem się chyba dość beładnie i bezradnie. Zapytałem, kiedy to było?

– A z miesiąc temu. Nie mówiłam ci, bo rzadko przychodzisz, a poza tym to nic ważnego.

To dlaczego – myślałem – teraz mi o tym powiedziała? Dalej tkwiłem na środku kuchni jak jakiś manekin na sklepowej wystawie.

– Przychodzi codziennie. Wypijamy herbatę. We wtorki to mówię, że zaraz będę drożdżowe wyrabiała. To on mówi, że lubi. Ale sam nie ma piekarnika i jakoś mu pieczenie nigdy do głowy nie przychodziło. A tu - wyjęła kartkę spod serwety - narysował mi kratkę, jaką zrobił właśnie pod winogrona. Mówi, że powinny obrodzić, bo ściągł wiosną dwie gałęzie czarnego bzu i teraz słońce przez cały dzień oświetla tę skarpetę za jego domem.

Hm... Ojciec kiedyś też marzył o winogronach... I też rysował kratownicę, którą chciał przymocować do południowej strony domu... Ot, zwykłe skojarzenie? Samo przyszło, samo się wypowiedziało... Ale do dziś spokoju mi nie daje. Czarna porzeczką i winogrona... To obu ich łączyło.

Na szczęście z całej tej menażerii ja jeden jakoś się od dziwactw uchowałem. A że lubię wszystko co oryginalne, niepowtarzalne i niebanalne – to chyba dobrze, co? Właśnie, właśnie... Już prawie jedenasta, a ja mam tyle roboty... Co by tu na obiad dziś ugotować? Może, hm, może zupę, strawną i lekką, taką z dwóch ziaren ziela angielskiego? Potem muszę zgrabić stare pędy i jesienne liście. Warto odsłonić na światło tamten zakątek ogrodu, gdzie mam czarne porzeczkę. A, no właśnie, planowałem przestawić ten regał z książkami. Właściwie, to wszystkie już przeczytane, może oddać je komuś? Rower już odkurzyłem, więc wyskoczę do kiosku, po gazety i... Eh, nie będę wracał do nałogu. Nikomu co prawda dym by nie przeszkadzał, więc mógłbym, ale po co? Dobra, zapytam kioskarkę, jakie papierosy chciałyby mi sprzedać. Jeśli te, o których myślę – to... hm... to... a, później się zastanowię. Dobra, jadę... A co to? Skąd się tu ta koperta i... i czysta kartka? Skąd się to tutaj wzięło? Przecież nie mam nikogo, komu chciałbym wysłać list. Szkoda czasu, zaraz się ściemni. A ja w rowerze nie mam lampki. Wezmę tylko te moherowe rękawice. Są tak rozciągliwe, że cały bym się w jedną zmieścił. Jeszcze tylko łyk soku z buraków, z zsiadłym mlekiem. To na te męskie sprawy. Mówią, że działa. Chcę się przekonać. A po południu - meczek futbolu żeńskiego. Dziś gra moja ulubienica. Z taką, to ja mógłbym, że uhm... szkoda gadać.

Jadę. Tylko, gdzie ja mam klucz od domu? Zawsze miałem go w tej kieszeni... Co? No, nie! Nie wytrzymam! Uwierzyłby ktoś? Spodnie założyłem tył na przód. Dobrze, że zauważyłem. W przeciwnym razie, mógłbym tyłem iść do przodu!



Listy wiatrem niesione - 06

tekst i zdjęcia: Małgorzata Wrzosek

Złe kusi. Mocno. To Pan nie wie?

Nie wolno się oglądać. Ale o tym to już dobrze Pan wie, czym zawsze kończą się powroty. Jakimi by one nie były, jak bardzo zostałyby obwarowane przysięgami i nadziejami – pozostaną już tylko sklejonym, pięknym dzbanem, w którym kwiaty nie ustoją dłużej niż do zachodu słońca.

Nie lubię zachodów. Ale – przynaję – w nie mniejszym stopniu jak wschody – są wielkim widowiskiem.

Gdybym pisała pamiętnik... Może zanotowałabym taki akapit:

Byłam już bardzo zmęczona i doskwierało mi pragnienie. Spiesznie mi było dotrzeć do miejsca, w którym planowałam rozbić namiot. Powinnam jeszcze kupić wodę. Gwałtownie zahamowałam. Wtedy, w rowerowym lusterku zauważyłam zachodzące słońce. Odwróciłam głowę. Ciężko oddychając wpatrywałam się z niedowierzaniem w jego ogień. Przecież podobne sceny widziałam i przeżywałam już wiele razy, a mimo to... zapłonęłam razem z nim. Oczarowanie? Pan nie jest kobietą, nie wie, co słowo to znaczy... Niebo, jak słodki owoc, dojrzewało w moich oczach. Zmieniało barwy, przyciągało, hipnotyzowało, a ja zamiast kontynuować podróż do wyznaczonego celu, stałam w miejscu.

– Patrz – mówiło, – bo już wyglądam inaczej.

Umie pan nazywać kolory? Powie pan – oprószone pudrowym różem, poprzez odcienie pomarańczu – eksplodowało parzącą czerwienią.

Piekielną – powiedziałabym.

Na szczęście wiatr zaciągnął kurtyny zmroku. I wtedy poczułam, że wszystko ginie, a ja zaczynam... spadać. W uszach huragan, we włosach świst, a w myślach – pustka. Nie mogłam złapać tchu, wiatr wypełnił mnie bez reszty. Dusila się. Tak bardzo już chciałam poczuć dno.

Ale dna.... nie ma!





Oto płyną i maszerują - aktorzy i dyrekcja nowego Teatru Współczesnego, którzy od 25 lat pozostają pod opieką specjalistyczną, albowiem żadna ich

Wdzięczność wobec Ojców Zabetonowania Łasztowni - nie ma granic.